Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 17 (1413) XXVIII 27 KWIETNIA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- Proces o „Wrzód"
- Fiasko szaleńczych planów
- Co ludzie piszą na murach?
- Sami wśród bliskich i obojętnych
- Geniusz i szaleństwo

Foto: Grzegorz Gałasiński

Czy nasze lecznictwo da się zreformować?

Gdzie podział się pacjent?

Rozmowa z dr med. TADEUSZEM GDULEWICZEM — kierownikiem Zespołu Organizacji Ochrony Zdrowia w Przemyśle, Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi.

— Czy zauważył pan może taki dowcip rysunkowy? Starszy pan zwraca się do młodszego, trzymającego w ręku probówkę: — Jest pan już siódmy, który wynalazł w naszym instytucie aspirynę I to w ostatnim miesiącu. Coś w tym jest, że nasz stosunek do prac naukowych jest — delikatnie mówiąc — z dystansem. Nie bardzo wierzymy w skuteczność i wyniki tych prac. Toteż, kiedy dotarła do mnie informacja o przeprowadzonych — pod pana kierownictwem — badaniach nad stanem zdrowia dorosłych mieszkańców Łodzi, przyjęłam ją ze sceptycyzmem. Tym bardziej że były one prowadzone w latach 1978—1979, a raport na ich podstawie powstał już na początku lat osiemdziesiątych. I ten sceptycyzm zmusił mnie do zwrócenia się do pana z pytaniem: — Co dają takie badania?

— Nie ma dobrej decyzji bez dobrej informacji. Wyniki tych badań są właśnie taką rzetelną, obiektywną informacją.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że administracja naszej służby zdrowia nie posiada dobrej informacji?

— Przez 40 lat nie dorobiliśmy się pełnej diagnozy stanu zdrowia ludności Polski.

— No, dobrze. A co dzieje się z tą całą sprawozdawczością, na którą tak narzekają lekarze, która zabiera im tyle czasu?

— Owszem, służba zdrowia posługuje się sprawozdawczością którą sama sobie przygotowuje. Tych informacji — jak to podliczył jeden z kolegów — jest około 2 300. Ale stanu zdrowia ludzi w Polsce dotyczy tylko część z nich. Przede wszystkim są to dane demograficzne: urodzenia, zgony, informacje o chorobach zakaźnych, nowotworach, absencji chorobowej i chorobach zawodowych. Czy to może dać pełny obraz stanu zdrowia Polaków?

— Jak więc odbywa się planowanie rozwoju służby zdrowia i na jakiej podstawie dokonuje się oceny jej działalności?

— Odbywa się to poprzez ocenę zasobów służby zdrowia.

— Przepraszam, ale co to znaczy?

— To jest żargon, ale nie mam innego określenia. Na zasoby służby zdrowia składają się łóżka szpitalne, ośrodki zdrowia, przychodnie, ich wyposażenie oraz kadra, która się tym wszystkim posługuje. Jeśli więc wydajemy na przykład przeszło 300 miliardów złotych rocznie na funkcjonowanie ochrony zdrowia w Polsce, to następnie zadaje się pytanie: i co z tego wynikło? Odpowiedź jest prosta: przybyło łóżek, oddano tyle przychodni, kupiono tyle i tyle różnych aparatów, wykształcono i zatrudniono tyle i tyle pielęgniarek i lekarzy.

— A człowiek chory, pacjent? Gdzie się podział, co się z nim stało? Przecież podstawą działania służby zdrowia ma być zdrowie człowieka. To powinno być podstawowym miernikiem. Czy nie można tego zmienić?

— Nie tylko można, ale trzeba. Ale to nie jest takie proste. W 1978 roku w Alma Ata państwa członkowskie Światowej Organizacji Zdrowia podpisały deklarację, wedle której mają przyjąć taką organizację działalności służby zdrowia, aby w 2000 roku można było zapewnić zdrowie dla wszystkich. Każdy z członków tej organizacji ma to zrealizować na swój sposób. Niczego nikomu tu się nie narzuca. Ale nie muszę chyba pani tłumaczyć, jak długa i żmudna bywa droga od najsłuszniejszych haseł i założeń do praktyki.

— Jaką koncepcję powinna przyjąć Polska?

— Planowanie rozwoju i działalności służby zdrowia poprzez określenie celów zdrowotnych. Powinniśmy więc określić, jakie stawiamy sobie główne cele zdrowotne, które zamierzamy osiągnąć do 2000 roku.

Znamy na przykład — bo tego się pilnuje dokładnie — wskaźnik umieralności niemowląt. Założyliśmy więc, że do 2000 roku obniżymy ten wskaźnik do 15 promilie. Ale tu już rodzi się wątpliwość, czy dobrze cel ten został określony. Szwedzi już teraz mają 6.7 promille, a Finowie — 6,8.

— Trudno nam się dziś, kiedy mamy ciężki kryzys, porównywać ze Szwecją czy Finlandią.

— Zgoda, tym bardziej że wśród ludności o najniższej stopie życio-

5 (1)

Rewanż

ROMAN KUBIAK

„Zaznaczam, że z naszej strony miał być to odwet w stosunku do kobiet, które zarówno mnie jak i Beatę (młode pracownice) traktowały źle, ciągle nam dokuczając i rozsiewając o nas plotki. Chciałam nadmienić, że pracownice zmiany, w okresie mojej pracy, ubliżały mnie i Beacie takimi określeniami jak: postrzyżony piździelec, kurwa, itp... Obecnie bardzo tego żałuję, bo nigdy bym nie przypuszczała, że będą z tego jakieś konsekwencje. Była to po prostu moja i Beaty głupota."

Agnieszka P.

☆ ★ ☆

26 stycznia 1985 roku w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego „Olimpia" w Łodzi doszło do zbiorowego zatrucia pracowników. Czternaście najciężej poszkodowanych osób przewieziono do Instytutu Medycyny Pracy. Zatrucie to, jak sugerowały osoby poszkodowane, nastąpiło prawdopodobnie w wyniku spożycia wody przeznaczonej do parzenia herbaty. Na miejsce zdarzenia przybyli przedstawiciele Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Prokuratura Rejonowa dla Dzielnicy Łódź—Śródmieście wszczęła w tej sprawie śledztwo.

☆ ★ ☆

Sobota, 26 stycznia 1985 roku, wydział konfekcji ZPDz „Olimpia" przy ulicy Piotrkowskiej 242. Na pierwszej zmianie zatrudnionych jest siedemdziesiąt osób, głównie kobiet. O godzinie 8.30 rozpoczyna się piętnastominutowa przerwa śniadaniowa. Pracownicy udają się do stołówki wydziałowej mieszczącej się obok pokoju mistrza. Pod ścianą stoją dwa dwudziestopięciolitrowe warniki elektryczne napełnione wrzątkiem do parzenia herbaty. Uprawnienia do ich obsługi mają tylko mistrz i instruktorka. Pracownicy sięgają po przygotowane w domu kanapki oraz po naczynia z odrobiną suszu herbacianego. Do naczyń tych przelewają wodę z warników. Kwadrans później wszyscy wracają na swoje stanowiska robocze.

Około godziny dziewiątej u kilku osób występują pierwsze objawy zatrucia, w postaci pieczenia w gardle oraz ucisku w okolicy dołka. Kobiety podejrzewają, iż przyczyną zatrucia mogą być nieświeże produkty spożywcze: ser, pasztet lub wędlina, skonsumowane na śniadanie. Szczególnie dotkliwe jest pieczenie w gardle. Chcąc pozbyć się tej dolegliwości, niektóre pracownice piją ciepłą wodę z warników. Objawy zatrucia wzmagają się. Mają miejsce coraz liczniejsze wypadki torsji oraz biegunki. Niemal połowa załogi nie jest w stanie wykonywać swoich czynności. Na salę wzywani są lekarz i pielęgniarka zakładowa. Powszechność zatrucia obala tezę, że jego źródłem są nieświeże wędliny lub ser. Teraz podejrzenie pada na wodę. Poszkodowane kobiety zgodnie informują, że piły wodę z warnika numer dwa. Kierowniczka zmiany pobiera ciecz z obu naczyń. Woda we wskazanym zbiorniku ma barwę nieco bardziej żółtą, lecz nie wykazuje istotnej różnicy w smaku. Sądząc, iż analiza żółtawej cieczy może mieć istotne znaczenie dla skuteczności leczenia poszkodowanych, kierowniczka bierze próbkę wody z warnika numer dwa i zabezpiecza ją w biurku.

Tymczasem na teren zakładu przyjeżdżają karetki pogotowia. Czternaście osób zostaje przewiezionych do Instytutu Medycyny Pracy. Sześć dalszych nie wyraża zgody na hospitalizację. Wcześniej zabezpieczona próbka wody trafia do rąk sanitariusza karetki pogotowia, który bezzwłocznie zawozi ją do analizy. Nie-

7

Myślą, sercem i uczynkiem...

PAWEŁ TOMASZEWSKI

1.

W wydanym w 1984 roku przez International Biografical Centre w Cambridge (Wielka Brytania) siódmym wydaniu „The World Who's Who of Women" znaleźć można biogramy najbardziej znanych żyjących kobiet z całego świata. Przeważają oczywiście panie z krajów Europy Zachodniej i Ameryki, ale jest też i kilkanaście Polek, a wśród nich jedna łodzianka — dr Anna Sztaudynger-Kaliszewiczowa. Wystarczy otworzyć gruby tom na 707 stronie, aby dowiedzieć się, że urodziła się 19 września 1933 roku w Poznaniu, zawarła związek małżeński 26 marca 1960 roku, ma jedną córkę... Dalej — wykształcenie, przebieg kariery zawodowej, publikacje, przynależność do organizacji, wyróżnienia, zainteresowania i na końcu 39-wierszowej notki ze zdjęciem — jak zwykle — adres domowy. Każdy może napisać...

Tak, to brzmi dumnie: znaleźć się wśród najsłynniejszych kobiet świata. Taka sława, popularność! Nie dajmy się jednak zwieść złudzeniom. No, bo kto w Polsce wie, kim jest Anna Sztaudynger-Kaliszewiczowa? — Nieliczni. Nawet w samej Łodzi, gdzie pani Anna mieszka od 40 lat, jej nazwisko nie wszystkim coś mówi. Niektórzy kojarzą je jedynie z osobą ojca, Jana Sztaudyngera i to też często tylko w formie przypuszczenia.

Pani Anna nie zabiega o popularność. Nigdy jej na tym, aż tak bardzo nie zależało. W „The World Who's Who of Women" znalazła się właściwie przez przypadek, szczęśliwy zbieg okoliczności. Cieszy się, to prawda, ale... I czy w ogóle trzeba pisać o niej reportaże? Jakoś trudno tak mówić o sobie...

Dobrze, zacznijmy więc od cytatu z „Dziennika Popularnego" z 26 kwietnia 1979 roku:

„Coraz więcej mamy ludzi w wieku przedemerytalnym i emerytalnym. Jak organizować im ciekawie czas, jak ich kształcić, bo przecież — wiadomo — uczymy się przez całe życie.

Próbą odpowiedzi na to pytanie jest idea uniwersytetów trzeciego wieku, którą rzucił przed sześciu laty francuski socjolog P. Vellas. Prowadzą one cykle wykładów dotyczących spraw ochrony zdrowia, problemów kultury, historii, życia społeczno-politycznego itd. Obecnie działa już na świecie ok. 100 takich uniwersytetów, w tym 7 w naszym kraju.

Ósmym z kolei polskim uniwersytetem trzeciego wieku będzie łódzka placówka, której uroczyste otwarcie odbyło się wczoraj w Domu Kultury „Lodex" przy ul. Buczka 17/19...".

2.

— Tak, to już sześć lat, jak działa w Łodzi Uniwersytet Trzeciego Wieku. Minęło, ani się człowiek obejrzał. Ale muszę wyjaśnić, że bezpośrednią inicjatorką jego utworzenia była pani Helena Kretzowa, która będąc we Francji, zetknęła się z francuskimi placówkami tego rodzaju i postanowiła sobie, że w Łodzi także powinien powstać taki uniwersytet.

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „biankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 1196. P-2.

Przegląd prasy

Jesteśmy narodem megalomańskim, zapatrzonym głównie w swoje wewnętrzne sprawy. Chcieliśmy być Chrystusem narodów, wmawialiśmy sobie, że dano nam dziejową misję, że jesteśmy narodem wybranym. Poglądy te, zrodzone w przeszłości, nie wygasły do dziś Przykładem może być słynne „posłanie do narodów Wschodniej Europy" uchwalone w hali gdańskiej „Olivii".

Jesteśmy narodem słowiańskim, ale zapatrzonym na Zachód. Do naszych braci czujemy niechęć, co już zupełnie jest niezrozumiałe w przypadku Słowaków czy Czechów. Z wyższością zwykliśmy patrzeć na Bułgarów czy narody słowiańskie Jugosławii. Wszystko są to wytwory megalomanii narodowej, polonocentryzmu, uznawania się jeśli nie za pępek świata, to przynajmniej za pępek Europy. A przecież rzeczywistość jest zupełnie inna. I dlatego powinniśmy mówić sobie prawdę o nas samych i naszym stosunku do innych. Taką

PRAWDĘ POWIEDZIAŁ ALEKSANDER KRAWCZUK

w rozmowie z Leszkiem Konarskim, która pod tytułem *„Między Wschodem a Zachodem"* ukazała się w 4 numerze białostockich „KONTRASTÓW". Aleksander Krawczuk potwierdza nasze zapatrzenie na Zachód już od najdawniejszych czasów. Naszą szlachtę cechowała — powiada A. Krawczuk — *„z jednej strony tureckość, wschodniość, a w każdym razie sarmackość, z drugiej natomiast — łacińskość. A tak naprawdę, to niby-tureckość i niby-łacińskość"* Autor *„Pocztu cesarzy rzymskich"* próbuje obalić inny mit, głęboko w naszej świadomości zakorzeniony — mit przedmurza chrześcijaństwa.

„Nie byliśmy nigdy przedmurzem chrześcijaństwa (od wschodu) — powiada — *gdyż przecież kościoły unicki i prawosławny to też kościoły chrześcijańskie. Byliśmy więc tylko najbardziej na wschód wysuniętym obrońcą katolicyzmu. Z jednej więc strony broniliśmy słowiańszczyzny przed wpływami germańskimi, a z drugiej kościoła rzymsko-katolickiego przed wpływami prawosławia."*

I z tego to powodu — powiada dalej Aleksander Krawczuk — nigdy *„nasze kontakty ze Wschodem nie wyglądały tak jakby na to wskazywała mądrość polityczna. Tym hamulcem był zawsze Kościół, który od samego początku chciał być łaciński, związany z Zachodem, a wszystko co łączyło się ze Wschodem było podejrzane i niebezpieczne"*.

Nasz stosunek do Wschodu, jak i Zachodu oparty jest na mitach, uprzedzeniach i nieporozumieniach. Chcemy być narodem zachodnim, ale na Zachodzie, nikt nas tak nie traktuje. *„Moglibyśmy mieć wielką szansę* — powiada Aleksander Krawczuk — *gdybyśmy chcieli być po prostu narodem środkowoeuropejskim, który chce służyć Zachodowi do zrozumienia Wschodu a Wschodowi do zrozumienia Zachodu. Aby to osiągnąć musielibyśmy być sobą i pozbyć się kompleksów niższości wobec Zachodu i wyższości wobec Wschodu"*. Nawet literaturę i sztukę Rosji poznawaliśmy poprzez Zachód, jak coś tam zyskiwało aprobatę to i my tym się zachwycaliśmy. Ale to nic nowego, bo wiele rodzimych utworów kultury i sztuki i dziś zyskuje u nas uznanie, jeśli najpierw zyska je na Zachodzie.

Nie przyznajemy się do wspólnoty słowiańskiej, gdyż *„w Polsce słowiaństwo było zawsze traktowane bardzo podejrzliwie i stawiane na jednym poziomie z rusofilstwem"*. A powinniśmy być dumni z tego, że należymy do wielkiej rodziny Słowian. Wykazujemy się pełną ignorancją, jeśli chodzi o naszych wschodnich sąsiadów, bowiem uważamy, że *„wszyscy, którzy mieszkają na wschód od nas to są Rosjanie. A przecież jako Polacy nigdy etnicznie nie graniczyliśmy z Rosjanami. Mięzy nami są przecież Białorusini i Ukraińcy. Mało tego, do tych mieszkających tam Słowian mieliśmy zawsze sporo niechęci, a nawet pogardy"*. Tereny na wschód od Buga traktowaliśmy jako ziemie do zdobycia nie interesując się losem ziem etnicznie polskich. Od błędu takiego niewolny był również Józef Piłsudski, który bił się o wschodnie kresy, a nie interesował się losem polskiego Śląska.

Czas zatem najwyższy na zrewidowanie naszych poglądów zarówno na Wschód, jak i Zachód. Będzie to proces bolesny, gdyż trzeba wyzbyć się uprzedzeń, mitów, nieporozumień, do których zbytnio przyzwyczailiśmy się i uznaliśmy je już niemal za pewniki. Ale taki zabieg w naszej świadomości jest dla nas samych i naszej przyszłości konieczny.

W ogóle mówienie prawdy o naszej sytuacji jest bardzo potrzebne. Kolejną taką prawdę przynosi w 10 numerze „PRZEGLĄD TECHNICZNY". Artykuł Małgorzaty Woźniak pt *„Papierowa apokalipsa"* jest taką właśnie porcją prawdy i to bardzo gorzkiej. Wynika z niej że

NIE MA NADZIEI NA TO, ABY BYŁO WIĘCEJ PAPIERU

gdyż stan techniczny przemysłu papierniczo-celulozowego jest więcej niż opłakany. Przemysł ten tworzą 32 przedsiębiorstwa, w których pracują 123 maszyny, a 47 z nich ma już za sobą przeszło 60 lat nieustannej pracy. Tylko 16 maszyn jest w stanie dobrym, 52 — w dostatecznym i 55 — ledwie pracuje. Z pracy w przemyśle papierniczo-celulozowym w 1983 roku odeszło tysiąc pracowników na 45 tysięcy wszystkich pracujących.

Po roku 1977 nastąpiło załamanie w przemyśle papierniczo-celulozowym. Spadła produkcja celulozy, a co za tym idzie i papieru. Ujawnił się wysoki i drastyczny brak papieru, co ma dla polskiej kultury zasadnicze znaczenie i grozi tej kulturze poważnym regresem. Nie potrafimy wykorzystać makulatury, której nam nie brakuje i sprzedajemy ją innym. Centralny Plan Roczny na 1985 rok zakłada produkcję 1 037 tysięcy ton papieru i 223 tysiące ton tektury. Ale — jak pisze Małgorzata Woźniak — już teraz wiadomo, że papiernie *„nie są w stanie wyprodukować papieru i tektury w wielkości nakreślonej w CPR"*. A oto, ile i czego będzie nam brakowało:

— 35,11 tysięcy ton papieru gazetowego,

— 74,4 tysięcy ton papieru do druku i pisania,

— 44,8 tysięcy ton papieru i kartonu pakowego.

Zabraknie też papieru toaletowego — 100 milionów rolek, brakować będzie tektury falistej — 50 tysięcy ton, brakować będzie 62 tysięcy ton tektury do wyrobu papy oraz 1,3 tysięcy ton tektury przemysłowo-technicznej.

Czego nie będzie brakowało? Nie będzie brakowało papieru przemysłowo-technicznego, gdyż wyprodukuje się go o 77,5 tysięcy więcej niż zakładano oraz będzie o 1000 ton więcej bibułki papierowej oraz o 2000 ton więcej papierów do produkcji laminatów. Mało to pocieszające, ale dobrze, że w ogóle czegoś będzie więcej.

Nas najbardziej niepokoi brak papieru gazetowego i do druku książek. Brak ten stanowi bowiem poważne zagrożenie dla obiegu myśli, co jest podstawą rozwoju kultury. Społeczeństwo nasze wymaga daleko idącej edukacji w wielu dziedzinach życia. W procesie tej edukacji zasadniczą rolę odgrywa książka i czasopisma. One to bowiem pozwalają na właściwy obieg myśli i poglądów, wpływają na kształtowanie się społecznej świadomości. Ich roli nie zastąpi ani telewizja, ani radio. Wszystko wskazuje na to, że kryzys w przemyśle celulozowo-papierniczym jest tak głęboki, że na jego przezwyciężenie potrzeba przynajmniej kilku lat. A także pieniędzy, w tym dewiz i możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw specjalistycznych. Tymczasem *„zapianowane inwestycje odtworzeniowo-modernizacyjne w przemyśle celulozowo-papierniczym na sumę 1 190 mln złotych zrealizowano jedynie w 50 procentach"*.

ZBIGNIEW NIENACKI ZAPRASZA

do Olsztyna. Czyni to w „SZPILKACH" (nr 15 z 11 kwietnia 1985 roku) w stałym felietonie *„Chata za wsią"* tym razem pt. *„Jak się pobratać"*. Zastanawia się on w tym felietonie nad tym *„czy nasza ogólnonarodowa literatura wyglądałaby tak jak wygląda, gdyby nie było literatury Ziem Odzyskanych, gdybyśmy 40 lat temu nie wbili słupów granicznych na Odrze, nie odzyskali Warmii i Mazur?"* Pytanie to zadaje z okazji mającego się odbyć pod koniec maja 1985 roku FORUM PISARZY POLSKICH. Na forum to zaproszono wszystkich pisarzy bez względu na ich poglądy polityczne, którzy interesują się problematyką Ziem Odzyskanych.

Zbigniew Nienacki przypomina, że w Polsce centralnej inny ukształtował się stosunek do Niemców, co znalazło swój wyraz w literaturze tam powstającej. *„W powieściach o partyzantce czy w obrazach z Powstania Warszawskiego* — pisze — *Niemiec strzelał i mordował, Niemca się zabijało. Nikogo nie obchodziła psychika okupanta, złożoność motywów, które go niekiedy zaganiały do służby po stronie Hitlera."* Inaczej sprawa kształtowała się u pisarzy z Ziem Odzyskanych, którym przyszło żyć wśród ludzi, którzy będąc Polakami mówili po niemiecku, *„którzy nie z własnej woli musieli walczyć z polskimi partyzantami czy w Łuku Kurskim"*. I dlatego pisarzy z Ziem Zachodnich interesuje psychika niemieckiego żołnierza, motywy jego udziału w wojnie po stronie Hitlera gdyż tym żołnierzem był często Polak z Warmii lub Mazur.

A poza tym — pisze Zbigniew Nienacki — *„ani Tadeusz Konwicki, ani Jan Józef Szczepański, ani Wiktor Woroszylski nie mają swojego Otto Gaube, który do nich pisze listy z pogróżkami"*, co zdarza się ludziom mieszkającym na Ziemiach Odzyskanych. Dlatego dla ludzi z tych ziem niezrozumiały jest filogermanizm, jakiemu hołdują niektórzy polscy pisarze. Przyznaje, że napisał do Otto Gaube i zaprosił go do siebie, *„bo ja naprawdę chciałbym się pojednać ze swoim Otto Gaube, tylko że on nie chce się pojednać ze mną..."* Prosi więc Zbigniew Nienacki Adama Michnika, aby ten napisał do Otto Gaube, że *„40 lat temu Europa zmieniła swój obraz w atlasach geograficznych i nie stało się to z winy Polaków, tylko Adolfa Hitlera"*. I dalej prosi, aby napisał, że on — Zbigniew Nienacki chce się pobratać z Otto Gaube, ale jednocześnie ostrzega go, że *„po przyjeździe — na miejscu swojej starej budy — zobaczy zmodernizowany dom, może go nawet nie pozna, bo on nawet nie raczył ogrodzić podwórka. Niestety* — kończy Z. Nienacki — *nie oddam ani jednej sztachety z tego płotu"*.

POWIEŚĆ EDWARDA KOPCZYŃSKIEGO

zaczęła ukazywać się na łamach „RZECZYWISTOŚCI" Jest to trzecia część tryptyku o miłości i medycynie pt. *„Miłość i medycyna po raz trzeci"*. Z tej to okazji Piotr Wągiel opublikował w „RZECZYWISTOŚCI" (nr 15 z 14 kwietnia 1985 roku) szkic o twórczości Edwarda Kopczyńskiego zatytułowany *„Tryptyk o miłości i medycynie"*.

Piotr Wągiel wysoko ocenia twórczość Edwarda Kopczyńskiego. Zalicza go do najwybitniejszych pisarzy polskich. O scenach miłosnych w *„Barbarze, miłości i medycynie"* pisze, że stanowią one *„egzemplifikacje filozoficznego sensu miłości kobiety i mężczyzny w przestrzeni międzyplanetarnej"* i nikomu z pisarzy, *„może poza Żukrowskim w „Kamiennych tablicach" — nie udało się dorównać Kopczyńskiemu pod tym względem"*. A wątek zmazania winy ojca względem porzuconego niegdyś syna, jaki zawarty jest w *„Mlokosie" „należy do najpiękniejszych i najbardziej kontrowersyjnych kart w polskiej literaturze"*.

Piotr Wągiel chwali wszystkich recenzentów, którzy dobrze pisali o książkach Edwarda Kopczyńskiego, a gani M. Garbolińską, gdyż wyznała, że sceny miłosne jej nie wzruszyły i S. Majchrowskiego, że miał sporo pretensji do autora *„Miłości i medycyny"*.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

W CAŁYM KRAJU

niezwykle uroczyście obchodzono 40 rocznicę podpisania Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między PRL a ZSRR oraz 115 rocznicę urodzin Włodzimierza Lenina. W Warszawie zorganizowano akademię, która odbyła się w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki. Obecni byli przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych, kombatanci drugiej wojny światowej, przedstawiciele Północnej Grupy Wojsk Radzieckich. Przemówienia wygłosili wicepremier Zbigniew Messner i ambasador ZSRR w Polsce Aleksander Aksjonow. Wystąpiło „Mazowsze".

Przedstawiciele władz PRL i ZSRR wymienili okolicznościowe depesze.

TRWAJĄ DNI KULTURY RADZIECKIEJ

Prezentowany jest dorobek radzieckiej literatury, teatru, baletu, malarstwa, grafiki oraz filmu. Z okazji tej w *„Trybunie Ludu"* ukazał się artykuł Piotra Demiczewa — zastępcy członka Biura Politycznego KC KPZR, ministra kultury ZSRR pt. *„Kultura Kraju Rad"*. W artykule tym Piotr Demiczew pisze o przemianach, jakie zachodzą w kulturze Kraju Rad.

„W dzisiejszych czasach, kiedy znacznie wzrosło wykształcenie społeczeństwa i powszechny dostęp do dóbr kultury, coraz większą rolę odgrywają instytucje kultury masowej. Doskonali się ich działalność, centralizuje pracę klubów; powstają kompleksy kulturalne, społeczno-kulturalne i kulturalno-sportowe. Poprawia się system informacji, rozszerza się sieć bibliotek".

O dniach kultury radzieckiej piszemy też na stronie 8.

40 LAT TEMU

dobiegała końca druga wojna światowa. Umęczeni wojną ludzie z niecierpliwością oczekiwali dnia całkowitej klęski faszystowskich Niemiec. Wojska radzieckie zbliżały się do Berlina. Toczyły się walki w zachodniej Europie. 30 kwietnia 1945 roku popełnił samobójstwo Adolf Hitler. 2 maja padł Berlin. 9 maja skapitulowały Niemcy. Walczyła jeszcze Japonia. Ale w Europie druga wojna światowa dobiegła końca. Powszechnym pragnieniem ludzi było żyć teraz w pokoju, odbudować to, co wojna zniszczyła. A zniszczenia były ogromne. Przysięgano sobie, że nigdy nie zapomni się zbrodni faszyzmu.

Minęło 40 lat i nie wszyscy jakoś chcą pamiętać o tamtejszych przysięgach i zapewnieniach. Oto prezydent USA Roland Reagan wybiera się na początku maja 1985 roku do RFN. Proponuje mu się zwiedzenie jednego z hitlerowskich obozów zagłady. Ronald Reagan odmawia. Nie odmawia natomiast złożenia kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza III Rzeszy. Uważa bowiem, że żołnierze hitlerowskiej armii też byli... ofiarami faszyzmu. Jest prawdą, że w armii tej walczyli między innymi mieszkańcy terenów włączonych do Rzeszy, których bez ich woli uznano za obywateli hitlerowskiego państwa. Ale to zupełnie inna sprawa.

Oświadczenie Ronalda Reagana wywołało gorący sprzeciw kombatantów drugiej wojny światowej oraz organizacji żydowskich. Sprzeciwy takie rozległy się również w USA. Pod naciskiem opinii publicznej, pod wpływem tych sprzeciwów Ronald Reagan oświadczył, że odwiedzi jeden z hitlerowskich obozów zagłady.

Dla nas te uznania dla poległych żołnierzy hitlerowskiego Wehrmachtu mają nie tylko sens historyczny i polegają na takim czy innym geście. One mają znaczenie bardzo współczesne, są ukłonem wobec współczesnych żołnierzy Bundeswehry, są jakby zapewnieniem, że współczesna Bundeswehra jest spadkobierczynią tradycji Wehrmachtu i najsilniejszą i najwierniejszą sojuszniczką US Army.

W koszarach Bundeswehry — jak napisał Andrzej Jurczyński w *„Rzeczypospolitej"* — słychać nie tylko marsze wojskowe grane kiedyś w koszarach i na paradach Wehrmachtu i SS, ale nowe pieśni. Oto jedna z nich:

W ciemnym lesie, gdzie „pershing" stoi,
Wszystkich ogarnia mrożący strach.
Róg gra, turbiny wyją,
Zaczyna się odliczanie, stukają komputery...
Komputer gra, va banque, rakieta jest OK,
Wkrótce miot NATO wzniesie się w górę,
Naciskamy guziczek, głowica się odłącza.
I wróg — już jest w grobie...

A właśnie chodzi o to, aby tego guziczka nikt nie nacisnął, abyśmy mogli żyć i tworzyć w pokoju. I temu powinny służyć również gesty i postępowanie prezydenta USA Tak to sobie wyobrażamy, wracając myślą do wydarzeń sprzed 40 lat, kiedy to dobiegała końca druga — najstraszniejsza do tej pory w historii ludzkości — wojna światowa, która pochłonęła 50 milionów ludzkich istnień. Musimy więc — na pamięć ofiar tamtej wojny — zrobić wszystko, aby nie dopuścić do następnej.

ABYŚMY BYLI ZDROWI

ma się o to starać służba zdrowia. Z codziennej praktyki, z naszych doświadczeń wiemy, że praca służby zdrowia, choć trudna i skomplikowana, nie jest najlepsza. Lecznictwo wymaga reform — o czym zresztą piszemy również w tym numerze „Odgłosów". Jak te reformy przeprowadzić? Nad tym debatował Zespół Problemowy do Spraw Reformy w Służbie Zdrowia. W obradach uczestniczył Tadeusz Czechowicz, przedstawiciele ministerstwa zdrowia i finansów oraz łódzcy lekarze. Zapowiedziano eksperymenty mające usprawnić pracę służby zdrowia w Łodzi.

POPULARNY „PRZEKRÓJ"

ukończył 40 lat. Jak na czterdziestolatka pismo jest zwawe i pełne werwy. Gratulujemy i życzymy kilku następnych czterdziestek!

JERZY WILMAŃSKI W „SZPILKACH"

opublikował *„Balladę o dziesięciu Murzynkach"*, która kończy się tak:

I ten ostatni Murzynek
Co życie miał smutne i szare
Też skończył podle i marnie
Bo w Łodzi założył kabaret

A. B. SEKATOR

Czy nadszedł zmierzch Zachodu?

Część II

EDMUND LEWANDOWSKI

Z wielu różnych wizji dziejów ludzkich wynikało, że Zachód stanął w obliczu tak czy inaczej pojętej katastrofy, a przyszłość będzie należała do Wschodu i ustroju komunistycznego. Na podstawie rozmaitych *„znaków czasu"* można było przypuszczać, że w jakimś stopniu prognozy Marksa i Lenina sprawdzają się. Szczególnie duże wrażenie wywoływały w końcu lat pięćdziesiątych radzieckie sukcesy w kosmonautyce. W tej sytuacji wyzwanie marksizmowi rzucił ekonomista amerykański Walt Rostow. W 1960 roku opublikował w Cambridge książkę pt. *„Stadia wzrostu ekonomicznego. Manifest niekomunistyczny"* i ogłosił, że przynajmniej tymczasowo rozstrzygnął problem *„alternatywy dla marksizmu"*. Wydawało mu się, że zdyskredytował marksistowski sposób ujęcia historii nowożytnej.

POGLĄDY WALTA ROSTOWA

Rostow stworzył liearną, optymistyczną dla Zachodu wizję, według której społeczeństwa przechodzą przez pięć stadiów wzrostu gospodarczego. Najpierw długo istniał *„przednewtonowski"* świat statycznych społeczeństw *„tradycjonalnych"*, z hierarchiczną strukturą, niezmiennym systemem wartości, niską wydajnością. Potem pojawiło się przejściowe społeczeństwo (w Anglii ok. 1700 r.), w którym powstały *„prawarunki startu"* do wzrostu ekonomicznego. Następnie społeczeństwa wystartowały do przyspieszonego wzrostu: Anglia ok. 1800 r., USA i Francja — 1860, Niemcy — 1870, Rosja — 1915. W czwartą fazę *„osiągania dojrzałości"* pierwsza wkroczyła Anglia — ok. 1850 r., a później USA — 1900 r., Francja i Niemcy — 1910, Rosja — 1950. I wreszcie ostatnie stadium *„wysokiej konsumpcji masowej"* jako pierwsze osiągnęły USA — ok. 1920 r., a w dalszej kolejności: Anglia — 1930 r., Francja i Niemcy — 1950, zaś Rosja *„igra na jego skraju"*. Poszczególne etapy historii społeczeństw różnią się poziomem technologicznym i tempem wzrostu. Początkowo wzrost nie występuje lub jest bardzo niski (dwa pierwsze stadia), później jest coraz wyższy (trzecie i czwarte stadium) i w końcu zamiera.

Optymizm koncepcji Walta Rostowa polegał na tym, że ukazywała ona model społeczeństwa zachodniego (głównie USA) jako najlepszy i docelowy dla wszystkich krajów świata. Rostow uspokoił obywateli amerykańskich, że nie muszą obawiać się radzieckiego tempa wzrostu, ponieważ jest ono normalne, typowe dla fazy osiągania dojrzałości. A socjalizm nie jest alternatywą kapitalizmu, lecz jednym z substytutów ustrojowych — w dodatku *„niehumanitarnych"* — umożliwiających szybki wzrost gospodarczy.

„Z punktu widzenia ogólnego charakteru i przebiegu rozwoju — czytamy — *Rosja pod żadnym względem nie różni się od ogólnego wzorca, choć podobnie jak inne kraje posiada swoją specyfikę"*.

Gdy Związek Radziecki osiągnie obecny poziom Stanów Zjednoczonych, to niejako automatycznie zmaleje tempo wzrostu jego gospodarki, zaś komunizm *„najprawdopodobniej obumrze"*.

Społeczeństwo wysokiej konsumpcji masowej przedstawiał Walt Rostow jako zdecydowanie pokojowe, gdyż dobrobyt łagodzi agresywność. Zarzewiem wojny mogą się stać jedynie państwa niżej rozwinięte. Na przykład ZSRR — według Rostowa — może w najbliższym czasie wybrać kurs pokojowy lub wojenny, natomiast świat zachodni nie stoi już przed takim dylematem. Zachód jest ostoją wolności i pokoju...

Książka Walta Rostowa zdobyła natychmiast olbrzymi rozgłos, a on sam zrobił szybką karierę — został doradcą prezydentów Johna *Kennedy'ego* i *Lyndona* Johnsona. Niektórzy uznali, że autor raz na zawsze przekreślił komunistyczną perspektywę świata. Czytelnicy mieszczańscy z satysfakcją przyjmowali tezę, że to właśnie Zachód znajduje się w awangardzie rozwoju, że pozostałe kraje pójdą po wytyczonej przezeń drodze. Ale wcześnie też pojawiły się wątpliwości i głosy krytyczne. Wielu uczonych wręcz lekceważąco potraktowało „Manifest niekomunistyczny". Wskazywano na ideologiczny charakter pracy i stronniczą apologię systemu amerykańskiego, a w płaszczyźnie naukowej dostrzegano tylko dość prosty przegląd nowożytnej historii gospodarczej.

OSKARŻENIA ZACHODU

Wkrótce zaś samo życie zadało kłam koncepcji Walta Rostowa. Rzekomo pokojowe Stany Zjednoczone zaangażowały się — kilkanaście tysięcy kilometrów od Ameryki — w brutalną agresję na Wietnam. Amerykanie łamali konwencje międzynarodowe, bombardowali miasta, szpitale, szkoły, niszczyli środkami chemicznymi lasy i pola uprawne, z rasistowską pogardą odnosili się do ludzi o prastarej kulturze, mordowali niewinnych. Nie bacząc na to kardynał Francis Spellman — w okresie świąt Bożego Narodzenia 1966 r. — mówił: *„Nasi żołnierze są tam obecni nie tylko jako żołnierze armii amerykańskiej, ale także jako żołnierze Chrystusa"*. A cztery miesiące wcześniej inny kardynał, Richard Cushing, wtórował politykom, że wojna wietnamska jest konieczną, ponieważ stanowi „jedyny" (sic!) sposób zapewnienia pokoju światowego i cynicznie sugerował, że w agresji tej jest *„ukryty przejaw miłości..."*.

Przy okazji wojny indochińskiej wzmogły się głosy o chorobie cywilizacji amerykańskiej. W 1967 roku słynny lingwista Noam Chomsky pytał:

„Co można powiedzieć o kraju, w którym muzeum nauki w wielkim mieście może zorganizować wystawę, gdzie ludzie strzelają z karabinów maszynowych na helikopterze do kapeluszy Wietnamczyków, a gdy strzał jest celny, zapala się światełko? Co można powiedzieć o kraju, w którym taki pomysł może być w ogóle brany pod uwagę? Trzeba gorzko płakać nad takim krajem".

A dalej pisał, że USA potrzebują pewnej *„defaszyzacji"* (sic!) — że w społeczeństwie amerykańskim jednostki nie mogą zrozumieć i bronić swych prawdziwych interesów tak samo jak w systemie totalitarnym.

Z jeszcze większym oskarżeniem Zachodu wystąpił znany filozof Herbert Marcuse. Uznał on cywilizację kapitalistyczną za pozornie tylko racjonalną i demokratyczną, a w istocie irracjonalną i niewolniczą, ponieważ wykorzystuje rozumne środki do fałszywych, nieludzkich celów (zbrojenia), manipuluje potrzebami, ogłupia jednostki i czyni je *„jednowymiarowymi"*. Człowiek jednowymiarowy miesza fakty z ideałami, nie potrafi w polityce odróżnić prawdy od kłamstwa i — choć przeżywa lęki i frustracje — wykazuje konformistyczne zadowolenie z istniejącej rzeczywistości. Unifikujący, kryptototalitarny system kapitalistyczny rodzi, zdaniem Marcusego, osobowości neurotyczne, dlatego społeczeństwo spragnione jest autentycznej wolności i miłości.

Podobną diagnozę spotykamy w pracach Ericha Fromma. Ten najpopularniejszy bodaj psycholog XX wieku wskazywał, że wolny człowiek Zachodu czuje się wyobcowany i samotny w bezdusznej machinie rynkowej. Prawa kapitalizmu doprowadzają go do zaburzeń nerwicowych. W związku z tym trzeba *„uzdrowić"* całe społeczeństwo i zbudować lepszy ustrój.

„Jedynym konstruktywnym rozwiązaniem — pisał Fromm — *jest socjalizm, który wprowadzi zasadnicze zmiany w naszym systemie ekonomicznym i społecznym w kierunku uwolnienia człowieka od spełniania roli narzędzia dla celów narzuconych mu z zewnątrz, stworzenia takiego porządku społecznego, w którym solidarność ludzka, rozum i produktywność będą zmierzały ku rozwojowi a nie skarłowaceniu"*.

Ale droga do socjalizmu nie powinna prowadzić przez rewolucję polityczno-gospodarczą, jak u marksistów, lecz należy najpierw wyleczyć poszczególne jednostki i następnie stworzyć z ludzi zdrowych kolonie socjalistyczne. W nowych społeczeństwach przewodnią rolę mają odgrywać psychoanalitycy; doktryna psychoanalityczna ma stać się formą religii o funkcjach podobnych do buddyzmu Zen.

W tej naiwnej utopii na uwagę zasługuje przeświadczenie, że trzeba w sposób radykalny odmienić ludzi i ustrój Zachodu, aby życie było autentyczne i szczęśliwe. Charakterystyczne jest też upatrywanie źródeł zła w alienacji człowieka. Niektórzy uczeni są zdania, że w przyszłości alienacja będzie jeszcze większa. Jeśli przejrzymy koncepcje tzw. społeczeństwa postindustrialnego, to napotkamy przeważnie dość ponure wizje jałowego życia konsumpcyjno-rozrywkowego i totalnej manipulacji masami przez technokrację czy merytokrację. Futurolodzy zachodni, jak H. Kahn i A. Wiener, pocieszają się tylko, że alienacja nie zależy od ustroju i wobec tego również w ZSRR może zwiększać się w miarę wzrostu dobrobytu.

Jan Szczepański w odniesieniu do teorii Walta Rostowa stwierdza, że być może wszystkie dawne cywilizacje przechodziły przez podobne stadia. Z historii wynika, jego zdaniem, że etap nie ograniczonej konsumpcji zawsze był początkiem upadku cywilizacji. Gdyby się z tym zgodzić — to pozornie linearna koncepcja okazałaby się jeszcze jedną cykliczną, do której zresztą zbliża ją krzywa wzrostu: najpierw rosnąca i w końcu gasnąca.

W literaturze zachodniej niejednokrotnie doszukiwano się podobieństwa między współczesnym społeczeństwem zachodnim a schyłkiem Cesarstwa Rzymskiego. Także księdzu Teilhardowi de Chardin rzeczywistość USA przypominała kryzys duchowy upadającego Rzymu. A wielu autorom zdumiewająco aktualny wydaje się opis św. Augustyna, który przed piętnastoma wiekami narzekał:

„Nie troszczą się o moralny upadek cesarstwa; wszystko, czego chcą, to pomyślność i bezpieczeństwo (...). Niech prawo strzeże własności, a moralność ludzką pozostawia sobie samej. Niech będzie pod dostatkiem dla każdego, kto zechce, prostytutek, zwłaszcza zaś dla tych, co nie potrafią utrzymać własnych nałożnic. Budujmy wspaniałe pałace i urządzajmy wystawne uczty, gdzie każdy będzie mógł się bawić, pić i obżerać, w dzień i w noc, jak mu się podoba, czy jak go stać. Niechaj wszędzie rozlega się wrzask taneczny, niech teatry rozbrzmiewają lubieżną zabawą oraz wszelkiego rodzaju okrutną i występną przyjemnością (...). Niech tylko będą ostrożni, by ani wojna, ani klęska czy też inne nieszczęście nie przeszkadzało panowaniu dobrobytu".

W owych czasach — dodajmy — liczba dni igrzysk dochodziła aż do 175 w roku, masy proletariatu żyły z zasiłków państwowych, bogaci przekupywali urzędników i uchylali się od płacenia podatków, a główne obciążenia fiskalne spadały na warstwy średnie i niższe. Salwian z Marsylii pisał, że deprawacja, pijaństwo i zboczenia nie maleją mimo śmiertelnego zagrożenia ze strony barbarzyńców.

BOGACZE I SUPERBOGACZE

W dyskusji nad szansami Zachodu dużą rolę odegrała również książka ekonomisty i socjologa amerykańskiego Ferdinanda Lundberga — *„Bogacze i superbogacze. Studium na temat potęgi pieniądza w dzisiejszych czasach"*, która ukazała się w 1968 r. Autor wsławił się już trzydzieści lat wcześniej pracą pt. *„Ameryka 60 rodzin"*, w której dowodził, że społeczeństwo i rząd Stanów Zjednoczonych są terenem dominacji 60 najbogatszych, wzajemnie powiązanych rodzin, podpartych przez ok. 90 mniej zamożnych rodzin i otoczonych kręgiem ok. 350 innych o dochodzie przekraczającym 100 tys. dolarów rocznie. W nowej książce, liczącej 800 stron drobnego druku, podważył mit USA jako rzekomo wzorcowego kraju. Podał on, że każdego roku ginie tu 17 tys. osób zamordowanych przy pomocy broni palnej, że w ten sposób od 1900 r. poniosło śmierć 850 tys. ludzi, że w regularnych odstępach morduje się nawet prezydentów (Lincoln, Garfield, McKinley, Kennedy), że gwałt i przemoc są głównym tematem filmów amerykańskich. Stany Zjednoczone dawno przestały być krajem równych szans, gdyż panuje w nich *„dziedziczna"* klasa posiadaczy, zamykająca drogi awansu i sprawująca niemal pełną kontrolę nad całą gospodarką i polityką. Rozwój sytuacji w USA prowadzi w kierunku *„jakiegoś straszliwego kryzysu w przyszłości, jakiegoś katastrofalnego rozrachunku"*. Lundberg wyśmiał nawoływania prezydenta Johnsona do ogólnonarodowych modłów. *„Albowiem modły raczej niż nauka czy rozum* — pisał — *są narzędziem politycznych znachorów"*. Zdaniem uczonego, jeśli Stany Zjednoczone nie są w stanie rozwiązać własnych poważnych problemów wewnętrznych, to trudno oczekiwać, że zajmą się problemami innych państw świata.

PROROCTWO SPRZED 150 LAT

W powojennym czterdziestoleciu większość specjalistów w sprawach światowych koncentrowała swą uwagę na pozycji międzynarodowej USA i ZSRR. Podobnie jak niegdyś Spengler, Lenin i Toynbee zakładano, że przyszłość cywilizacji zachodniej i całego świata zależy od dalszego rozwoju i liczby zwolenników obu supermocarstw. Należy tu odnotować, że pierwszym człowiekiem, który przewidział tak wielkie znaczenie tylko dwóch wymienionych państw był Alexis de Tocqueville. Już w 1835 roku pisał on:

„Żyją dzisiaj na ziemi dwa wielkie narody, które — choć odmienne były ich początki — zdają się zmierzać ku jednym celom. Są to Rosjanie i Angloamerykanie (..). Rzec by można, że wszystkie inne narody osiągnęły już to, co miały osiągnąć, podczas gdy te dwa ciągle pną się w górę. Wszystkie inne narody zatrzymały się już w miejscu lub rozwijają się z największym wysiłkiem — one zaś lekko i pospiesznie kroczą ku potędze, której granic umysł ludzki nie potrafi przewidzieć... Ich punkty wyjścia są różne i odmienne są ich drogi, lecz na mocy tajemnych planów Opatrzności zdają się być powołani do tego, by kiedyś w rękach każdego z nich znalazły się losy połowy świata".

Przypominam i podkreślam, że proroctwo to opublikowano 150 lat temu!

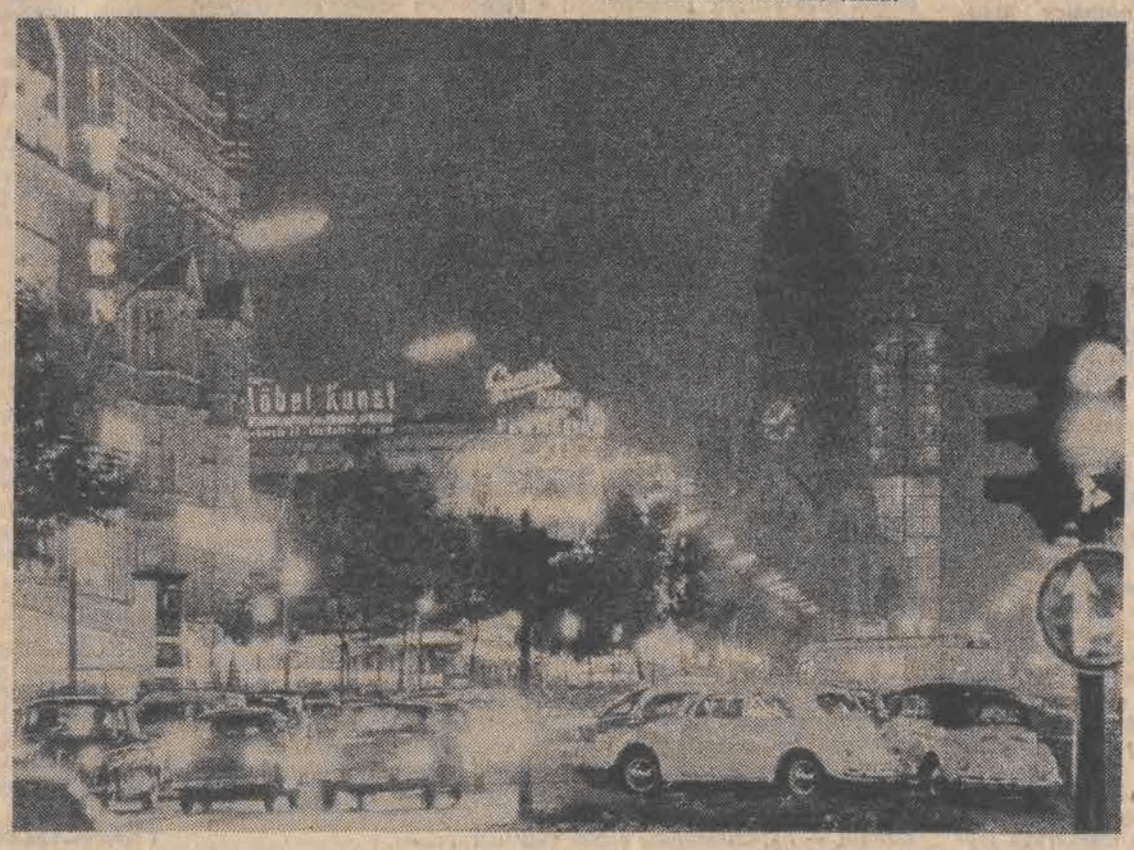

Jak zmieniała się pozycja światowa obu państw? Otóż pod koniec XIX wieku udział Stanów Zjednoczonych w produkcji przemysłowej świata wynosił 27 proc., Wielkiej Brytanii — 28 proc., Niemiec — 18, Francji — 9, a Rosji zaledwie 3 procent. W 1950 roku same Stany Zjednoczone dawały aż 44 proc. produkcji światowej, kraje EWG i Wielka Brytania — 22 proc., a Związek Radziecki — 12 procent. Dwadzieścia lat później udział USA spadł do 27 proc., ZSRR wzrósł do 22 proc., zaś EWG i W. Brytanii spadł do 18 procent. W latach 1970—1983 wskaźnik dynamiki produkcji przemysłowej wynosił: dla świata (bez Chin) — 158, dla USA — 136, dla ZSRR — 197, natomiast dla głównych państw Europy Zachodniej (Francji, W. Brytanii, RFN i Włoch) — zaledwie 122.

Wkrótce po zakończeniu II wojny światowej Związek Radziecki został uwikłany w morderczy wyścig zbrojeń. W celu zapewnienia swego bezpieczeństwa wprowadzał do uzbrojenia kolejne systemy broni: bombę atomową — cztery lata później niż Stany Zjednoczone, bombę wodorową — w tym samym roku, rakiety międzykontynentalne — dwa lata później, atomowe łodzie podwodne — sześć lat później, antyrakiety — rok później, rakiety wielogłowicowe — pięć lat później. Aż w końcu w 1972 roku USA zmuszone zostały uznać równorzędność militarną ZSRR i podpisały układ o ograniczeniu zbrojeń strategicznych; ale niebawem okazało się, że wyścig wcale się nie skończył. Ostatnio — w związku z kolejną próbą zdobycia przewagi militarnej nad Związkiem Radzieckim — Andriej Gromyko oświadczył, że jego kraj ma wystarczająco bogate zasoby materialne i intelektualne, aby sprostać wyzwaniu amerykańskiemu.

Pod koniec lat siedemdziesiątych wydajność pracy w przemyśle radzieckim wynosiła 55 proc. poziomu USA, lecz w 1913 r. wydajność w Rosji sięgała zaledwie 11 proc. poziomu amerykańskiego. W ciągu sześciu dziesięcioleci dokonał się zatem w ZSRR olbrzymi postęp, który ograniczyły przecież monstrualne straty poniesione w dwóch wojnach światowych i wojnie domowej. Jeśli chcemy dziś ocenić rezultaty dotychczasowego rozwoju socjalistycznego, to musimy przywołać obraz Rosji przedrewolucyjnej. Był to kraj, w którym 82 proc. ludności mieszkało na wsi, wydajność zbóż z ha wynosiła 8,2 q, tylko 25 proc. dzieci uczęszczało do szkół, aż 76 proc. dorosłych stanowili analfabeci. W 1929 roku — już po akcji walki z analfabetyzmem — nadal tylko 51 proc. umiało czytać i pisać. Zarówno w mieście jak i na wsi większość ludności mieszkała w jednej izbie — sypiając na kilku poziomach. W patriarchalnej rodzinie wielopokoleniowej niemal wszystko potrzebne do życia wytwarzano we własnym zakresie; pracować musieli wszyscy, również dzieci i starcy, dzień pracy liczył 12—16 godzin. Taką biedną i zacofaną „bryłę" ruszyła z posad Rewolucja Październikowa.

Związek Radziecki ma niewątpliwie olbrzymie możliwości rozwoju. Wydaje się, że to wielonarodowe społeczeństwo (Rosjanie stanowią dziś 52 proc., Ukraińcy 16 proc., Białorusini 3 proc.) stworzy cywilizację będącą przede wszystkim odpowiedzią na przyrodnicze wyzwanie syberyjskie i polityczne wyzwanie kapitalistyczne. Na rozległych przestrzeniach od Bugu do Pacyfiku obserwujemy najwyraźniej świt nowej epoki. Poważnym atutem wschodzącej cywilizacji jest jedność w różnorodności etniczno-kulturowej.

GRANICA

Po II wojnie światowej granica między Wschodem a Zachodem ustaliła się na Łabie. W ten sposób rzeka ta już po raz trzeci w dziejach naszej ery zaczęła oddzielać dwa odrębne światy kulturowe. Najpierw od ok. VI wieku stała się linią graniczną między ludami słowiańskimi a germańskimi; dopiero w ciągu X stulecia (ostatecznie w XII wieku) Niemcy podbili Słowian połabskich, co pozwoliło im oprzeć granicę na Odrze. Następnie w XVI wieku powstał wzdłuż linii Łaby i wschodnich Alp podział gospodarczy Europy (dualizm agrarny): w części zachodniej rozwijała się indywidualna gospodarka chłopska i zanikało poddaństwo, a na wschodzie umacniały się folwarki, rosła pańszczyzna i zapanowało *„wtórne poddaństwo"* przypominające niewolnictwo. W stosunku do szybko rozwijających się krajów zachodnich, Europa Wschodnia utrwalała swoje zacofanie i faktycznie znalazła się — zdaniem Witolda Kuli — w sytuacji kolonialnej.

Obecnie znowu rozwój społeczny po obu stronach Łaby zmierza w odmiennych kierunkach. Tym razem jednak Zachód trwa przy dawnym ustroju, a Wschód obrał drogę rewolucyjną.

Socjalistyczne kraje Europy Wschodniej mają razem 410 mln ludności; w tym narody słowiańskie liczą ok. 275 mln, czyli dwie trzecie. Z głównych odłamów Słowiańszczyzny w ciągu bieżącego tysiąclecia najbardziej wzrosła liczba Słowian wschodnich — aż 48 razy, następnie zachodnich — 26 razy i południowych — 21 razy. Trzeba przyznać, że największy sukces osiągnęła grupa wielkoruska (posiadająca domieszkę ugrofińską i bałtyjską): zrzuciła jarzmo mongolskie, wywalczyła dojście do Bałtyku i Morza Czarnego, zagospodarowała ziemie od Uralu po Ocean Spokojny, rozgromiła potężne armie inwazyjne Napoleona i Hitlera, stworzyła państwo o rozmiarach kontynentalnych. Charakter słowiański w połączeniu z silną władzą państwową dał imponujące efekty historyczne.

W poprzednim stuleciu wśród intelektualistów wschodnioeuropejskich popularne były prognozy nadejścia *„ery słowiańskiej"*. Przyjmowano, że w przeciwieństwie do starych, zepsutych cywilizacją ludów romańskich i germańskich, Słowianie są jakby młodymi barbarzyńcami, do których będzie należała przyszłość.

Nie można dziś wykluczyć, że tak właśnie się stanie. Być może ci *„najmłodsi z Ariów"* przejmą rolę awangardy procesu historycznego, zaś narody zachodnie — zgodnie z przewidywaniami wielu historiozofów — stopniowo znajdą się na drugim planie. W każdym bądź razie losy dotychczasowych kultur zdają się wskazywać, że — jak lapidarnie ujął Engels — *„tylko barbarzyńcy zdolni są odmłodzić świat cierpiący na zmierzch cywilizacji"*.

Miesiąc Pamięci Narodowej

Tak miało być...

Przedstawiamy kilka dokumentów niemieckich, dotyczących walki biologicznej, jaką prowadziły Niemcy hitlerowskie z narodem polskim, na terenie tzw. Kraju Warty („Warthegau"). Wymowa tych dokumentów budzi grozę, uzmysławiając nam czym był niemiecki nacjonalizm i nie pozostawiając wątpliwości co do losów narodu polskiego, gdyby wojnę wygrała Trzecia Rzesza.

Namiestnik Rzeszy
I/52
113/5—4

Poznań, dnia 16.IX.1941 r.

Do
Panów **Prezydentów Regencji**
w Inowrocławiu, Łodzi i
Poznaniu

z odbitkami dla pp. starostów, nadburmistrzów i Urzędów Zdrowia
Dotyczy: Zawierania małżeństw przez Polaków

Z powołaniem się na ustne zarządzenie wydane już przy różnych okazjach Panom Prezydentom Regencji, Starostom i Nadburmistrzom, zarządza się na obszarze Kraju Warty, ze skutkiem natychmiastowym, aż do czasu wejścia w życie przepisu prawnego wydanego przez Rzeszę, co następuje:

Polakom wolno zawierać małżeństwa dopiero po ukończeniu 26 roku życia, Polkom zaś, po ukończeniu 25 roku życia. Wyjątki są niedopuszczalne.

Za Polaków względnie Polki w sensie niniejszego dekretu uważa się wszystkich byłych obywateli Państwa Polskiego, stosownie do § 1 ust. 3 rozporządzenia o niemieckiej liście narodowościowej i niemieckiej przynależności państwowej na przyłączonych obszarach wschodnich z dnia 4.III.1941 r. (...), chyba że w międzyczasie uzyskali niemiecką przynależność państwową albo zostali wpisani do działu III lub IV niemieckiej listy narodowej, albo są w posiadaniu wykazu repatriacyjnego, albo też przez przedłożenie zaświadczenia niższej władzy administracyjnej udowodnią, że nie należą do narodowości polskiej (...).

w zastępstwie podpisał: Jager

Namiestnik Rzeszy
I/50

Poznań, dnia 10.XII.1942 r.
do rąk Nadradcy
Rejencyjnego **Webera**

Dotyczy: wieku przy zawarciu małżeństw przez Polaków.

Na Pańskie telefoniczne zapytanie, czy ze względu na podniesienie wydajności pracy byłoby możliwe zezwolić Polakom w poszczególnych wypadkach na zawarcie małżeństw przed osiągnięciem wieku ustalonego dla Warthegau, muszę niestety stanąć na stanowisku, że pod żadnym warunkiem nie jest to możliwe. Nasza polityka narodowościowa w stosunku do Polaków nie jest w obecnym stanie polityką władzy („Machtpolitik"), ale biologiczną rozprawą. Uważam za zupełnie wykluczone, aby Polacy w Warthegau zagrażali kiedykolwiek naszej władzy. Od dziesiątków lat jednak znajdujemy się z nimi w stanie ciężkiej biologicznej rozprawy. W interesie podniesienia wydajności pracy możemy więc ustąpić tylko w takich sprawach, gdzie chodzi jedynie o przeprowadzenie uprawnień wynikających z naszej władzy, względnie o utrzymanie porządku publicznego. Musimy także Polakom przyznać w granicach możliwości wyżywienie i odzież, abyśmy mogli ich wykorzystać jako siłę roboczą. Pod żadnym warunkiem nie możemy jednak robić ustępstw tam, gdzie chodzi o zasady naszej polityki w stosunku do Polaków, a mianowicie o wyżej wymienioną biologiczną rozprawę, a przede wszystkim wówczas, gdy idzie o to, aby Polacy mieli mniej dzieci aniżeli my. Celowi temu służy właśnie podniesienie wieku przy zawieraniu małżeństw.

z polecenia
(—) podpis nieczytelny

Inspektor Policji Bezpieczeństwa i SD
Poznań
Nr 4192/41. D. Gzl.

Poznań, 12. XII.1941 r.
Nie przeznaczone dla innych urzędów.

Do
Centrali Przesiedleńczej
Z Hd. von SS-Obersturmbannführer
Krummey w Łodzi

Dotyczy: Ochrona rasy, jako podstawa biologicznej polityki ludnościowej.

W załączeniu przekazuję elaborat honorowego członka służby bezpieczeństwa (SD) w Łodzi, dotyczący ochrony rasy jako podstawy biologicznej polityki ludnościowej. Przy przeprowadzaniu akcji Wolstein, będzie mógł być częściowo uwzględniony ten punkt widzenia.

(—) Damzog

A oto fragment owego eloboratu:

(...) Według dotychczasowych doświadczeń, bazujących na wielotysięcznych próbach, rasowo wartościowa część polskiej ludności nadająca się do zniemczenia, stanowi tylko nieznaczny odsetek narodu polskiego, przy czym górne warstwy, jak to niedawno znowu stwierdzono, na skutek trwającego nadal ich szowinistycznego nastawienia, nigdy zniemczyć się nie dadzą. Zresztą, u większości wchodzących w rachubę osób i rodzin chodziłoby nie tyle o wcielenie ich do niemieckiego (Eindeutschung), ile o przywrócenie ich niemieckości (Rückdeutschung.). Jak wszędzie bowiem w całym świecie, tak też i tutaj wartościowi rasowo Niemcy, którzy bądź pojedynczo, bądź też w całych grupach wywędrowali ze starej ojczyzny na wschód, roztapiają się ustawicznie w narodzie polskim. I tak zdołano np. stwierdzić, że na 4.000 tutejszych polskich robotników, badanych pod względem rasowym, a przeznaczonych na wysłanie do Rzeszy, odsetek rasowo dobrze wyglądających ludzi o brzmiących z niemiecka nazwiskach był nieproporcjonalnie wysoki. (...)

Ponieważ w walce narodowościowej zwycięzcą zostaje zawsze biologicznie silniejszy, musimy w tych warunkach wysunąć postulat, dyktowany koniecznością rasową i polityczną, mianowicie postulat złamania siły biologicznej narodu polskiego za pomocą wszystkich zmierzających do tego celu środków. Do osiągnięcia tego celu wysunąłem niedawno w innym miejscu projekty, które jeszcze raz postaram się tu powtórzyć, jakkolwiek w ostatnim czasie niektóre z nich zostały urzeczywistnione:

1. Ustanowienie dolnej granicy wieku, jak też minimum dochodu dla polskiego małżeństwa, umożliwiającego utrzymanie samolstnego gospodarstwa domowego z własnego zarobku. (...)
2. Opodatkowanie nieślubnego ojcostwa. (...)
3. Uprzywilejowanie nieżonatych i bezdzietnych polskich sił roboczych przez umożliwienie im pracy w miejscu rodzinnym. (...)
4. Planowe wysyłanie żonatych Polaków i zamężnych Polek na roboty do Rzeszy. (..)
5. Szeroko przeprowadzona sterylizacja polskich warstw prymitywnych. (...)
6. Utworzenie specjalnego systemu prawnego dla obcych narodowo grup, żyjących na wschodnich obszarach. (...)

Służba Bezpieczeństwa
Dowódcy SS na Rzeszę
Ekspozytura w Poznaniu
Az L—Hö/Pr.

Poznań dn. 26.II.1943 r.

Do
Obersturmbannführera **Krummey**
Centrala Przesiedleńcza Łódź
w Łodzi

Dot.: danych o ruchu ludnościowym niemieckim i polskim w Okręgu Kraju Warty (Reichsgau Wartheland)

W załączeniu przesyłam odpis poufnie sporządzonego raportu Namiestnika Rzeszy, z prośbą o osobiste przyjęcie do wiadomości.

(—) Höppner
SS Sturmbannführer

Raport zawiera następujące dane:

A. Liczba urodzeń.

Brak dokładnych danych co do liczby mieszkańców powoduje, że i liczby statystycznych urodzeń Niemców, jak i Polaków nie są absolutnie pewne. W każdym razie ponowny wzrost liczby urodzeń polskich po minimum z roku 1941 jest godny uwagi.

B. Urodzenia nieślubne.

Od drugiego półrocza 1941 r. do pierwszego półrocza 1942 r. liczba nieślubnych urodzeń Polaków wzrosła więcej niż dwukrotnie, podniosła się bowiem z 1,9 do 3,9 na tysiąc. Niewątpliwie, przyczyną tego zjawiska jest pewnego rodzaju proces kompensacyjny wobec silnie ograniczonej u Polaków liczby zawieranych małżeństw

C. Zawieranie małżeństw.

W roku 1942 na terenie okręgu Kraju Warty liczba zawartych małżeństw polskich wyniosła tylko 1,2 na tysiąc. Należy się spodziewać, że przy stałym utrzymywaniu na niskim poziomie liczby zawieranych małżeństw polskich osiągnie się w ciągu kilku lat, jako rezultat dotychczas zastosowanych środków, znaczny spadek płodności małżeńskiej u ludności polskiej.

D. Zgony.

Liczba śmiertelności Polaków w Okręgu od roku 1941 (14,6 na tysiąc) wzrosła bardzo silnie i wynosi dzisiaj 17,4 na tysiąc. Jest zatem o prawie 40 proc. wyższa od liczby wykazującej śmiertelność ogółu ludności byłych województw zachodnich Polski z lat 1936—1938. Nie ulega wątpliwości, że do wzrostu śmiertelności Polaków przyczyniła się i to w znacznej mierze — gruźlica.

E. Śmiertelność niemowląt.

Śmiertelność niemowląt polskich wzrosła od pierwszego półrocza 1942 r. z 14,4 proc. do 18,9 proc, jednak jej przeciętna roczna za 1942 rok wynosi 16,7 proc. wobec 18,4 proc. przeciętnej rocznej za rok 1941.

W kwietniowe dni Pamięci Narodowej warto poświęcić chwilę refleksji losowi gotowanemu narodowi polskiemu. A także zadaniom, jakie stoją przed nami, aby czas śmierci i poniżenia nie mógł się nigdy powtórzyć.

Dokumenty pochodzą z „Biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce", wydanego w 1947 r.

Wybrał i opracował:
PIOTR SIKORSKI

Fiasko szaleńczych planów

I.

Do grupy młodych, pięknych dziewcząt, ubranych w stroje gimnastyczne, podchodzi przystojny młody oficer SS z notesem w ręku.

— Czy wiecie, koleżanki, w jakiej sprawie przychodzę?

— Domyślamy się — odpowiedziały chórem.

— To dobrze. Teraz ustawcie się w rzędzie i kolejno będziecie podchodzić do mnie. Wciągnę was na listę ochotniczek do „Lebensbornu".

Na temat „Lebensbornu" często rozmawiał ze swoim lekarzem, pochodzenia fińskiego, dr F. Kerstenem główny szef Gestapo H. Himmler. Otaczał się on zwykle smukłymi, jasnowłosymi, o niebieskich oczach ludźmi. Zdaniem jego tacy osobnicy nigdy nie mogli być ludźmi tak złymi i przewrotnymi, jak ciemnowłosi. Po wojnie — twierdził szef Gestapo — wszystkie odpowiedzialne stanowiska w Wielkiej Rzeszy obsadzone będą wyłącznie blondynami. Ciemnowłose dzieci przestaną przychodzić na świat, gdy matki ich będą jasnowłose. Dlatego blondynki korzystać będą ze specjalnych przywilejów, a żenić się z nimi będą mogli tylko zasłużeni dla III Rzeszy Niemcy.

— Zezwolenia na zawieranie takich małżeństw w imieniu führera będę wydawał wyłącznie tylko ja sam — podkreślił dobitnie Himmler. *— Ci, którzy ośmielą się zawrzeć małżeństwo wbrew mojej woli, zostaną wykluczeni z partii i utracą wszelkie prawa, a przede wszystkim będą musieli zrezygnować ze swych dotychczasowych stanowisk.*

Zdaniem reichsführera każda kobieta niemiecka, godna urodzenia dziecka najczystszej rasy germańskiej, powinna spełniać swe obowiązki rozrodcze do 30 roku życia, przynosząc na świat co najmniej jednego potomka. Najbardziej wybitni i zasłużeni Niemcy w nagrodę będą mogli mieć dwie żony. Państwo zapewni im odpowiednie do ich zasług stanowiska i wynagrodzenia. Korzyści dla państwa z takich małżeństw będą ogromne Nastąpi bowiem wzrost ilości urodzin, a jakość ich potomków będzie bardzo wysoka.

Przed wydaniem zezwolenia na małżeństwo zarówno mężczyzna, jak i kandydatka na żonę będą poddani bardzo dokładnym badaniom lekarskim dla ustrzeżenia się przed wszelkiego rodzaju chorobami. Takie małżeństwa za zasługi położone w wydaniu na świat, jak najbardziej zdrowych, odpowiadających pod każdym względem zasadom nowej rasy dzieci, będą dekorowane wysokimi odznaczeniami państwowymi. Kobietom, w zależności od ilości i jakości zrodzonych potomków, nadawane będą specjalnie przeznaczone dla matek ordery brązowe, srebrne i złote. Za ośmioro dzieci prócz orderu złotego, nadawane będą tytuły „świętej matki III Rzeszy".

Na pytanie doktora Kerstena, czy w przyszłym nowym prawie małżeńskim przewidziane będą rozwody, Himmler odpowiedział:

— Będą one stosowane tylko w odniesieniu do niektórych wypadków. Będą mogli z niego skorzystać przede wszystkim zasłużeni oficerowie i żołnierze, których żony nie są pochodzenia aryjskiego, i które nie mogą płodzić. W wypadku, gdy bezpłodnym okaże się mąż, wtedy miejsce jego zajmie skierowany przez specjalny urząd do tych spraw inny zdolny do zapładniania mężczyzna. Dziecko, które z tego stosunku przyjdzie na świat, zostanie uznane za legalnego potomka, a ojciec prawowitego małżonka jego matki.

— A gdyby kobieta pozbawiona męża bezpłodnego, sprzeciwiła się narzuconemu nowemu małżonkowi?

— Wtedy zostanie uznana i napiętnowana jako wróg narodu niemieckiego.

— A jak będą traktowane kobiety niezamężne?

— Tak samo jak żony bezpłodnych mężów. Skierujemy je do kwalifikowanych płodzicieli, dzięki czemu będą mogły rodzić führerowi zdrowe i czystej rasy dzieci.

II.

Zastępca Hitlera R. Hess na zebraniach młodzieżowych wprost zachęcał do rodzenia dzieci nieślubnych.

— *Każda panna* — krzyczał w porywie entuzjazmu — *powinna się chlubić urodzeniem bodaj jednego dziecka w „Lebensborn", a zasłużeni oficerowie SS zaszczytem, że są ich ojcami. Jestem ojcem* — krzyczał Hess wśród hucznych braw — *wszystkich nieślubnych dzieci.*

Utworzono „Małżeński Instytut Rasowy". Mieścił się on w cichych, przytulnych urządzonych z bajecznym wprost przepychem willach miasteczka nad Tagensee Wille te stanowiące przed wojną własność żydowską, gościły przeważnie urlopowanych SS-owców i ich narzeczone na przeciąg jednej nocy.

Pensjonariuszki „Lebensbornu" odbywały porody w wybranych przez siebie klinikach, a po urodzeniu dziecka przebywały przez dłuższy czas w ośrodkach wypoczynkowych. Ponadto mogły korzystać z masaży i zabiegów kosmetycznych, organizowanych w specjalnych instytutach.

W stosunku do cudzoziemek, pensjonariuszki rodzime zachowywały się dość powściągliwie. Po pierwsze — dlatego, że istniał bardzo surowy nakaz nieprzyjaźnienia się z kobietami obcymi — przestępczyniami, przywożonymi z więzień lub z obozów koncentracyjnych. Po wtóre, ze względu na uprzedzenie i nienawiść, jakie okazywały Niemki wobec bardziej urodziwych i piękniejszych cudzoziemek.

Każda pensjonariuszka miała swego wybranego partnera, któremu wolno było spędzić z wybranką dwa dni w tygodniu. Raz w tygodniu Niemki mogły za przepustką opuścić „Lebensborn" i udać się do pobliskiego miasta. Do bardziej oddalonych miejscowości nie wydawano zezwoleń. Dzieci po porodzie bez wiedzy matek odłączano i wywożono do odległych miejscowości na wychowanie państwowe.

Wszelkie stosunki między dawnymi znajomymi w „Lenbensbornie" były ostro zakazane. Raz zdarzył się wypadek wykradzenia przez oficera SS pięknej Norweżki z willi „Freia", położonej nad Renem w pobliżu Wiesbadenu. Po schwytaniu obojga, oficera rozstrzelano, a cudzoziemkę uśmiercono.

III.

Pierwsza organizacja „Lebensbornu" powstała w Monachium. Zrzeszała ona uznane pod każdym względem za rasowe kobiety niemieckie, które zobowiązywały się do rodzenia i ofiarowywania dzieci führerowi. Partnerami ich byli wybierani przez ekspertów do spraw rasy spośród szeregów SS młodzi atletycznie zbudowani — najdoskonalsze okazy rasy nordyckiej.

Rekrutacja kandydatek na przyszłe matki była dobrowolna. Przyjmowano przeważnie panny w wieku 18 do 25 lat po uprzednim dokładnym sprawdzeniu ich aryjskiego pochodzenia i przynależności do NSDAP, kobiecych organizacji partyjnych (Bund Deutscher Mädel) lub do służb w armii. Sprawdzaniem czystości rasy zajmował się specjalny urząd do spraw rasowych tak zwany „Amt für Rassenkunde". Każda zgłaszająca się kandydatka musiała składać przysięgę o zachowaniu bezwzględnej tajemnicy nawet przed rodzicami o tym, co działo się w „Lebensbornie". Partnerami kandydatek mogli być zarówno kawalerowie, jak i żonaci. Podobnie, jak partnerki składali przyrzeczenie o zachowaniu tajemnicy i byli badani pod względem rasowym.

Prócz Niemek — dobrowolnych ochotniczek, mieszkankami „Lebensbornów" były także wybierane i przewożone przemocą z więzień i obozów koncentracyjnych, najpiękniejsze, odpowiadające rasie germańskiej, cudzoziemki, tak zwane Ausländerki. Po urodzeniu dwojga dzieci odwożono je z powrotem do miejsc przeznaczenia, poddając zabiegom sterylizacyjnym, a nieraz uśmiercano.

IV.

Pensjonariuszki „Lebensbornów" żyły w warunkach wyjątkowego dobrobytu. Nawet podczas wojny nie odczuwały ograniczeń aprowizacyjnych. Każda kobieta, która dla dobra Wielkich Niemiec („für führer und Vaterland") zgłaszała się do „Lebensbornu", otrzymywała poza apartamentem w specjalnym hotelu, pensję zależną od czystości swej rasy i od przekonań politycznych, opiekę lekarską, miejsce we wzorowym żłobku dla przyszłego dziecka, wspaniałe stroje i wykwintne wyżywienie Ponadto wręczano jej serię fotografii SS-manów, przybywających w najbliższym czasie na urlop, z prawem wyboru przyszłego ojca dziecka.

Przez organizację „Lebensborn" przeszło w ogóle ok. 250 tysięcy młodych, sfanatyzowanych dziewcząt niemieckich, w tym wiele awanturnic, kobiet które nie mogły oprzeć się pokusie łatwego i luksusowego życia. Ćwierć miliona kobiet na rozkaz führera w hitlerowskich wylęgarniach „nadludzi" urodziło kilkaset tysięcy dzieci.

V.

„Lebensborn" nie ograniczał swojej działalności jedynie do terytorium Niemiec. Działał również na terenach okupowanych. Poza kojarzeniem par prowadził również akcję germanizowania dzieci innych narodowości, odbieranych rodzicom i wywożonych do Niemiec. Wśród dzieci tych dość pokaźną liczbę stanowiły dzieci polskie, a prowadzona przez Polski Czerwony Krzyż akcja rewindykacyjna i poszukiwań w Niemczech natrafiała często na ślady tej zbrodniczej działalności.

Dzieci, które przyszły na świat w domach „Lebensbornu", w myśl statutu miały w przyszłości zasilić kadry organizacji partyjnych. Chłopcy po przejściu specjalnego wyszkolenia fizycznego mieli zostać przyjęci do tak zwanych szkół wodzów „Ordensturgen".

Część dzieci urodzonych w „Lebensbornach" przechowywano w przytułkach. Niemcy troskliwie ukrywali ich pochodzenie. Inne dzięki zawierusze wojennej zostały zabrane przez własne matki. Jeszcze inne zaraz po urodzeniu zostały adoptowane przez wybitniejszych członków partii.

Do dziś w Niemieckiej Republice Federalnej żyją matki, które dzięki macierzyństwu kierowanemu przez ekspertów od spraw rasy wspominają z pewną łezką sentymentu dawne czasy, w których przyszło im żyć i na rozkaz führera rodzić.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

ze str. 1

wej umieralność niemowląt jest wyższa niż w innych grupach społecznych. Tu decydują uwarunkowania materialne, społeczne, kultura i higiena. To już zadanie dla polityki socjalnej.

— Mamy też program walki z rakiem, który również stawia konkretne cele.

— Tak. Jest program rządowy walki z rakiem. Zapoczątkowany w latach siedemdziesiątych. Zaplanowano wówczas na jego realizację 9 miliardów złotych i znaczną kwotę dolarów, i określono, jako zadanie do 1990 roku, podwojenie liczby wyleczeń. To jest również przykład właściwego planowania i programowania pracy w służbie zdrowia. Można oczywiście dyskutować, czy podwojenie liczby wyleczeń do 1990 roku jest na miarę naszych możliwości, czy nie W Polsce chory na raka — jak to się popularnie mówi — czyli cierpiący na chorobę nowotworową ma szansę przeżycia blisko 5 lat. W innych krajach — 10 lat. Ale są to już rozważania szczegółowe. Nam tu chodzi głównie o metodę i ten przykład metodę tę potwierdza.

— Jakie inne cele należałoby postawić?

— Na przykład, dlaczego tylu mężczyzn umiera w wieku produkcyjnym, jakie są tego przyczyny i co zrobić, aby ten stan zmienić. Sytuacja wygląda tak. Jeśli weźmiemy pod uwagę mężczyzn i kobiety w wieku od 18 do 60 lat, to wśród umierających jest 3,5 raza więcej mężczyzn. Inaczej ujmując, co 6 umierający spośród Polaków w wieku od 18 do 60 to mężczyzna w wieku produkcyjnym. Medycyna musi zatem postawić sobie jako cel zmianę tej sytuacji, musi dążyć do zmniejszenia liczby zgonów mężczyzn — jak to się niekiedy mówi — w sile wieku.

Inne zagrożenie naszego zdrowia — to choroby układu krążenia. Coraz więcej ludzi na nie zapada. Należy zatem postawić pytanie, dlaczego tak się dzieje, jakie są tego przyczyny i co zrobić, aby i ten stan zmienić, czyli zmniejszyć liczbę zachorowań. Takich pytań można postawić więcej.

— Jaką zatem przyjąć metodę rozumowania, bo samo stawianie pytań nie wystarczy?

— Zrozumiałe. Ogólnie mówiąc, należy przyjąć, że jeśli dla danej choroby wskaźnik zachorowań czy zgonów wynosi X procent, to do jakiego poziomu trzeba go obniżyć do 2000 roku, jak ten cel osiągnąć w naszych warunkach, przy naszych możliwościach.

— Na początku naszej rozmowy powiedział pan, że wiedza służby zdrowia o stanie zdrowia Polaków jest niepełna. W tej sytuacji wszelkie programowanie wyleczeń czy zmniejszenia liczby zgonów jest mało precyzyjne. Przecież nie wiadomo, ilu ludzi chodzi z chorobą i jeszcze nie trafiło do lekarza.

— Ano właśnie. Na początku pani mnie poczęstowała dowcipem, teraz ja odwdzięczę się, ale poważną już relacją z doświadczeń, jakie w Anglii przeprowadził profesor Logan. W latach pięćdziesiątych zainteresował się on, czy chorzy zgłaszają się do lekarza we właściwym momencie i jaki obraz zdrowia społeczeństwa można zobaczyć na podstawie samych tylko zgłoszeń do lekarza. Badania wykonał w Birmingham. Określił stan zdrowia mieszkańców najpierw na podstawie zgłoszeń, a następnie przeprowadził badania wszystkich mieszkańców Birmingham i porównał wyniki.

— I co się okazało?

— Góra lodowa. Proporcje między obrazem wynikającym ze zgłoszeń do lekarzy a stanem faktycznym przypominały górę lodową. Jedna, niewielka część wystaje ponad powierzchnię wody, a cała reszta ukryta jest pod wodą. Tak było i tu. Proporcje między tym, co wynikało ze zgłoszeń do lekarzy, a badaniami wszystkich mieszkańców wynosiły ogólnie 1:7, z tym, że występowały różnice w poszczególnych schorzeniach. Na przykład, wśród chorych na cukrzycę proporcje wynosiły 1:1, wśród chorych na nadciśnienie tętnicze — 1:4, na jaskrę — 1:7, na raka szyjki macicy — 1:20.

— Nie sądzę, aby opowiedział mi pan o tym tylko dlatego, żeby zrewanżować się za dowcip opowiedziany na początku rozmowy. Co z tego dla nas wynika?

— Ma pani rację. Wynika z tego, że musimy mieć świadomość istnienia ogromnej liczby ludzi chorych, o których dziś jako służba zdrowia nic nie wiemy. Dlaczego nie wiemy? Z różnych powodów. Najczęściej dlatego, że w pierwszym okresie choroby mogą występować nikłe objawy i chory je lekceważy, albo w ogóle nie zdaje sobie sprawy, że są to objawy choroby. Profesor Logan ustalił, że proporcje między cukrzykami leczonymi a nie leczonymi wynosiły 1:1. Gdybyśmy przenieśli te proporcje na nasz grunt, to możemy założyć, że na pół miliona leczonych cukrzyków drugie pół miliona jest nie leczonych i część z nich w ogóle nie wie, że już choruje.

— Czy możemy tak swobodnie przenosić proporcje z lat pięćdziesiątych z Anglii do Polski lat osiemdziesiątych?

— Pod warunkiem, że będziemy je traktowali jako zbliżone, podobne, a nie dokładnie takie same. I przy zastrzeżeniu, że chodzi nam o przykład na określony sposób rozumowania, myślenia o stanie zdrowia Polaków.

— Może więc być tak, że chorych na cukrzycę, którzy się nie leczą będzie więcej niż pół miliona?

— Tego właśnie dokładnie nie wiemy. I nie będziemy wiedzieć bez badań stanu zdrowia ludności

— A jak się przedstawia stosunek chorych leczonych do nie leczonych w innych chorobach?

— W Polsce jest na przykład milion chorych na nadciśnienie tętnicze. Są oni zarejestrowani w poradniach. Jeśli przyjmiemy proporcję 1:4, to można przypuszczać, że około 4 milionów dorosłych Polaków cierpi na tę groźną chorobę.

— Po tym, co pan powiedział powinno się natychmiast zgłosić do lekarza rejonowego. Ale przecież wiadomo, że zacznie się ta cała mitręga, której tak się boimy, która nas gnębi i odstręcza od pójścia do lekarza. Mam dziwne przeczucie, że głównie z tego powodu część czytelników uzna, że pan lubi straszyć ludzi i że pan przesadza. Często moi znajomi mówią, nie idź do lekarza, jak nie musisz, bo jak pójdziesz zdrowa, to wrócisz chora. Lekarz jest po to, żeby u każdego znaleźć jakąś chorobę. Co pan na to?

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że wcześnie wykryta choroba jest łatwiejsza do wyleczenia. A co do podstawowej opieki zdrowotnej, to trudno się nie zgodzić z powszechną opinią, że u nas jest to najsłabsze ogniwo w systemie ochrony zdrowia.

— Co zrobić, aby to ogniwo funkcjonowało dobrze?

— W podstawowej opiece zdrowotnej musi pracować najlepsza kadra. Dziś ma ona najmniejsze możliwości i najmniejsze motywacje. W rejonie — jak to się mówi — mamy lekarza rejonowego, pediatrę, stomatologa, ginekologa... W innych krajach jest jeden lekarz, specjalnie do tego przygotowany. Ale on pracy w rejonie — jakbyśmy to określili — nie przyjmuje jako zło konieczne. On tę pracę dostaje w drodze konkursu i zarabia więcej niż profesor. On pełni raczej funkcję lekarza domowego i jest na wezwanie cała dobę. A gdy idzie na emeryturę, to otrzymuje 95 procent swoich zarobków. Nie musi się martwić o przyszłość.

— Czyli muszą działać takie mechanizmy, aby ta podstawowa opieka zdrowotna była faktycznie podstawowa.

— Bez wątpienia. Tylko ten kraj ma dobrą, efektywną służbę zdrowia, który ma dobrze zorganizowaną podstawową opiekę zdrowotną. Jeśli ona pracuje wadliwie, to cała służba zdrowia jest przeciążona, pracuje wbrew zasadom rachunku ekonomicznego. Przecież, jeśli pacjent nie uzyska właściwej porady w rejonie, to musi trafić do specjalisty. I często bez potrzeby. Podnosi to koszt leczenia, dezorganizuje pracę specjalistów. W 1982 roku odsetek porad specjalistycznych do porad ogółem wyniósł w Polsce 32,1. W Szwecji i Finlandii natomiast 4,8—5,1. Ale Szwedzi i Finowie dobrze zorganizowali podstawową opiekę zdrowotną. Funkcja lekarza domowego jest tam wysoko ceniona. Oni — po prostu — potrafią myśleć i liczyć. My ciągle o tym dyskutujemy.

Wadliwie zorganizowana podstawowa opieka zdrowotna odbija się też ujemnie na pracy pogotowia ratunkowego. Przecież 70—80 procent wezwań jest do zachorowań, a nie do wypadków. Pogotowie zamieniło się u nas w rejon na kółkach.

— No, dobrze. Ale co ma zrobić człowiek, który nie dostał się do lekarza i w nocy mu się pogorszyło?

— Można i to sensownie rozwiązać. Lekarze gdzieś mieszkają, spora część z nich ma telefon. Można posadzić kogoś na pół etatu, żeby zbierał zgłoszenia z określonego rejonu i lekarz, nawet w domowych pantoflach, może pójść do chorego do następnego bloku. Później mu się policzy, ile wizyt miał do godziny 22, ile w nocy i ile trzeba mu za to, ale godziwie, zapłacić. I wcale nie chodzi o przywrócenie prywatnej praktyki, tylko o ekonomiczne myślenie. Przecież taka sama wizyta - pogotowia kosztuje znacznie drożej, bo jedzie karetka, która może być akurat gdzie indziej potrzebna, pali benzynę, jedzie kierowca, któremu trzeba płacić, jedzie pielęgniarz i lekarz. A tak wszystko załatwia jeden człowiek w pobliżu mieszkający.

— Wydaje się to bardzo proste i tanie. Dlaczego więc nie można tego wprowadzić w życie?

— Bo powstaje obawa, że lekarze za dużo zarobią.

— Ale oni powinni dużo zarabiać, bo dbają o nasze zdrowie.

— To pani tak uważa. Realia są zupełnie inne. Obniżyła się pozycja społeczna lekarzy, upadł ich prestiż, pogorszyła się sytuacja materialna. Lekarze są przeciążeni pracą, biorą dyżury, po kilka półetatów. Od kilku lat postulujemy, aby wprowadzić taki system motywacyjny, który pozwalałby dobrze zarabiać najlepszym: lekarzom pierwszego kontaktu, ordynatorom, kadrze kierowniczej. Postulujemy, żeby były to prace w wyraźny sposób przewyższające średnią krajową. Jak do tej pory kończy się to na naszych postulatach.

— Takie rozwiązanie jest jednak konieczne. Służbie zdrowia bez wątpienia nie wychodzi na dobre to, co mówi się o dodatkowych opłatach, tych w kopertach.

— W każdym środowisku zawodowym jest jakaś grupa ludzi, których postawy nie znajdują społecznej aprobaty. To dość skomplikowana sprawa. Ale te marginesowe postawy nie powinny rzutować na obraz całości środowiska.

W przypadku służby zdrowia stopień komplikacji jest znacznie wyższy. Chcemy bowiem zapewnić wszystkim bezpłatne, w pełni dostępne, na najwyższym poziomie zorganizowane leczenie, ale nie jesteśmy w stanie tego uczynić. Są kraje, szczególnie na Zachodzie, w których państwo pokrywa koszty wszystkiego, co wiąże się z zapobieganiem chorobom, ale już w kosztach leczenia partycypuje pacjent. I są to kraje bardzo bogate, wysoko uprzemysłowione.

— Ale myśmy programowo założyli, że zapewnimy wszystkim bezpłatną opiekę lekarską.

— Kiedy 40 lat temu mówiono o zapewnieniu bezpłatnego lecznictwa, inne były warunki. Było nas przede wszystkim dużo mniej. Inne nękały nas choroby. Inne były metody leczenia. Przez te 40 lat nastąpił niebywały rozwój medycyny, a przede wszystkim techniki medycznej. Ta technika jest bardzo droga. Potrzeba na jej kupno dewiz. Mamy w tej dziedzinie duże potrzeby i na ich zaspokojenie potrzeba wielkich wydatków. Państwo ze swego budżetu nie jest w stanie pokryć tych wydatków, choć po prawdzie na ten budżet my pracujemy.

— I na dodatek płacimy na NFOZ.

— Tak. Ale na przykład łodzianin może powiedzieć: co mnie obchodzi ośrodek w Bełchatowie, który z tych pieniędzy wybudowano? I będzie miał po części rację.

— Jak to więc rozwiązać inaczej?

— Moja propozycja idzie w tym kierunku, aby ludzie partycypowali w finansowaniu określonego ośrodka zdrowia. Na przykład w rejonie jest 3000 osób. Gdyby one opodatkowały się po 100 złotych, to mielibyśmy 300 000 złotych. Często na NFOZ płacimy więcej niż te 100 złotych. Ale teraz każdy wiedziałby, że z jego pieniędzy utrzymuje się jego ośrodek zdrowia. Kiedy na wsi działały wiejskie spółdzielnie zdrowia, ludzie opodatkowywali się na ich utrzymanie, ale dzięki temu mieli wpływ na ich pracę i mogli je kontrolować.

— To nie wydaje mi się takie proste. Po pierwsze — mój ośrodek zdrowia nie bardzo mi się podoba. Podoba mi się natomiast zupełnie inny. Po drugie — nie każdego jednak stać na te 100 złotych. Nie zapominajmy, że są wśród nas inwalidzi, renciści, emeryci.

— Nie widzę większych trudności. Emeryci, renciści, ludzie przewlekle chorzy mogliby być z tego zwolnieni. Inni mogliby wybierać te ośrodki, które wolą.

— Był już eksperyment z wolnym wyborem lekarza. I co? Na eksperymencie się skończyło.

— To niezupełnie tak. Przez dwa lata walczyliśmy, aby w ogóle eksperyment taki mógł powstać. Chodziło głównie o przełamanie schematycznego myślenia, o naruszenie dogmatu. Nie administracyjnie przypisywać pacjenta do rejonu, ale dać mu możliwość wolnego wyboru. Lekarzowi — w uzasadnionych przypadkach — też dać prawo wyboru. I ten eksperyment powiódł się.

— Dlaczego zatem nie wprowadza się go w życie?

— Po pierwsze — wcale nie chodzi o to, aby w całym kraju wprowadzić jeden wzór organizacyjny. Powinien istnieć pluralizm w tej dziedzinie. Należy stosować rozwiązania zgodnie z potrzebami pacjentów, tradycją, specyfiką regionu, możliwościami kadry i tak dalej.

Po drugie — koszt wprowadzenia w życie wyników tego eksperymentu szacowany jest na około 3—4 miliardy złotych. Tych pieniędzy teraz nie ma. Trzeba na nie poczekać. Musi to więc trwać. Zresztą wprowadzenie wyników tego eksperymentu w życie też nie od razu przyniesie skutki.

Wyniki eksperymentu z wolnym wyborem lekarza są zachęcające. Nie wykluczają wszakże możliwości potrzeby dalszych poszukiwań. Przeciwnie, zachęcają do nich.

— Pięknie. Tylko że człowiek chory jest niecierpliwy I trudno mu się dziwić. On jest teraz chory, a reformę służby zdrowia proponuje mu się w przyszłości, jak zgromadzimy niezbędne pieniądze. Cóż mu po tym, że za 20—30 lat — jak wszystko dobrze pójdzie — będziemy mieli najlepszą służbę zdrowia w świecie, kiedy on już od dawna będzie leżał w grobie? Teraz on słyszy tylko o tym, że mamy dobre wyniki eksperymentów, że tworzymy dobre ustawy, że mamy najwięcej lekarzy, a on ciągle stoi w kolejce do lekarza. Jak to więc jest?

— Lekarzy mamy rzeczywiście wystarczającą ilość. Jest ich prawie 70 tysięcy. Mniej jest personelu średniego i mało pomocniczego. I to nie jest moje przekonanie. Są na to dowody.

— W czym więc rzecz?

— W złym rozmieszczeniu lekarzy w kraju. Pod względem liczby lekarzy należymy do europejskiej czołówki, pod względem ich rozmieszczenia — no, lepiej nie mówić.

Oto przykłady. W wielkich aglomeracjach mieszka 10 procent ludności Polski i pracuje tam 52 procent lekarzy. Na wsi mieszka około 15 milionów ludzi, a opiekuje się nimi 6,2 procent lekarzy. Poza tym 46 procent lekarzy pracuje w szpitalach, ale i tu występują dysproporcje. W jednym szpitalu 70 chorymi opiekuje się ordynator z trzema asystentami, a w innym 38 pacjentami ordynator i 17 asystentów. Jedni są więc przeciążeni pracą, a inni nie.

Poza tym lekarz poddany jest jeszcze machinie biurokratycznej. Naliczyłem kiedyś ponad 30 powodów, nie mających nic wspólnego z leczeniem, z jakimi zwracano się do lekarza. Chodziło o zaświadczenie potrzebne przy staraniach o mieszkanie, prawo jazdy, o telefon, wyjazd dziecka na kolonie i temu podobne. Ludzie są przekonani, że im więcej podkładek ma podanie, tym jest ważniejsze, a sprawa pewniejsza. Trudno się im zresztą dziwić. Nauczyło ich tego życie, a dokładnie mówiąc — biurokracja.

— Zaczęłam naszą rozmowę z dużym sceptycyzmem. Ale przekonał mnie pan. Rozumiem już potrzebę prowadzenia badań nad stanem zdrowia Polaków, rozumiem potrzebę rzetelnej informacji. Ale nie wyzbyłam się jeszcze wszystkich wątpliwości.

— Jakie są te wątpliwości?

— Z waszych badań nad stanem zdrowia łodzian wynika, że u 70,2 procent osób wystąpiły już w przeszłości przewlekłe choroby. I aż u 79,7 procent badanych eksperci stwierdzili konieczność leczenia. To niewesoły obraz.

Wiemy jednocześnie, że stan naszej służby zdrowia też nie jest zadowalający. Nie wszyscy, którzy muszą się leczyć, będą mogli to uczynić. Dla wielu z nich sprawa dalszego leczenia pozostanie ich sprawą. Zapobieganie chorobom będzie nadal mało skuteczne. A powinno być inaczej. Jakie więc są bezpośrednie skutki waszych badań?

— Decyzje o leczeniu są prawie zawsze sprawą chorego. Natomiast korzyść z przeprowadzonych badań sprowadza się nie tylko do tego, że powstał raport o stanie zdrowia łodzian. Ma on charakter złożony. Mam nadzieję, że jest to już początek, że nastąpił przełom w myśleniu i wielu ludzi zrozumiało potrzebę takich badań. Opracowaliśmy ponadto jednolitą metodę do prowadzenia takich badań. Po raz pierwszy w Polsce dokonano kompleksowej oceny stanu zdrowia. I to jest fakt.

— Jak prowadziliście te badania?

— Wylosowaliśmy przeszło 5000 osób. Przeszkoliliśmy 30 ankieterek, które udały się do wylosowanych osób i przeprowadziły z nimi wywiady. Zachęcały one również swoich rozmówców do udziału w dalszych badaniach. Przygotowaliśmy 11 zespołów lekarzy, którzy dysponowali odpowiednią aparaturą diagnostyczną.

— Wszyscy chętnie poddali się badaniom?

— Nigdy nie osiąga się 100-procentowego wyniku. Ale otrzymaliśmy jak na początek, wysokie i dobre wyniki. Wywiadów udzieliło 94 procent wylosowanych, a na dalsze badania zgłosiło się ponad 60 procent osób.

— Badania pokazały też sytuację ludzi obłożnie chorych.

— Tak. Aż 12 procent badanych nie opuszcza mieszkania, około 5 procent stale przebywa w łóżku lub w fotelu, 2,8 procent chorych wymaga pomocy drugiej osoby. W procentach wygląda to może nie tak groźnie, ale proszę te procenty odnieść do wszystkich mieszkańców Łodzi i już mamy inną sytuację. Zmienia się skala i pojawia się problem.

— Problem, którego nie można lekceważyć.

— Powinni się nim zainteresować przede wszystkim pracownicy opieki społecznej, służby socjalne i organizacje młodzieżowe.

— Co dalej z wynikami badań?

— Ukazało się około 20 publikacji w pismach medycznych. Zainteresował się nimi Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej UMŁ, prezentowaliśmy je niedawno na posiedzeniu Rady Naukowej przy prezydencie Miasta Łodzi.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, że mają one po części już tylko wartość historyczną? Były przecież przeprowadzone w latach 1978—1979. Od tego czasu wiele mogło się zmienić.

— Tak. Ale od czegoś trzeba zacząć. Przy okazji naszych badań odżyła sprawa badań ogólnopolskich. Instytut Medycyny Pracy już otrzymał zlecenie na przeprowadzenie takich badań w latach 1985—1988.

Moim marzeniem jest, aby takie badania stały się trwałą metodą działania przed podejmowaniem strategicznych decyzji, aby były powtarzane co jakiś określony czas. To samo dotyczy badań łódzkich. Już niedługo minie 10 lat od ich przeprowadzenia. Czas je powtórzyć, porównać wyniki. Liczę na to, że tak będzie. Takie badania — w moim przekonaniu mogą tylko ułatwić i przyśpieszyć reformę naszego lecznictwa.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Czy nasze lecznictwo da się zreformować?

Gdzie podział się pacjent?

Foto: Grzegorz Gałasiński

ze str. 1

Pani Kretzowa była osobą niesłychanie inteligentną i wrażliwą. Kiedy ją poznałam, pracowała jeszcze w „Polmozbycie" prowadziła tam Koło Seniora, ale wkrótce przeszła na emeryturę. Zrobiła na mnie wrażenie, że cała opanowana jest ideą pomocy innym ludziom, a ludziom starym i samotnym — w szczególności. To właśnie ona napisała do prezydenta Łodzi pismo w sprawie utworzenia Uniwersytetu Trzeciego Wieku i gotowa była na wszystko, żeby tę sprawę załatwić. Zawsze miała czas, Gdy inni nie mogli, ona zawsze mogła.

Drugą taką osobą była pani docent Kinga Wiśniewska-Roszkowska, od wielu lat specjalizująca się w geriatrii i gerontologii, autorka dwóch podręczników z tej dziedziny i niestrudzona popularyzatorka. Przy domu spokojnej starości na Wróblewskiego 10 utworzyła mały oddział geriatryczny, gdzie w bardzo trudnych warunkach wprowadziła po raz pierwszy w Łodzi, a chyba i w ogóle w Polsce autentyczny proces rehabilitacji po wylewach, niedowładach kończyn... Kierowała Poradnią Geriatryczną, która dziś znajduje się na Armii Czerwonej.

Znałyśmy się z Polskiego Towarzystwa Gerontologicznego I ona kiedyś zatelefonowała do mnie, że przekazano jej właśnie pismo pani Kretzowej w sprawie utworzenia Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Bo to pismo od prezydenta trafiło do Wydziału Zdrowia Urzędu Miasta, potem — do Ośrodka Opiekuna Społecznego, schodziło coraz niżej w dół po tych szczeblach drabiny administracyjnej i zatrzymało się dopiero u pani docent Roszkowskiej. Na szczęście ona wiedziała, co należało z nim zrobić — poważnie zajęła się sprawą, zainteresowała kogo trzeba... Tak, że u niej w gabinecie zawiązał się samorzutnie komitet organizacyjny, w którym znalazłam się i ja. To było w 1978 roku.

3.

Córka znanego poety, fraszkopisarza, propagatora teatrów lalek, Jana Sztaudyngera, Anna postanowiła zerwać z tradycją rodzinną i po maturze została studentką Politechniki Łódzkiej. Nie była to jednak w pełni przemyślana decyzja. Więcej w niej odnaleźć można młodzieńczej przekory, buntowniczości, chęci postawienia na swoim niż autentycznego zainteresowania chemią. Na dodatek zdarzyło się to w czasach, gdy polskie dziewczyny odważnie siadały za kierownice traktorów, chwytały w dłonie kielnie, grzmiały na zebraniach ZMP, żadnej pracy się nie bały... W rodzinie Sztaudyngerów wszyscy mieli studia humanistyczne, więc Anna wybrała politechniczne. A dlaczego chemię? Któż to dziś jeszcze pamięta. Może miała w szkole przystojnego nauczyciela chemii? Po prostu...

Pod koniec studiów zachorowała na gruźlicę. Leczyła się, jeździła do sanatoriów. Także wtedy, gdy rozpoczęła pracę w farbiarni jednej z łódzkich fabryk włókienniczych. Po trzech latach miała dosyć tej zbyt ciężkiej jak na jej siły pracy, ciągłych kłopotów ze zdrowiem trybu życia, do którego nie była przecież przyzwyczajona. Ojciec namawiał ją, aby choć na rok przeniosła się do Zakopanego. Nie ma nic lepszego, niż czyste, górskie powietrze...

Ale córka, choć musiała przyznać się do porażki, nie zamierzała wcale kapitulować. Pomyślała, że mogłaby zacząć wszystko jeszcze raz, od nowa i oświadczyła rodzicom, iż zamierza zdawać na... socjologię. Pan Jan — człowiek o wyjątkowo łagodnym usposobieniu, wyrozumiały, taktowny — tak, jak poprzednio nie przeciwstawiał się córce zbyt ostro, tak i teraz pozwolił jej, decydować samej o sobie. Wiedział, że tak będzie najlepiej, że człowiek uczy się na własnych błędach. Napisał zresztą kiedyś na ten temat:

Tysiąc rad dobrych moim
dzieciom dawałem,
Ja także rad rodziców nigdy
nie słuchałem.

Przez pół roku pani inżynier chemii przygotowywała się do drugiego w jej życiu egzaminu wstępnego na studia. Wzięła urlop płatny, potem — bezpłatny, aby uczyć się tak intensywnie, jak nigdy przedtem się nie uczyła. Wszak od matury minęło już siedem długich lat. Wiele rzeczy zdążyło wywietrzeć z głowy. Poza tym — gdyby nie zdała... Nie, nie chciała nawet o tym myśleć Musiała zdać!

Te drugie studia były najwspanialszym okresem w jej życiu. Wciąż młoda, a przecież z dużym bagażem doświadczeń podchodziła do nich inaczej, niż za pierwszym razem. Znała już smak życia. Trafiła też na świetny okres łódzkiej socjologii, słuchając wykładów prof. prof. Jana Szczepańskiego, Józefa Chałasińskiego, doc. Antoniny Kłoskowskiej, doc. Jana Lutyńskiego. I nie było to bez znaczenia. Odmienna również panowała na socjologii atmosfera. Bo jeśli na roku było zaledwie 15 osób, to niemożliwe przecież, żeby zginąć w tłumie anonimowych na co dzień studentów; niemożliwe, żeby nie nawiązać z wykładowcami bliższych kontaktów, nie dać się poznać z każdej strony. Nie ma nawet co porównywać z politechniką, gdzie na roku było 169 osób.

Myślą, sercem i uczynkiem... (1)

4.

— Jest pani sekretarzem oddziału łódzkiego Polskiego Towarzystwa Gerontologicznego, od początku stoi na czele zarządu Łódzkiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Skąd te zainteresowania, tak aktywna społeczna działalność na rzecz ludzi starych, niepełnosprawnych?

— *To długa historia. Po ukończeniu socjologii w 1963 r., rozpoczęłam pracę w Zakładzie Demografii i Statystyki Uniwersytetu Łódzkiego, którym kierował pan profesor Edward Rosset, najwybitniejszy demograf polski, który chyba jako pierwszy w świecie zwrócił uwagę na znaczenie procesu starzenia się ludności i w 1956 roku wydał na ten temat książkę, właśnie pod tytułem „Proces starzenia się ludności", przetłumaczoną szybko na angielski i rosyjski.*

Otóż ja uczęszczałam na seminarium doktoranckie prowadzone przez pana prof. Rosseta. Co prawda sama pisałam pracę z pogranicza demografii i socjologii na temat rodziny, ale na seminarium było kilka tematów z zakresu gerontologii, więc nieraz mówiło się i o tym. Poza tym profesor, który jest chodzącą encyklopedią, w dziedzinie demografii i gerontologii, zapoznawał nas z najnowszą literaturą fachową poświęconą tym zagadnieniom. I nawet jeśli wtedy nie w pełni odbierałam słowa profesora Rosseta, to przecież coś z nich pozostało w mej pamięci. Jak to się mówi — ziarno zostało posiane.

To jest jedno źródło moich zainteresowań gerontologią Drugim była znajomość — jeszcze z dawnych lat — z panią Wiesławą Pluszczyńską, która we wczesnych latach siedemdziesiątych zaczęła prowadzić w Łodzi dom dziennego pobytu dla ludzi w podeszłym wieku. Był to drugi taki dom w naszym mieście, znajdował się przy rogu Piotrkowskiej i Mickiewicza. Istnieje do dzisiaj, przeniesiony na Kościuszki 21.

Najpierw zaczęłam tam bywać w celach czysto towarzyskich, po prostu odwiedzając tam moją koleżankę. Później zainteresowałam się też jednak samym domem, ludźmi, którzy do niego przychodzili. Bywałam zapraszana na różne uroczystości. To było naprawdę wzruszające, bo widziałam, jak ważne jest dla tych starszych, najczęściej samotnych osób to, że mogą się spotkać ze sobą, porozmawiać, nawiązać jakieś bliższe kontakty... Widziałam, jak szczerze potrafią się cieszyć, jak wiele w nich autentyzmu, spontaniczności... I kiedy u nas w zakładzie zaczęto mówić o badaniach z zakresu gerontologii, wiedziałam już, że zajmę się właśnie domami dziennego pobytu.

Razem z koleżanką, magister Katarzyną Borucką, przeprowadziłyśmy obszerne badania kwestionariuszowe we wszystkich łódzkich placówkach tego typu, których wówczas, w 1976 roku było 9. Jak się zorientowałyśmy zdecydowana większość z nich, jak na skromne warunki lokalowe i materialne, funkcjonuje bardzo dobrze. Ludzie starsi przychodzą do nich chętnie, dobrze się w nich czują, ale... Są pewne kłopoty. Otóż okazało się na przykład, że kiedy usiłowano wprowadzić wspólne zajęcia na rzecz domu — a potwierdziły to kierowniczki wszystkich łódzkich placówek — nie zawsze spotykało się to postawom opartym na bierności i tylko braniu, korzystaniu, nie zaś dawaniu też czegoś od siebie.

Dzięki tym badaniom nawiązałyśmy bliski kontakt z Polskim Towarzystwem Gerontologicznym, które nie miało jeszcze w Łodzi swojego oddziału. Jeździłyśmy więc na zebrania do Warszawy. Organizował je i prowadził pan profesor Aleksander Kamiński, który zawsze starał się podporządkować wszystkie rozważania teoretyczne konkretnym, praktycznym celom. Jest jeszcze tak dużo do zrobienia, mówił, że najpierw musimy wyjść ludziom starym naprzeciw i pomóc im, a dopiero potem zająć się innymi sprawami. Muszę przyznać, iż słowa profesora Kamińskiego były bardzo pouczające, tym bardziej że to co mówił starał się też realizować.

Będąc na kolejnym zjeździe Polskiego Towarzystwa Gerontologicznego w 1978 roku w Katowicach, miałam przyjemność poznać panią profesor Halinę Szwarcową, która prowadziła już wtedy Uniwersytet Trzeciego Wieku w Warszawie. Tak się szczęśliwie złożyło, że z Katowic wracałyśmy z panią Szwarcową jednym pociągiem i ona na trasie do Koluszek tak potrafiła zainteresować mnie ideą uniwersytetów trzeciego wieku, tak do niej przekonać, że kiedy wkrótce zadzwoniła do mnie pani docent Roszkowska, iż jest w Łodzi grupka entuzjastów, chcących powołać do życia taki uniwersytet, nie miałam już najmniejszych wątpliwości, iż powinnam się do tej akcji włączyć.

5.

Łódzki Uniwersytet Trzeciego Wieku rozpoczął swą działalność 25 kwietnia 1979 roku. Wykład inauguracyjny wygłosiła doc. Kinga Wiśniewska-Roszkowska. Poświęcony był oczywiście problemom z zakresu gerontologii i geriatrii.

Patronat nad placówką objęła Łódzka Rada Związków Zawodowych w znacznym stopniu dzięki osobistemu zaangażowaniu jej ówczesnej przewodniczącej — Anny Mroczkowskiej. To właśnie z ŁRZZ płynęły fundusze na działalność tej najmłodszej w Łodzi i nietypowej uczelni. Po odejściu Anny Mroczkowskiej sytuacja nagle się bardzo skomplikowała i w rezultacie przez ponad pół roku ŁUTW nie otrzymał znikąd ani jednej złotówki. Dopiero późną jesienią 1980 roku zainteresował się nim Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi, zgłaszając gotowość finansowania. Niestety, przepisy nie pozwalały przekazywać mu pieniędzy wprost na konto ŁUTW, dlatego musi to czynić za pośrednictwem Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Można by na to oczywiście machnąć ręką (choć po co te biurokratyczne kombinacje?!), gdyby nie namacalny fakt, że ŁUTW traci na tej operacji aż 40 proc. wpływów. Taki bowiem jest narzut w TWP. Niemniej, dzięki Wydziałowi Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Wydziałowi Kultury i Sztuki pieniądze są i uczelnia może się systematycznie rozwijać, służyć coraz większemu gronu ludzi starszych.

„W sumie jest ich — słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku — ponad 400. Reprezentują różne zawody i środowiska. Większość — już na emeryturze, choć trafiają się jeszcze czynni zawodowo. — czytamy w „Dzienniku Popularnym" z 23 czerwca 1980 roku. — *Tu nie ma żadnych ograniczeń: nie trzeba zdawać egzaminów wstępnych, przedstawiać świadectw ze szkoły, nie obowiązuje żadna granica wieku. Nie stawia się tu też stopni, bo jest to uczelnia bez indeksów. Żeby otrzymać dyplom — rzecz jasna, symboliczny — wystarczy w miarę regularnie słuchać wykładów (...). Wygłaszają je profesorowie, docenci, doktorzy, a dotyczą literatury, medycyny, prawa, biologii, szeroko rozumianych zagadnień kultury itd.".*

W rok 1985 ŁUTW wszedł z prawie 800 zapisanymi słuchaczami, z których ponad 500 w miarę regularnie uczestniczy w wykładach i innych zajęciach. Patronat nad nimi objął Uniwersytet Łódzki. W kilkunastu punktach miasta odbywa się aż 150 różnego rodzaju spotkań miesięcznie, które firmuje ta uczelnia. Nie do wiary, a jednak...

6.

— *Czy pan wie, że od niedawna mamy nawet lektorat języka japońskiego? To dzięki panu profesorowi Jerzemu Kroh, który miał u nas kiedyś wspaniały wykład o Japonii, gdzie przez rok przebywał wraz z rodziną i wykładał. W tym roku byłam na jego jubileuszu 60-lecia i na przyjęciu poznałam młodego Japończyka, Masakatsu Yoshido, przyjaciela państwa Kroh. Zapytałam go, czy nie zechciałby uczyć japońskiego w Łódzkim Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Zgodził się z przyjemnością. Bez trudu udało się też skompletować dwie grupy lektoratowe.*

Od początku starałam się ściągnąć do nas jak najlepszych lektorów i wykładowców. No cóż, nieraz wykorzystywałam do tego prywatne kontakty i znajomości. Ale muszę też przyznać, że kiedy zwracam się oficjalnie do jakiejś uczelni, nigdy nie spotykam się z odmową. Niektóre osoby gościliśmy już wiele razy, jak choćby dwóch młodych doktorów z łódzkiej polonistyki: Jerzego Poradeckiego i Jerzego Rzymowskiego. Na stałe zadomowiła się u nas pani docent Wanda Nowakowska, historyk sztuki.

Zawsze dążyłam do tego, żeby zapraszać na wykłady, takie osoby, które nie tylko potrafiłyby przekazać w przystępny sposób najnowszą, aktualną wiedzę na dany temat, ale również wyróżniały się nieprzeciętną osobowością i wysoką kulturą osobistą. To gwarantuje właściwą atmosferę, bo przecież słuchacze naszego uniwersytetu, to ludzie, którzy szybciej się męczą, nie dosłyszą, itd. trzeba więc umieć skupić ich uwagę i zainteresować trudnym nieraz tematem. Poza tym chodzi mi też o to, ażeby kontakt słuchaczy z kimś wybitnym, mającym autorytet naukowy w kraju, czy nawet w świecie, dawał im poczucie ważności, pewien komfort psychiczny, żeby przynajmniej przez te dwie godziny poczuli się docenieni i dowartościowani.

Ja chciałabym, żeby ten nasz uniwersytet służył przede wszystkim tym starym, zahukanym, samotnym, cichym kobietom, które najczęściej prowadząc bardzo czynne życie zawodowe, prowadząc dom, wychowując dzieci, nie miały przedtem nigdy dość czasu, aby w pełni zaspokoić swe aspiracje intelektualne. Znam wiele takich, obserwuję je od lat. Te kobiety odżywają u nas, odnajdują wreszcie siebie.

7.

Helena Duninówna: „Na wieczór swego życia przyjdź z własną lampą". Wydawnictwo Łódzkie, 1971, str. 215:

„Starość traktowana jako dopust boży, podatna chorobom, dolegliwościom, niedołęstwu; ulegająca nie tylko fizycznym, ale i duchowym słabościom; poddająca się znużeniu, zobojętnieniu, umysłowej depresji; nosząca przysłowiowe czarne okulary; zasugerowana poczuciem zbędności, niepotrzebności, odtrącenia — rzeczywiście powinna czuć się nieszczęśliwa!

Ale — czy powinna?

Abbe Pierre woła: „Od nas zależy, czy będziemy żaglem napiętym, czy zwisającym!".

Mauriac poucza: „Dopóki żyjemy — przedwczesne jest obracanie się w proch".

Stara, mądra Orzeszkowa pisze w jednym ze swych listów: „Trzeba być dzielną i, poki życie trwa, nie stać się zmoczonym we łzach łachmanem".

8.

— *Kiedy przeczytałam książkę Heleny Duninówny, poważnie zaczęłam zastanawiać się nad starością, szczególnie — nad starością osób z mojego najbliższego otoczenia, a przede wszystkim — nad moimi dziadkami.*

Kiedy dziadkowie, będąc już na emeryturze mieszkali w Zakopanem przez wiele lat wszystko układało się jak najlepiej. Po śmierci dziadka babka zupełnie załamała się i ostatnie cztery lata jej życia to był okres pełen smutku i rozpaczy. Prawie rok mieszkała z nami w Łodzi. Wszyscy staraliśmy się jakoś jej pomóc, jednak nasze wysiłki były mało skuteczne; dobrze wiedziała, że jesteśmy zajęci — rodzice pracą, ja z bratem — nauką. Myślę, że te doświadczenia rodzinne też w pewnym stopniu zaważyły, iż zainteresowałam się gerontologią. Bo przecież gerontologia, to w głównej mierze problem starych, samotnych kobiet.

— A jaki był stosunek pani ojca do ludzi starych i w ogóle do starości?

— *Ojciec był tak łagodnego, pogodnego usposobienia, był tak wyczulony na osoby słabsze — czy to ludzi starych, czy kobiety, czy dzieci, że... Jest zresztą taka fraszka ojca:*

Jedni są wiecznie młodzi,
drudzy — wiecznie starzy.
To kwestia charakteru, nie
kalendarzy.

Niech ona będzie odpowiedzią na pańskie pytanie. I może jeszcze jedna, bardziej liryczna:
Wiosno, ludzie ciebie cenią
Dopiero jesienią.

9.

„Dziennik Popularny" z 23 czerwca 1980 roku — „Lek na trzeci wiek?":

„Kazimierz Mielelski został studentem mając 74 lata. Wcześniej — nie miał szans. Po ukończeniu średniej szkoły handlowej w poszukiwaniu pracy wyjechał z Łodzi na Wybrzeże, gdzie zaciągnął się do marynarki. Dopływał się stopnia bosmana i stanowiska osobistego kancelisty dowódcy floty w Gdyni. Potem był księgowym, potem... mniejsza o szczegóły. Dość że zmieniał zawód jeszcze wiele razy. I zapewne to nie ustabilizowane życie jeszcze bardziej wzmogło w nim głód wiedzy, który dopiero teraz, będąc już na zasłużonej emeryturze, może w miarę możliwości zaspokajać.

Jego koleżanka z „roku", Janina Rogacka, ma za sobą dwa lata przedwojennego uniwersytetu, dużo czyta. O wykładach w „Lodexie" dowiedziała się z prasy i natychmiast podjęła decyzję; będzie na nie chodzić, chociaż chodzenie sprawia jej niemały kłopot. Trudno się dziwić: w tym wieku... Ale mówi to z uśmiechem. Zachęciła też kilka swoich znajomych. Też chodzą i też są zadowolone".

Po pierwszych ogłoszeniach w łódzkiej prasie do ŁUTW trafił także Henryk Walkowski. Był wtedy jeszcze pracownikiem „Textilimpexu", ale właśnie wybierał się na emeryturę. Już po krótkim czasie aktywnie włączył się w działalność organizacyjną, wychodząc z założenia, że jeżeli coś się bierze, to trzeba również dać i coś z siebie. Z wielką pasją i oddaniem zajął się sprawami sportu i turystyki. Został wybrany przewodniczącym samorządu, a później, gdy ŁUTW zyskał status stowarzyszenia, wszedł w skład zarządu. W nowej kadencji ustąpił miejsca innym, ale nadal zajmuje się organizowaniem działalności sportowo-turystycznej ŁUTW. Uważa, że choć uniwersytet odniósł w Łodzi prawdziwy sukces, nie jest to jeszcze kres możliwości, a już na pewno — zaspokojenie wszystkich potrzeb. ŁUTW mógłby mieć co najmniej 5 tys. słuchaczy i do tego, jego zdaniem, należy dążyć. Wymagałoby to oczywiście dużych zmian organizacyjnych, rozszerzenia administracji, znalezienia nieco innej formuły uczestnictwa słuchaczy, ale — jaka korzyść społeczna. Jeszcze tyle tysięcy emerytów mieszkających w Łodzi nie wie, co zrobić ze swoim wolnym czasem!

Dla dr Anny Sztaudynger-Kaliszewiczowej ma wiele szacunku za jej wkład pracy w organizację i prowadzenie ŁUTW. Szkoda tylko, dodaje, że pani Kaliszewiczowa nie w pełni docenia konieczność pewnych działań administracyjnych, które są przecież niezbędne. Ale ona w ogóle nie lubi suchego, prawniczego podejścia do jakiejkolwiek sprawy.

10.

— *Tak, nie znoszę czysto formalnych rozwiązań. Zawsze uważałam i nadal uważam, że w takiej działalności, jaką prowadzi Uniwersytet Trzeciego Wieku, rozwiązania czysto formalne, ciągłe powoływanie się na statut, nie tylko, że nie pomagają, ale są wręcz szkodliwe. Od samego początku wychodziłam z założenia, że równie ważne jest, aby ten uniwersytet funkcjonował jak najlepiej, prowadzony był na możliwie najwyższym poziomie (w końcu nazwa: uniwersytet, do czegoś zobowiązuje, prawda?), jak to, aby panowała w nim atmosfera wzajemnej życzliwości, zaufania i zrozumienia, aby ci ludzie, którzy tu do nas przychodzą, czuli się naprawdę dobrze i swobodnie. Zależało mi także, aby wśród słuchaczy mogły spontanicznie tworzyć się mniejsze nieformalne grupy, aby ci ludzie spotykali się też ze sobą i poza naszym uniwersytetem. I to się po części udaje.*

Jak już mówiłam, mamy sekcję samokształceniową. Prowadzi ją pani docent Olga Czerniawska, która doskonale potrafiła pokazać członkom tej sekcji i całego chyba uniwersytetu, że człowiek stale się rozwija, że proces ten nie ma nic wspólnego z wiekiem, z pozycją zawodową, materialną, wykształceniem. Otóż efektem pracy pani docent Czerniawskiej było między innymi wyłonienie się z sekcji samokształceniowej nowej sekcji — samopomocy koleżeńskiej. Rozruszały ją właściwie dwie osoby: pani Stefania Mamelko, która ma czworo dzieci, ośmioro wnuków, męża, do niedawna na kierowniczym stanowisku, i — jak każda kobieta — mnóstwo obowiązków domowych, a jeszcze znajdująca czas i chęci na działalność społeczną u nas, oraz — pan doktor Józef Dziadek, niesłychany entuzjasta życia, zawsze do wszystkich przyjaźnie nastawiony. I tych dwoje ludzi skupiło wokół siebie grupkę innych, z którymi odwiedzają naszych chorych słuchaczy, zanoszą im na święta drobne upominki, kwiaty w dniu imienin, opowiadają, co dzieje się u nas, przekazują program wykładów. Ostatnio nawet co ciekawsze wykłady nagrywamy na taśmę magnetofonową i nasi chorzy, którzy nie mogą już normalnie przychodzić, będą mogli słuchać wykładów z magnetofonu.

Piękna inicjatywa, prawda? A przecież nasz statut nie przewiduje takiej formy działania. Czy zatem należałoby z niej zrezygnować? Podchodząc do sprawy czysto formalnie, chyba tak. Ale nikt rozsądny tego nie powie. Nie ma też, jak sądzę, potrzeby zmieniania z tego powodu statutu. Uniwersytet Trzeciego Wieku jest nowym, żywym organizmem społecznym, który się stale rozwija, doskonali i bardzo należy uważać, aby tego rozwoju nie hamować sztucznie, a wprost przeciwnie — jeszcze go podsycać. Najlepsze i najważniejsze są przecież autentyczne, oddolne inicjatywy. Gdybym nie miała tego przekonania, być może zrezygnowałabym już z prowadzenia tego uniwersytetu, bo — niestety — muszę przyznać, że po śmierci pani Kretzowej w marcu 1982 roku w zarządzie zaczęły się nieporozumienia, konflikty — właśnie z powodu zbyt formalnego podejścia niektórych osób.

Prawdopodobnie część winy za te konflikty spoczywa także i na mnie. Być może jestem trochę zbyt szybka i zbyt impulsywna dla tego grona, w którym jestem przecież najmłodsza. Ale naprawdę boję się zabicia tego autentyzmu i spontaniczności wśród naszych słuchaczy. Nikt nie lubi, a zwłaszcza starsze osoby — jeśli im coś się narzuca.

Ale może nie mówmy już o tym.

— Porozmawiajmy więc o czymś zupełnie innym.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Dokończenie w następnym numerze.

ze str. 1

stety, ta ilość wody jest niewystarczająca dla przeprowadzenia pełnych badań laboratoryjnych. Na szczęście ponad wszelką wątpliwość udaje się ustalić, że płyn nie zawiera szczególnie groźnych dla zdrowia substancji oraz, że jego skład chemiczny i bakteriologiczny budzi jedno tylko zastrzeżenie: w wodzie stwierdzono znaczną ilość detergentów. Wiadomo już, że zatrucie nie jest groźne.

O godzinie 11.40 na teren zakładu przybywają Inspektorzy Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, aby pobrać próbki wody z sieci wodociągowej oraz z dwóch warników. Stwierdzają oni, że warnik drugi — czyli domniemane źródło zatrucia — jest świeżo napełniony czystą wodą. Sprawczynią tego czynu okazuje się kierowniczka zmianowa, która kontynuując dochodzenie na własną rękę próbowała porównać zabarwienie wody w sieci wodociągowej oraz w rzeczonym warniku, nieświadomie zacierając ślady ewentualnego przestępstwa. Jak było do przewidzenia, badanie próbek wody nie pozwoliło jednoznacznie ustalić jaka substancja spowodowała masowe zatrucie. Drzwi do stołówki zaplombowano.

Można przypuszczać, że woda w drugim zbiorniku została skażona pomiędzy godzinami 6.30 a 8.30, ponieważ wcześniej wiele osób z niej korzystało i nie stwierdzono u nich zatrucia Później instruktorka obsługująca warnik oddaliła się do innych zajęć. Następnie z wody korzystano dopiero o godzinie 8.30, co skończyło się wyżej opisanym skutkiem. Pomiędzy 6.30 a 8.30 praktycznie każdy miał dostęp do zbiorników.

Kobiety przewiezione do Instytutu Medycyny Pracy powoli wracają do zdrowia, lecz ich niedyspozycja potrwa jeszcze kilka dni. Jedna z kobiet jest w piątym miesiącu ciąży.

Badanie krwi poszkodowanych wykazuje podwyższone wartości wolnej hemoglobiny, co może przemawiać za zatruciem detergentami.

Rewanż

Lekarze wystawiają dwadzieścia cztery zaświadczenia o czasowej niezdolności do pracy. Z tego tytułu Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Olimpia" ponoszą straty produkcyjne wartości ponad 600 tys. zł.

Poszkodowane pracownice „Olimpii" próbują odtworzyć przebieg zdarzeń feralnego dnia. Przypominają sobie kto wchodził do stołówki przed śniadaniem. Nie mają też wątpliwości co do tego, kto mógłby być zainteresowany spowodowaniem ich niedyspozycji. Krąg podejrzanych zacieśnia się do dwóch postaci: dziewiętnastoletniej Agnieszki P. i dwudziestoletniej Beaty S.

☆ ★ ☆

Sobota 26 stycznia jest dla Agnieszki i Beaty ostatnim dniem pracy w „Olimpii". Upływa właśnie dwutygodniowy termin wypowiedzenia. Obie dziewczyny pracują tu krótko: Agnieszka dziesięć, Beata pięć miesięcy. Zarabiają niewiele: po około osiem tysięcy złotych. Podejmując decyzję o zwolnieniu, Agnieszka miała powiedzieć do koleżanki, że trzeba stąd uciekać, bo nie ma szans na dorobienie się samochodu.

Agnieszka i Beata nie są lubiane przez współpracownice. Zdecydowana większość kobiet zatrudnionych na wydziale konfekcji to znacznie od nich starsze, ciągle zagonione matki i żony. Młode dziewczyny muszą je drażnić trochę ekstrawaganckim ubiorem i sposobem bycia. Toteż z właściwą sobie prostotą starsze pracownice okazują jawną niechęć do „punkówek". Soczyste epitety są na porządku dziennym.

Jednak zasadniczym powodem częstych pyskówek jest Agnieszki i Beaty stosunek do pracy, a ściślej, do obowiązującego systemu pracy, wobec którego dziewczyny są obojętne. Indywidualne korzyści finansowe, jakie można osiągnąć w akordzie zbiorowym, jakoś nie wyzwalają w dziewczynach chęci do działania. Natomiast inne pracownice widzą w akordzie możliwość powiększenia swych zarobków o tak ważne dla domu kilkaset złotych. Agnieszka i Beata są najsłabszymi ogniwami zespołu. Postawa młodych bije po kieszeni resztę zbiorowości, co oczywiście rodzi konsekwencje w postaci wzmożonej fali agresji. Dziewczyny postanawiają odejść. Nie ukrywają, a nawet głośno zapowiadają, że w dniu rozstania uskutecznią perfidną zemstę...

W tym celu, dzień wcześniej nabywają w aptece po cztery fiolki laxigenu — środka o działaniu silnie przeczyszczającym. Każde takie opakowanie zawiera trzydzieści pastylek. Agnieszka i Beata ustalają, że rozpuszczą laxigen w wodzie przeznaczonej do parzenia herbaty. Miejscem „dowcipu" ma być stołówka „Olimpii".

Grono wtajemniczonych nie jest bynajmniej dwuosobowe. Agnieszka i Beata informują o swych zamiarach kilka koleżanek z pracy, które — jak to określiły — nie zaszły im za skórę. Jednakże żadna z wtajemniczonych nie zdradza ochoty do współdziałania.

Tuż przed śniadaniem nadarza się wyborna okazja. W pomieszczeniu stołówki nie ma żywej duszy, a mistrz opuścił właśnie swój kantorek. Agnieszka bierze słoiczek z wcześniej rozpuszczonym laxigenem i daje znak koleżance. Beata ma uczynić to samo, lecz w ostatniej chwili wycofuje się: nie zabiera swojego laxigena. Z tej prostej przyczyny duża dawka środka przeczyszczającego trafia do jednego tylko warnika. Woda w drugim zbiorniku pozostaje czysta.

Teraz spiskowczynie czuwają nad właściwym przebiegiem zemsty. Wybierają metodę selekcji, polegającą na tym, że dyskretnie ostrzegają niektóre, bardziej im życzliwe pracownice, przed czerpaniem wody z warnika numer dwa.

Pół godziny później, gdy kilkanaście kobiet zdradza gwałtowne objawy zatrucia, Agnieszka i Beata symulują podobny stan, uczestnicząc w „wyścigach" do toalety.

Tymczasem efekt zemsty przerasta oczekiwania pozbawionych wyobraźni dziewczyn. Ustaje produkcja, do zakładu przyjeżdżają karetki pogotowia. Pośród ogólnego zamieszania Beata wylewa resztę wody z trefnego warnika, zacierając ślady przestępstwa.

Tego samego dnia wieczorem, zaniepokojona Beata odwiedza w domu jedną z lżej poszkodowanych, pytając ją czy przyczyna zatrucia została wyjaśniona. Otrzymuje negatywną odpowiedź Nie wie jeszcze, że kobiety domyślają się kto jest sprawcą zatrucia. Niektóre wcale nie zamierzają milczeć...

Decyzją prokuratora Agnieszka P. i Beata S. zostają zatrzymane.

☆ ★ ☆

„Przez cały czas myślałam, że ta dawka nie uczyni żadnego uszczerbku na zdrowiu, spowoduje jedynie częstsze bieganie tych pań do ubikacji..."

Agnieszka P.

☆ ★ ☆

„Beata S. podejrzana jest o to, że dnia 26 stycznia 1985 r. w Łodzi, działając wspólnie i w porozumieniu z Agnieszką P., spowodowała powszechne niebezpieczeństwo dla zdrowia zatrudnionych pracowników, w ten sposób, że..."

ROMAN KUBIAK

Sami wśród bliskich i obojętnych

EDWARD BRYL

Pozostawieni na pastwę losu w nędzy, ubóstwie, zniedołężniali starzy rodzice; dzieci dobrze sytuowane, często na stanowiskach, wstydzą się ich, swego pochodzenia, nie utrzymują żadnych kontaktów...

Model rodziny wielopokoleniowej w zasadzie przestał istnieć. Życie rodzinne kurczy się w zastraszającym tempie. Powoli, ale systematycznie zanikają więzi między ludźmi.

Żłobki i przedszkola skutecznie wyparły dobroczynną instytucję babć, dziadków. Zaś z drugiej strony istniejąca sieć placówek opieki dla ludzi u schyłku życia — domów spokojnej starości, rencistów, dziennego pobytu, dla przewlekle chorych — mimo ogromnych wysiłków jest ciągle niewystarczająca. Mogą wyręczać tylko nieliczne rodziny w obowiązkach na rzecz starych rodziców Brakuje miejsc. Ośrodki Opiekuna Społecznego, PCK, PKPS mają pełne ręce roboty. Coraz częstsze cedowanie własnych powinności na barki państwa nie tyle świadczy o ubożeniu społeczeństwa, bo zbyt zamożne nie było nigdy, a mimo to współżycie między pokoleniami nie układało się najgorzej, lecz o głębokim kryzysie podstawowych wartości moralnych. Wystarczy wziąć akta pensjonariuszy któregokolwiek z domów rencistów. Większość wywodzi się ze wsi, wszyscy mają dzieci, bliskie rodziny w mieście... Jeszcze kilka, kilkanaście lat temu „głównymi dostawcami" do tychże domów była inteligencja pierwszego pokolenia, zwłaszcza pochodzenia wiejskiego, rzadziej robotniczego. Obecna klasa robotnicza nie kultywuje dawnych zdrowych tradycji, niewiele ma wspólnego z prawdziwą kulturą robotniczą. W znacznej części składa się właśnie z ludności napływowej ze wsi, z małych miasteczek. Z rodzinnego gospodarstwa odchodzili nie tylko zdolni, ambitni, uparci, ale przede wszystkim ci, którzy liczyli na łatwiejsze życie, kusił ich ośmiogodzinny dzień pracy, mieszkanie w blokach. Teraz to oni zajeżdżają do swoich na wieś po zapasy na zimę, po mięso... Oni parkują wprost na zieleńcach, pod oknami małe i duże fiaty, nie zauważają przyrody, nie szanują, dla nich las, trawa były zawsze i będą. Z zakładami pracy nie zdążyli się ani zżyć, ani związać.

Opowiadał mi znajomy robotnik, były tokarz, dwadzieścia pięć lat pracy w jednej fabryce, ostatnio, ze względu na stan zdrowia podjął obowiązki palacza:

— *Wyremontowali nam łazienkę. Elegancko! Od sufitu do podłogi kafelki, także w korytarzu. Nowiutkie prysznice, nad umywalkami lustra. Nawet parę miesięcy nie wytrwało! Wszystko diabli wzięli! Co za naród? To że baterie wykręcają, umywalki kradną w końcu można jakoś tam od biedy wyrozumieć... Ale idzie taki i metalowym prętem rypie po ścianie, aż się kafle sypią. Kapie się, rozkręci wszystkie prysznice. Woda wali jak z cebra, od pary ciemno. Co go to obchodzi, że za chwilę wyjdą ludzie po zmianie i kropli nie będzie... Albo dla draki wywraca koledze ciężką metalową szafkę na odzież, a może on tam ma jakiś płyn i zniszczy garnitur... Trzeba by stać i pilnować, tylko patrzeć na łapy, i tłuc, inaczej nie zrozumieją, że to wszystko ich, za ich pieniądze, żeby było wygodniej, przyjemniej. Gdzież by mnie, albo przedtem mojmu ojcu, przyszło do głowy dewastować własny zakład pracy, albo takiemu Matysiakowi, wie pan, ten z audycji radiowej... Skąd się nabrało tyle ludzi niesolidnych, nieuczciwych... Sporo jest jeszcze takich co dojeżdżają prosto z pobliskich wsi, od gospodarstwa. Im robota nie pali się w rękach. Wiecznie coś załatwiają, czymś handlują, gdzieś się spieszą, to na zakupy, to żeby obrobić pole. Jeśli tak gospodarują na swoim, jak na państwowym, to sto lat jeszcze nie wyjdziemy z kryzysu...*

Fakt, w których zakładach nie ma kłopotów z utrzymaniem porządku w zapleczach socjalnych załogi? Kto więc dewastuje urządzenia? Czyżby oni? Przynieśli do miast najgorsze zwyczaje. W swoich mieszkaniach czują się nieskrępowani, zakłócają spokój, nie liczą się z sąsiadami, brudzą. Potrafią śmieci wyrzucać z balkonu, przez okna. Wyobrażają sobie, iż są zdecydowanie lepsi od ziomków, co pozostali na wsi. Nie tylko ci, co zdobyli akademickie wykształcenie, ale także nowo upieczone mieszczuchy, pracujący jako niewykwalifikowani robotnicy. Odbierają swoje spłaty za ziemię, mogą świecić nowymi samochodami, modnymi ciuchami, złotem na palcach. Swoim tupetem, bezczelnością narzucają styl życia innym. Wstydzą się własnej matki, ojca, ich spracowanych chropawych dłoni, wiejskiej mowy. Sami się też posługują fatalną polszczyzną, zdarza się, że i ci wykształceni. Swoim gościom matkę przedstawiają jako pomoc domową, albo zwyczajnie każą jej iść do kina, czy na spacer niezależnie od pogody, pory roku. Nie są rzadkością przypadki, gdy dorosłe wykształcone dzieci przez długie lata ciągnęły z gospodarstwa co się tylko dało, a gdy pozostało jedno z rodziców, już niezdolne do pracy, namówiły na sprzedaż ziemi i przeniesienie się do nich, do miasta Potem pozbywały się przybysza, w najlepszym przypadku umieszczały go w domu rencistów lub po prostu wyrzucały z domu.

Dwa lub trzy lata temu pisałem o staruszce, matce pięciorga dobrze sytuowanych dzieci U żadnego nie było dla niej miejsca. Syn pozostał na dużej gospodarce, córki miały wygodne, kilkupokojowe mieszkania w Łodzi, jedna nawet była właścicielką sporej willi w Grotnikach, wynajmowała pokoje letnikom. Matka tułała się, sypiała na polu, w kopkach, w stodołach litościwych ludzi. Tylko dzięki staraniom Ośrodka Opiekuna Społecznego w Zgierzu została umieszczona w domu opieki. Pracownica odwożąca starowinę płakała ze wzruszenia, a dzieci nawet nie zainteresowały się losem matki, nie wpuściły choćby tylko na próg „starej cholery", ani ludzi, którzy próbowali bronić jej interesów.

Oto przykłady z ostatnich tygodni. Józefa K., lat 92, też z terenu gminy Zgierz zamieszkuje w pomieszczeniu wynajętym przez dalekiego krewnego, który ma zamiar wyburzyć tę ruderę i wybudować dom dla swego dziecka. Chałupa drewniana, ledwie trzyma się kupy. Kobieta zajmuje pokój — norę. W piecu ledwie się tli, zimno. Brudne, odrapane ściany. Po izbie snuje się kot, jedyny towarzysz samotności. Babcia siedzi grubo ubrana.

— *Jeszcze dobrze się czuję* — mówi. — *Wzrok mam dobry, robię na drutach, szydełkuję serwetki.*

Sprzedała gospodarstwo, miała zamieszkać ze starszą córką w Łodzi. Jest u niej nawet zameldowana, córka dostała z tego powodu większy metraż — jeden pokój dla matki... Niestety! W ogóle to babcia ma dwie córki, nie utrzymują z nią żadnego kontaktu. Pewnie dlatego, że płaca alimenty — jedna 1600 zł, druga 1175. Te pieniądze są jedynym źródłem utrzymania staruszki, dwa tysiące siedemset siedemdziesiąt pięć złotych miesięcznie! Kpina! Dostaje także niewielką sumę z opieki społecznej — zasiłek celowy, raz na kwartał. Ponieważ nie jest zameldowana na terenie gminy, nie może otrzymywać comiesięcznego zasiłku wyrównawczego. Ośrodek Opiekuna Społecznego od dłuższego czasu próbował nawiązać kontakt z córkami, jednak bez żadnych efektów, zupełnie nie interesują się losem matki. Babcia żyje w niedostatku. U dzieci mieszkać nie może, zresztą szczerze mówiąc, sama nie chce. Na przejście do Państwowego Domu Pomocy Społecznej też nie wyraża zgody... W lipcu 1984 roku Ośrodek Opiekuna Społecznego w Zgierzu wystąpił do Prokuratury o podwyższenie alimentów.

Kazimierz D., urodzony w 1900 roku, ojciec czworga dzieci; córka Danuta lat 44, synowie Stanisław lat 41, Adam lat 39, Aleksander 37 lat.. Dziadek z dumą opowiada o swych wykształconych dzieciach — córka lekarka, jeden syn prawnik.

„Petent jest człowiekiem starym, mieszkającym samotnie. Rodzina nie utrzymuje żadnych kontaktów, ani jedno z dzieci. Ze względu na stan zdrowia wymaga pomocy innych osób". (z wywiadu społecznego).

Gdzie indziej pan inżynier na stanowisku służbową wołgą na same święta odwiózł matkę na państwowy wikt. Nawet nie sam, posłał kierowcę. Zresztą niedługo cieszyła się wnukami Zaledwie parę tygodni od momentu, kiedy sprzedała gospodarstwo i zdążyła dać pieniądze synowi, nawet te co je miała przeznaczone na pochówek.

— *Na terenie ZOZ zgierskiego, jednego z największych w Polsce, przykładów bezdusznego postępowania dorosłych dzieci wobec starych rodziców jest mnóstwo. Właściwie przypadki, kiedy interweniujemy w sprawach ludzi naprawdę samotnych należą do rzadkości* — mówi z-ca dyrektora do spraw służb społecznych, Ewelina Rudnicka. — *Jeszcze niedawno wynajdywano rozmaite preteksty do umieszczania starych rodziców w domach opieki — brak czasu na pielęgnowanie schorowanej matki z tytułu licznych obowiązków zawodowych, zbyt ciasne mieszkanie itp. Przeprowadzano tych ludzi podstępem, z powodu urlopu, malowania... Przeżywali tragedie, bywało, że kończyli samobójstwem. Dziś nikt już niczego nie wymyśla. Starzy sami dobrze rozumieją warunki życiowe, póki co, starają się jakoś zabezpieczyć na ostatnie lata. Na dzieci nie liczą, co bardziej odporni psychicznie sami ubiegają się o miejsce w domu opieki. Najwięcej kłopotów mamy z tymi najstarszymi, są bezradni. Oni jeszcze zaufali dzieciom, a dzieci swoją niechęć do rodziców, wręcz okrucieństwo wyjaśniają zwykle trudnym charakterem staruszków, niesprawiedliwym podziałem majątku. W rzeczywistości nie mogą już liczyć na żadne korzyści materialne i bez powodu nie muszą zabiegać o względy, udawać, że los rodziców interesuje ich w jakimkolwiek stopniu. Postępowanie bezpretensjonalne, szczere! Zresztą absolutnie aprobowane przez społeczeństwo. Na wsi nikt się nie oburza, gdy ojciec czy matka bogatego gospodarza żyją w skrajnej nędzy, przymierając z głodu i chłodu. To sprawy rodzinne, majątkowe — mawiają sąsiedzi. My się nie wtrącamy. Obojętni na krzywdę, niedolę, poważają tylko bogatych.*

W dużych aglomeracjach miejskich jest podobnie. Wystarczy przyjrzeć się najstarszym dzielnicom. W mieszkaniach bez wygód, opalanych węglem, gdzie wychowało się kilkoro dzieci, pozostają starzy niesprawni rodzice. Dzieci powyprowadzały się do bloków, a rodziców nawet nie odwiedzają, bo i po co. Dobrze jak kto z litościwszych sąsiadów pomoże czasem lub wskaże nieszczęśnika w porę Ośrodkowi Opiekuna Społecznego.

Obojętność, egoizm, bezustanna pogoń za pieniądzem biorą górę nad wszystkimi ludzkimi uczuciami. Najmłodsi wychowywani w coraz większym pośpiechu od najwcześniejszych lat uczestniczą w życiu dorosłych, toteż nieobcy jest im pogląd, że liczą się tylko wartości materialne, pieniądze. Dziś każdy maluch wie, że musi być dobrze ubrany, mieć wysokie kieszonkowe, żeby imponować rówieśnikom, aby był wśród nich dostrzegany, poważany. Pewnie, że łatwiej jest kupić dziecku wymarzoną zabawkę, supermodny ciuch, dać wysokie kieszonkowe, niż zająć się na serio jego wychowaniem. Na taki luksus zapędzeni, zabiegani rodzice nie mają czasu. Zawodowa praca kobiet, trudności z zaopatrzeniem do minimum ograniczają czas, który należy poświęcić dla dzieci, domu. Ojcowie, matki zresztą też, dorabiają po godzinach. Jedni, żeby związać koniec z końcem, drudzy, żeby mieć jeszcze więcej, na luksusowy samochód, kafelki w łazience, na domek na działce, na wakacje za granicą... Są i inne anomalia

Trudności materialne, kłopoty z usługami, zaopatrzeniem w najbanalniejsze materiały, przedmioty, z konieczności spowodowały, że wiele rodzin przeszło na „samowystarczalność". Jest ona zmorą, zabiera resztki wolnego czasu, kradnie chwile przeznaczone na wypoczynek, sen. Dochodzimy do absurdów. Dobry, przygotowany fachowiec po pracy pędzi duchem do domu, zjada „w locie" obiad, siada do maszyny, szyje żonie sukienkę, synowi spodnie, naprawia rodzinie buty, sprzęt mechaniczny, zakłada boazerię, półeczki itd... I to inżynier konstruktor! Po to się kształcił, aby rozmieniać swoje umiejętności na drobne? Polska myśl techniczna tuła się dziś po warsztatach różnych cwaniaków, produkuje zabawki plastykowe, napędowe, najrozmaitsze „szkaradne cacka", wymyślne wyroby u pseudorzemieślników, którzy bez jej pomocy w ogóle nie mieliby sensu bytu. Są i tacy, którym szczęśliwie udało się zamienić „swoje" szare na złote i pracują we własnym interesie ogrodniczym czy butikowym. Pewnie można i tak. Tylko czy to jest droga wyjścia z impasu?

Na wychowanie młodego pokolenia czasu ciągle brakuje i w domu, i także w szkole, bo tu przeładowane programy i tempo życia zbyt mało czasu pozostawiają nauczycielowi na kwestie wychowawcze. A tempo jest coraz większe, szkoły na nowych osiedlach przeładowane. Przerwy międzylekcyjne z konieczności trwają pięć minut. Uczniowie biegiem zmieniają klasy co godzina, nauczycielki też. Po dniu pracy jedni i drudzy wychodzą zestresowani, zmęczeni. Nawet górnik czy robotnik ma czas na zjedzenie śniadania, załatwienie potrzeb fizjologicznych, tu go nie starcza, wszystko robi się w szalonym biegu, pod pręgierzem umykających bezpowrotnie chwil. Nawet gotowe propozycje tematów do dyspozycji wychowawcy, wspólne wycieczki, rzadziej w Polsce, częściej do kina czy teatru nie załatwiają niczego. Uczeń podsuwa nauczycielowi zeszyt ze swoimi pracami społecznymi, zwyczajny rejestr godzin; dwie przy czyszczeniu trawnika szkolnego, trzy na działce, godzinę był z wizytą u samotnej starszej osoby, półtorej robił jej zakupy — to wszystko na stopień ze sprawowania!

Na co dzień bywa zupełnie inny. Jak jedzie do dziadka po kieszonkowe nie ustąpi nikomu miejsca w tramwaju. Zmęczony, grał przecież w piłkę, a potem robili jeszcze kawały tej starej Kowalskiej z parteru, zapchali zamek, kota wywieźli daleko do lasu za miasto, ciekawe czy wróci. Teraz pewnie drzwi zamknąć nie może i woła tę swoją kicię, ale ma minę... Dobrze, że niedługo szkołę skończy, stopni nie będzie potrzeba, popracuje już nie społecznie, tylko na własne konto. Za działalność społeczną weźmie się z powrotem, jeśli mu siły i zdrowie dopiszą, dopiero na emeryturze, żeby się nie nudziło, jeśli nie potrafi do tej pory ułożyć sobie życia ciekawiej. Dziś jakiś tam nauczyciel bezskutecznie walczy z długimi włosami nastolatków, zwisającym kolczykiem w uchu chłopaka. Nawet symbolicznie, bo nie długość włosów jest ważna, nie kolczyk, ale sposób bycia, który wybiera młody człowiek, aprobowany, wręcz wzorowany na własnych rodzicach, wszystko dla siebie, na prywatny rachunek, nie dla innych, być od reszty bogatszym, to znaczy lepszym, mieć, mieć za każdą cenę..

Siergiej Ostrowoj

Przy pożegnaniu

Przy pożegnaniu święte prawo
Na pełną szczerość. A już czas,
Że trzeba rozstać się, Warszawo,
Na ile słońc? Na ileż gwiazd?

Czyś ty mnie aby polubiła?
Ja kocham piękno twoich wieś
I tak mi dobrze z tobą było
Włóczyć się aż po późny zmierzch!

Nie grawitacja, nie ciążenie
Na wieki połączyło nas,
Ale duchowe to sprzężenie,
Zwące się Los i zwące Czas.

★ ☆ ★

Drzewem społecznym jest brzezina.
Z niej dom i krzyż poczciwy.
Bielą swą nagość przypomina
Dziewcząt zza bujnej niwy.

Lud wierzył w nią bardziej niż w Boga.
Ona nam stale towarzyszy
Od kolebeczki. I od proga
Zawiedzie do cmentarnej ciszy.

W godziny jasne i ponure
Lekko nie wrzucasz jej do pieca.
Ona — wędrownym twym kosturem,
Ona —
gromniczna
twoja świeca.

Przekład:
TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Włodzimierz Wysocki

Piosenka o krótkotrwałym szczęściu

Już rogi grzmią: „Na łów, na łów!",
zbierają się myśliwi,
a to, co żywe, to ich wróg,
więc dalejże na żywe!
Dziwne rozrywki człowiek ma —
łabędzie białe zabić dwa,
strzałą im przeciąć drogę —
łucznicy szybcy są jak myśl,
a te łabędzie właśnie dziś
spotkały się ze sobą.

A łabędzica żyła tam,
gdzie niezliczone gwiazdy,
gdzie wzbić się może tylko ptak
potężny i odważny.

więc leć, za słońcem śmiało goń
przez nieba roziskrzoną toń,
skrzydłami tnij przestworza!
Leć tam, gdzie nie doleci nikt,
gdzie tylko anioł albo krzyk
swobodnie krążyć może.

A on dogonił ją wśród gwiazd
na dwie sekundy szczęścia,
lecz sekund tych jaskrawy blask
był ich łabędzią pieśnią.

Podobni bogom, poprzez mrok
ku ziemi skierowali lot
nie przewidując skutków:
a w dole już ze wszystkich stron
myśliwi wymierzali broń,
by szczęście było krótkim.

I strzelec w trawę cisnął łuk,
pot z czoła otarł ręką,
i los się już dopełnić mógł —
trwaj chwilo, jesteś piękna!

I wplotł się nieśmiertelny wiersz
akordem w ich łabędzią pieśń,
gdy legli obok siebie;
umarli razem — ona, on,
na ziemię spadli, by przez zgon
pozostać w siódmym niebie.

Przekład:
MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Dawać świadectwo prawdzie

Przez dwa kolejne dni gościła w Łodzi delegacja pisarzy radzieckich w ramach trwających właśnie DNI KULTURY RADZIECKIEJ. Przybyli z różnych krajów ZSRR by tu, w mieście włókniarzy, spotkać się z polskimi kolegami pisarzami, by porozmawiać o tym, co dla twórców jest dzisiaj sprawą najważniejszą: o przyszłości ludzkości, o przyszłości dóbr kultury niematerialnej, o sensie tworzenia.

Gwoli kronikarskiej rzetelności wymienię skład delegacji: MICHAIŁ DUDIN — przewodniczący delegacji, sekretarz Zarządu Głównego Związku Pisarzy ZSRR, długoletni deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, Bohater Pracy Socjalistycznej, poeta, prozaik, scenarzysta; WŁADIMIR CYBIN — poeta; NAFI DZUSOJTY — prozaik; WŁADIMIR KOSTROW — poeta, sekretarz moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy ZSRR; IRINA STRIEŁKOWA — prozaik; TANZILIJA ZUMAKUŁOWA — poetka; WIKTOR KORŻ — poeta; KAIM PANGRIKULIJEW — poeta; ŁAZURIA MUSZYN — poeta; NIKOŁAJ ZINOWIEW — poeta.

Kontakty twórców obu krajów datują się nie od dziś, co ma niebagatelne znaczenie w zacieśnianiu obustronnej przyjaźni, a w znaczeniu dużo szerszym przyczynia się nie tylko do poznawania obu literatur lecz i do wzbogacania ogólnonarodowych skarbców kultury. Także kontakty łódzkiego środowiska literackiego z pisarzami radzieckimi mają swoje namacalne wyniki: w Łodzi ukazało się sporo książek przełożonych z języka rosyjskiego, białoruskiego, ukraińskiego czy gruzińskiego. W tej chwili Wydawnictwo Łódzkie przystąpiło do edycji wielkiego cyklu obejmującego 19 tomów, a będącego prezentacją poezji narodów ZSRR. Nie tak dawno ukazała się antologia poezji ormiańskiej i została życzliwie przyjęta zarówno przez krytykę, jak i przez czytelników. To właśnie pierwszy tom zapowiedzianej edycji.

Na rynku księgarskim ZSRR coraz to pojawiają się książki pisarzy zamieszkujących Łódź, są wydawane zbiory i antologie tematyczne. Jesteśmy więc obecni ze swoją twórczością w kraju, gdzie czytelnictwo jest — jak podają międzynarodowe statystyki — najwyższe w świecie. To cieszy, ale i zobowiązuje.

Niezwykle uroczyste było spotkanie z pisarzami radzieckimi w gmachu Muzeum Historii m. Łodzi, na które przybyli przedstawiciele Komitetu Łódzkiego PZPR, Urzędu m. Łodzi, pisarze, wydawcy, dziennikarze, działacze kultury. Ale wkrótce powaga protokołu została jakby zignorowana, bowiem szybko znaleziono wspólne tematy rozmów, wspólne zainteresowania i oto potworzyły się grupy i grupki dyskutujących i gestykulujących ludzi. Przecież spotkali się jakby nie było poeci i prozaicy, znakomici fachowcy w swoim zawodzie i wspaniali wizjonerzy w twórczym powołaniu. I nie ma znaczenia, że dzieli ich obyczaje, doświadczenia, język — mają przecież te same wątpliwości, doświadczają tych samych rozterek, przeżywają podobne fascynacje. Nad światem — w sensie dosłownym — mają zawisnąć wkrótce satelity z bombami nuklearnymi na pokładzie. Czy pisarz może milczeć? Czy twórca może pozostać obojętny na szalejący wyścig zbrojeń, na fakt, że Europa upodabnia się do pola usianego wyrzutniami rakietowymi? Trzeba więc protestować, krzyczeć pełnym głosem, dawać świadectwo prawdzie o przyszłości planety, na której wypadło nam żyć. Wiersz, nowela, powieść, artykuł publicystyczny — każdy z tych utworów może stanowić tarcze dla szaleństwa, jakie w ostatnich latach ogarnęło poniektórych polityków.

Kiedy trwały rozmowy i dyskusje, kiedy grupki wędrowały od jednego stoiska z książkami do drugiego, przeprowadziłem krótką rozmowę z MICHAIŁEM DUDINEM.

— Proszę powiedzieć, skąd w Waszej twórczości zainteresowania Polską? Wasz piękny wiersz „Miny wybuchają po wojnie" zamieszczony został w książce wydanej przez łódzką oficynę wydawniczą pod tytułem „Jak umieść wierszem Twoją chwałę". Ten wiersz mówi o Polsce i o Waszym przyjacielu, Iwanie Kanabinie...

— Może zacznę od czasów dawnych. Otóż pochodzę z Iwanowa — Wozniesieńska, miasta włókniarzy, miasta pierwszej na świecie Rady Delegatów Robotniczych. Gdy miałem lat czternaście i uczyłem się w szkole przyzakładowej — tu chcę powiedzieć, że z wykształcenia jestem włókiennikiem — już wiedziałem, że jest takie miasto Łódź, i że znajduje się ono w dalekiej Polsce, że jest zamieszkałe przez niespokojnych ludzi, co to nie boją się caratu. A w bibliotece były książki Henryka Sienkiewicza, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego. Te książki, jak tylko sięgam pamięcią wstecz, zawsze stały na półkach bibliotecznych obok książek klasyków rosyjskich i były czytane, ba! zaczytywane na równi z powieściami Tołstoja czy Turgieniewa. Tak więc z Polską, z Łodzią znałem się od lat. Po wojnie nieraz odwiedzałem wasz kraj, byłem na Wybrzeżu i w Warszawie. Przyjaźnię się ze Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim, znałem Władysława Broniewskiego. Wiele czytam z waszej literatury, właściwie wszystko, co się w ZSRR ukazuje drukiem.

A teraz wrócę do mojego wiersza. Odwiedziłem kiedyś Oliwę. Znalazłem się w katedrze i wysłuchałem koncertu na słynnych organach. Otóż kiedy rozległa się muzyka, kiedy aniołowie unieśli swoje trąby i cały kościół wypełnił się dźwiękami, przypomniał mi się mój krajan, Wania Kanabin, marynarz, niski i krępy, z głową w jasnych lokach i z oczami jak niebo, który nie rozstawał się ze swoją harmoszką. Wania poległ na polskiej ziemi i przed śmiercią prosił, by nad jego trumną zamiast marsza zagrano mu poloneza. Mój wiersz opowiada o Wani i o jego prośbie.

— Wieloletnia przyjaźń zobowiązuje...

— To już miłość. Z takim uczuciem zawsze spotykam Polskę. Ale chcę powiedzieć, że wszystkie narody są jednakowe. Nie ma złych narodów na tym świecie i być nie może, choć od wszelkiego draństwa żaden naród jak dotąd się nie uwolnił.

— A jak oceniacie takie spotkania, jak to dzisiejsze?

— To są potrzebne kontakty. Wypływa z nich jedno: zarówno w ZSRR jak i w Polsce będzie coraz więcej się ukazywać książek w znakomitych przekładach. Dobrze jeśli ludzie przestali się obdarowywać kuksańcami, a zaczęli dawać sobie w prezencie książki. Bo czymże jest książka jak nie ludzkim doświadczeniem skierowanym ku przyszłości. Maksym Gorki powiedział: wszystko, co mam w sobie najlepszego, zawdzięczam książkom. I jeszcze jedno: potrzebny jest nam dialog o odpowiedzialności pisarza przed narodem i przed sobą samym, przed własnym sumieniem. Żyjemy w czasach złożonych i niespokojnych, w ciągłym zagrożeniu. My, twórcy, rozumiemy aż nadto dobrze, że jeśli ludzkość nie pogrzebie wojny, to wojna pogrzebie ludzkość. Innej alternatywy nie ma. Dlatego musimy ze sobą rozmawiać, musimy się spotykać.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— Więc nie tylko przyjaźń, nie tylko dyskurs o poezji...

— Nie, nie tylko. Ale przyjaciele rozmawiają ze sobą szczerze, a to jest ważne. Proszę sobie uświadomić, że już minęło czterdzieści lat, jak w Europie nie ma wojny! To przecież rzecz bez precedensu. Ludzie naprawdę zdążyli zapomnieć o bombardowaniach, o pożarach, o obozach zagłady, o nagłych śmierciach tysięcy osób. I właśnie na nas, na twórcach spoczywa obowiązek, by ludzie nigdy więcej nie doświadczyli na sobie skutków działań wojennych. A ten, kto tego nie rozumie, nie rozumie niczego ze współczesnej historii. Dlatego pragnę, by to dzisiejsze nasze spotkanie w Łodzi pozostawiło u każdego z nas swój ślad, świadomość, że uczestniczymy w wielkim świecie pokoju na Ziemi.

— Macie prawo tak mówić, gdyż wojnę znacie z autopsji...

— Spędziłem na froncie leningradzkim całe 900 dni. Z mojego oddziału zwiadowczego, w którym służyłem, pozostało przy życiu dwóch ludzi. Czym były tamte lata w okrążeniu? Oglądałem na własne oczy, w czasie styczniowych mrozów 1942 roku, jak w ciągu jednej tylko doby ginęło od bomb, od kul i z głodu od 7 do 10 tysięcy ludzi! Taka jest wojna, taką płaci się cenę, kiedy jakiś szaleniec zapragnie zawładnąć światem.

— Na zakończenie naszej rozmowy powrócę do spraw czysto literackich: jesteście przewodniczącym Rady do Spraw Literatury Ormiańskiej...

— To dlatego, że sporo wierszy ormiańskich przełożyłem na język rosyjski, a jest to, nie należy zapominać, jedna z najstarszych literatur na świecie. Cieszę się więc ogromnie, iż w Polsce ukazała się antologia tej poezji. Jest to wspaniały prezent dla polskiego czytelnika. Przecież to nie tylko sprawa poznania samej poezji, ale i wzbogacenie języka polskiego, wzbogacenie polskiej kultury.

— A Wasza własna twórczość? Jakieś nowe wiersze o Polsce?

— Kto wie, może. Ale to musi przyjść samo, tu nie można planować.

— Dziękuję za rozmowę i do następnego spotkania.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

O wojnie trzeba mówić

W ramach DNI KULTURY RADZIECKIEJ w Polsce trwają, już dziesiąte z kolei, „Wiosenne Spotkania z Filmem Radzieckim". W Łodzi gościliśmy MARLENA CHUCYJEWA — reżysera, sekretarza Związku Filmowców ZSRR, ALEKSIEJA SIMONOWA — reżysera, którego najnowszy film „Oddział" został pokazany na seansie przedpremierowym w kinie „Iwanowo", JEWGIENIJA GRIGORIEWA — scenarzystę, WŁADIMIRA PABAUCKIEGO — przedstawiciela Wydziału Zagranicznego GOSKINO i WŁADYSŁAWA ZIELDINA — przedstawiciela SOVEXPORTFILM w Polsce.

W czasie spotkania z dziennikarzami wiele mówiono o filmie radzieckim w ogóle i sporo o filmie „Oddział", którego dramatyczna akcja nie tylko wzrusza, ale nasuwa wiele gorzkich refleksji.

Reżyser filmu Aleksiej Simonow (syn znakomitego pisarza Konstantego Simonowa) odpowiadając na pytania powiedział, że jeśli kraj, a ma na myśli Rosję, stracił ponad 20 milionów ludzi, wówczas każda opowieść, każde wspomnienie o wojnie musi być dramatyczne. Z całej wojny najbardziej dramatyczny był właśnie rok 1941. Akcja filmu „Oddział" rozgrywa się właśnie w tym roku. Ponadto, dramat współczesnej historii polega na tym, że jak do tej pory niedostatecznie opowiedziano o tym roku.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Film jest przejmujący. Dla lepszego uwypuklenia i zrozumienia jego grozy, reżyser zastosował dość prosty chwyt: strach i śmierć są w kolorze czarno-białym, natomiast pozostałe sekwencje są wielobarwne. Dlaczego tak? Bo — powiada Simonow — nadzieja ma kolor zielony.

W czasie rozmowy zwrócono uwagę na fakt, że coraz częściej filmy o wojnie robią reżyserzy, którzy wojny nie widzieli na oczy, którzy jej nie przeżyli. Słowem: mówią o wojnie ludzie z pokolenia powojennego. Przecież w przypadku „Oddziału" ten fakt potwierdza się także. Aleksiej Simonow w roku 1941 miał zaledwie dwa lata, a scenarzysta Jewgienij Grigoriew — sześć. A mimo to nakręcili przejmujący film o tamtych trudnych i dramatycznych dniach. Także Aleksiej German, autor filmu „20 dni bez wojny", sam wojny nie przeżył, mimo to pokazał na ekranie wojnę tak, jak nikt tego nie zrobił z tych, którzy byli jej uczestnikami. Bowiem sprawa nie dotyczy pamięci, a przede wszystkim talentu.

Mówienie o wojnie nie oznacza mówienia o konkretnych działaniach, o bitwach i potyczkach. Wojna to temat szerszy, temat współczesny, ciągle otwarty ze względu na szaleńczy wyścig zbrojeń i nie ustające zagrożenie.

Mnie, jako pisarza, zainteresował przede wszystkim Aleksiej Simonow, syn wspaniałego prozaika, scenarzysty, uczestnika wojny, którego pamiętniki „Różne dni wojny" zrobiły światową karierę. Zapytałem przeto reżysera, czy twórczość jego ojca nie jest dla niego inspiracją. Przecież niemal wszystko, co wyszło spod pióra Konstantego Simonowa, dotyczy wojny.

Odpowiedź była tej treści: owszem, już w swoim życiu nakręcił dwa filmy wg scenariuszy ojca. Ale to było dawno. Teraz zamierza dokonać ekranizacji powieści „Życie osobiste" wykorzystując m.in. wspomniane już „Różne dni wojny". W zamiarze ma to być pięcioodcinkowy serial. Wpierw jednak przymierza się do filmu na podstawie powieści „Więcej się nie zobaczymy". Jednak są to sprawy trudne, bowiem Konstanty Simonow pisał te książkę „kiedy nie byliśmy zwyczajnie ojcem i synem, a byliśmy już przyjaciółmi" i „za każdą postacią książki kryje się człowiek, którego znałem tak samo dobrze jak znał go mój ojciec" — tymi słowami Aleksiej Simonow zakończył rozmowę.

E. IW.

Kylian i jego zespół

Występy gościnne holenderskiego zespołu „Nederlands dans theater" poprzedziła dość obfita informacja w środkach masowego przekazu, co zapewne przyczyniło się w znacznym stopniu do wyjątkowo żywego zainteresowania baletem łódzkiej publiczności mimo przedwielkanocnych porządków. Komu udało się obejrzeć dwudniowe występy holenderskich tancerzy, ten z pewnością nie doznał zawodu, choć, moim zdaniem, oba wieczory nie były jednakowo frapujące pod względem choreografii, samo bowiem wykonanie reprezentuje w tym zespole tak wysoki poziom, jest świadectwem tak znakomitego wyszkolenia technicznego i odznacza się taką siłą oryginalnego wyrazu, że trudno w ogóle mówić o realizacjach chybionych.

Jest to zespół, który łączy w sposób dla siebie swoisty klasyczną szkołę baletu z nowoczesnymi technikami w jednolity styl wykonawczy, a największa w tym z pewnością zasługa kierującego zespołem od siedmiu już lat **Jiřego Kyliana**, artysty o niepospolitej osobowości, który gruntowne i wszechstronne podstawy wykształcenia zdobywał w swojej rodzinnej Pradze, gdzie też stawiał pierwsze kroki jako choreograf.

Program pierwszego wieczoru otworzyła Igora Strawińskiego „Symfonia psalmów" w choreografii Kyliana. Już pierwsze taneczne układy i pierwsze kroki tancerzy dały poznać widzowi odrębność estetyki ruchowej Kyliana w stosunku do klasycznego kanonu. Założeniom artystycznym choreografa najwyraźniej nie przyświeca jakaś idea uświęconego tradycją piękna samego dla siebie, lecz bezkompromisowe dążenie do znalezienia środków wyrazu dla określonych treści emocjonalnych.

Trudno byłoby zresztą pokusić się o jednoznaczne odczytanie akcji tego utworu, odbiera się raczej ogólny zamysł tego, co się na scenie dzieje, obrazujący jakby osamotnienie jednostki wobec społeczności, obojętnej czy może wrogiej. Ale mimo tak tragicznego przesłania surowa oszczędność środków tanecznych sprawia, iż utwór jest emocjonalnie dość chłodny, a przynajmniej ja, mimo podziwu dla pomysłowości i oryginalności rozwiązań tanecznych oraz perfekcjonizmu wykonania, odczuwałem koncepcję choreografa jako intelektualnie wyspekulowaną.

Dość zdecydowanie kontrastował z „Symfonią" w charakterze i nastroju następny utwór, oparty na motywach hiszpańskich, a ściśle katalońskich „Zamknięty ogród" z muzyką opracowaną przez **Marię del Mar Bonet**, która była też wykonawczynią przepięknie odśpiewanej partii solowej. Choreografia **Nacho Duato** odwoływała się do skojarzeń z odwiecznymi czynnościami ludności wiejskiej, z jej znojem i udrękami wobec często bezlitosnych sił przyrody, ale tonowała i przy tym uwznioślała te obrazy, utrzymana w ciepłych słonecznych barwach, scenografia tegoż autora. Dramaturgię całości, złożonej jakby z kolejnych solowych etiud tanecznych podbudowuje dynamika stopniowo gęstniejącego tła orkiestrowego, a tym silniej dochodzi to do głosu, że solowe tańce zaczynają się w zupełnej ciszy, potem stopniowo dołącza się perkusja i śpiew, a wreszcie cała grupa instrumentalna.

Na zakończenie programu zobaczyliśmy „Sinfoniettę" znakomitego czeskiego kompozytora Leosa Janacka w opracowaniu choreograficznym Kyliana. Na podłożu wybitnie motorycznej muzyki, z niezbyt częstymi reminiscencjami lirycznymi, rozwija się pełen radości układ taneczny, złożony z dość luźno powiązanych scenek, w czym ma zawierać się apoteoza wolnych Czech po trzystu latach niewoli. Myślę, że pod tę czeską „Odę do radości" można by podkładać najprzeróżniejsze obrazy.

Już w ten pierwszy wieczór holenderscy goście zaimponowali wielką sprawnością i precyzją techniczną, niepowszednią także wyrazistością ruchu. Kto jednak musiał poprzestać na wrażeniach z tego programu i na jego podstawie urobiłby sobie opinię o zespole, tego wiedza byłaby jednak niepełna, wszystkie bowiem umiejętności i talenty zespołu doszły do głosu dopiero w drugim programie. Dodajmy, że kompozycje choreograficzne drugiego wieczoru były dziełem Jiřego Kyliana.

Na pierwszy ogień poszedł (przeniesiony z ostatniej pozycji programu) słynny od dawna balet Strawińskiego „Wesele" (Les noces), który w ciągu sześćdziesięciu lat od powstania tej wspaniałej muzyki doczekał się kilku głośnych w świecie choreograficznych realizacji, co jednak nie odstraszyło Kyliana, który też zapragnął zmierzyć się z tym dziełem. Co prawda, z uwagi na znaczne dowolności interpretacyjne, jakie niesie z sobą zarówno muzyka, jak i, ogólnikowe przecież, wskazania libretta (mimo iż każda z czterech części tej — jak ktoś określił, choreograficznej kantaty opatrzona zostanie tytułem) są to nie krępujące inspiracje, zwłaszcza że brak też np. bliższej charakterystyki muzycznej poszczególnych postaci i nawet scen, bo tylko nieliczne wskazówki narzucają choreografowi pewne fabularne ramy, jak np. przekazanie narzeczonej oblubieńcowi przez rodziców czy ich nocne czuwanie w oczekiwaniu spełnienia się małżeństwa. Kompozytor ponadto nie cytował jednoznacznie motywów muzycznych towarzyszących poszczególnym elementom weselnego obrzędu (jak sam zresztą wyznał, nigdy nie był świadkiem rosyjskiego chłopskiego wesela), chodziło więc raczej o przedstawienie swoistej magii weselnego rytuału, który przechowuje każda nieskażona kultura ludowa, przekazanie nastroju prymitywnej witalności, żywiołowego objawiania radości i głęboko nieraz skrywanego ludzkiego dramatu. Można tu przy tym wyróżnić dominację elementu „żeńskiego" w postaci nastrojów smutku i skargi w częściach nieparzystych, skontrastowane z „męską" pewnością siebie i szorstkością w częściach parzystych.

To wszystko znalazło podbudowę w oryginalnie brzmiącej orkiestrze o instrumentarium w składzie m. in. czterech fortepianów czy też w przeciwstawianiu sobie śpiewu solowego i chórów, a z całego tego bogactwa i swobody inspiracyjnej czerpał Kylian szeroką ręką nie ulegając pokusie rodzajowej dosłowności, lecz kładąc nacisk na to co ponadczasowe, odwieczne, co stanowi archetyp.

Trudno przełożyć na opis słowny wszystkie piękności kylianowego dzieła, rozgrywającego się w dość ponurej i szarej, drewnianej scenerii rosyjskiej wsi, trudno rozwikłać urzekającą symbolikę poszczególnych scen. A jak opisać wiotki i rozkołysany ruch grupy żeńskiej na podobieństwo trzcin podcinanych wiatrem... Jestem głęboko przekonany, że Kylian stworzył baletowe arcydzieło, a cały zespół przeszedł sam siebie, pomimo tego niech mi wolno będzie podać nazwisko **Joke Zijlstry**, której rola Panny Młodej stanowi bezsporną kreację o silnym ładunku dramatycznym.

Nie sądziłem, że po tym „Weselu" jeszcze mnie coś pobudzi, a jednak sprawił to „Deptak" do muzyki **Carlosa Chavesa**. Była to lekka i dowcipna prezentacja ruchów tanecznych,

najzupełniej oryginalnych, bo wyprowadzonych jakby z pierwszych kroków rytualno-tanecznych emancypującego się gatunku ludzkiego, w których zachował on jeszcze umiejętności i sprawności swoich zwierzęcych krewniaków: czujne zwroty, raptowne uskoki, z których wyłania się zaczątek ludzkich zabaw, przekomarzania się i udawań, podstępu i nieszczerości. Kto nie oglądał tej parodystycznie zabarwionej zabawy, ten nie poznał wszystkich technicznych i wyrazowych możliwości zespołu.

Dana na zakończenie programu „Msza polowa" do znanego utworu czeskiego kompozytora Bohuslava Martinu (Kylian nie zapomina że jest Czechem), chociaż ciekawie pomyślana i bez zarzutu wykonana, nie mogła już po poprzednich doznaniach porwać i zadziwić. Owszem, przekazano nam przeżycia ludzi poddanych rygorowi obowiązku i dyscypliny, ich poczucie lęku i zagubienia, a wreszcie osamotnienia, które jakże często jest udziałem jednostki wśród pozornie zunifikowanej zbiorowości. A wszystko to wykonano sprawnie przez znakomicie wyszkoloną grupę męską, z udziałem tancerki (co niezupełnie wytłumaczalne, zwłaszcza iż tuszowane), na tle półkolistego horyzontu, odcinającego się od nieba krwawą linią wojennej pożogi.

Występ „Nederlands dans theater" wyostrzył spojrzenie widzów na techniczne i interpretacyjne możliwości baletu współczesnego, mógł też zaostrzyć apetyt na oczekujące nas wkrótce Łódzkie Spotkania Baletowe. Ale może i lepiej, że zetknęliśmy się ze znakomitymi Holendrami już teraz, zamiast na spotkaniach. Z pewnością lepiej dla niejednego zespołu nie wybijającego się ponad poprawność.

JERZY KWIECIŃSKI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

SZKIC Z DZIEJÓW STAROSTWA ZGIERSKIEGO

Po ostatecznym pozbyciu się Szwedów z granic Rzeczypospolitej król Jan Kazimierz przyznawał obywatelom szczególnie krajowi zasłużonym tzw. tenuty czyli starostwa niegrodowe, tworzone w wyniku uszczuplania większych jednostek administracyjnych. Do takich starostw niegrodowych należało starostwo zgierskie. Już w 1659 r. obdarzył król dzierżawą zgierską Stanisława Wężyka, rotmistrza pancernego, który „pod Hołubem mężnie za ojczyznę piersi swoich nadstawiał". Kolejni monarchowie utrzymali przywilej nadawania tenuty zgierskiej okolicznej szlachcie. August III Sas nadał starostwo zgierskie Kajetanowi Jabkowskiemu, Stanisław August przyznał je kolejno: Maciejowi Cieleckiemu (1771) i Onufremu Wilkanowskiemu (1789). Jeden z Jabkowskich rozstał się ze światem w 1823 r. jako 140-letni (?!) starzec, sam starosta zgierski imć Kajetan gustował w mocnych trunkach, co zdaje się wynikać ze szczęśliwie zachowanej (w Bibliotece WSP w Zielonej Górze, sygn. ZS/1724) dedykacji rękopiśmiennej na książce Stefana Garczyńskiego „Anatomia Rzeczypospolitey Poskiey synom Oyczyzny ku przestrodze y poprawie tego co z kluby wypadło" (Warszawa 1751):

Ta książka, proszę, by była oddana
Do rąk godnego wielkich pochwał Pana
Z Wielmożnych męża mościwego Pana
Ukochanego Win Kajetana,
Nazwiskiem przednich fruktów Jabkowskiego,
Prócz dalszych zasług starosty zgierskiego,
Od życzliwego y estymatora
Domu Garczyńskich a przód iey Autora

X.F.R.

KOLEKCJONERZY

Gdy po ukazaniu się „Stańczyka", a zwłaszcza „Kazania Skargi", imię Matejki stało się sławnym, otrzymał on pewnego dnia list następującej treści:

Łaskawy Panie!

Zwracam się do Pana z prośbą o wyświadczenie mi pewnej grzeczności, i mam nadzieję, że pan nie weźmie za złe mej śmiałości. Oto jestem zapalonym miłośnikiem i zbieraczem malowanych ręcznie kart widokowych i czułbym się nad wyraz uszczęśliwionym, gdyby mi Pan przesłał jedną taką kartkę przez siebie namalowaną i zaopatrzył własnym podpisem.

Będzie to dar najcenniejszy w całym moim zbiorze, zwłaszcza, że będę się mógł poszczycić, iż Pan, Mistrzu, jesteś jednym z pierwszych, którzy mnie w ten sposób obdarowali (...).

Pozostając z całym należnym szacunkiem, z góry składam wyrazy podziękowania.

C.F.

Matejko odpowiedział na list powyższy następująco:

Łaskawy Panie!

Zwracam się do Pana z prośbą o wyświadczenie mi pewnej grzeczności i mam nadzieję, że Pan nie weźmie za złe mej śmiałości. Oto jestem zapalonym miłośnikiem i zbieraczem państwowych banknotów stuguldenowych i czułbym się nad wyraz uszczęśliwionym, gdyby mi Pan przesłał jeden taki egzemplarz do mego zbioru.

Będzie to dar najcenniejszy w całym moim zbiorze, zwłaszcza, że będę się mógł poszczycić, iż Pan jesteś jednym z pierwszych, którzy mnie w ten sposób obdarowali (...).

Pozostając z całym należnym szacunkiem, z góry składam wyrazy podziękowania.

Jan Matejko

„Kurier Literacko-Naukowy", 1927, nr 44

PIELGRZYMKA DO JEROZOLIMY

Pisze Adam Moszczyński w „Pamiętniku do historyi polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Poniatowskiego" (Poznań 1863, s. 26):

„Znałem podkomorzynę poznańską, pozostałą wdowę ostatniego z domu Czartoryskich, panią bardzo majętną, którą opanowali jezuici i wszystkie intraty z dóbr jej zabierali. Mimo wielu pochlebstw, które jej czynili, wyperswadowali jej, że chodząc po pokoju, może odbyć pielgrzymkę do grobu Pańskiego, do Jerozolimy, z rzetelnym odpustem przeznaczonym dla tych, którzy pieszo tę podróż odbywają, i wyrachowali, na wiele mil jej dom od Jerozolimy jest odległy, ile ta podróż zabierze czasu, aż do godzin wyliczono, a w Rzymie wyrobili dla niej odpusty, jak gdyby istotnie tę podróż odbywała".

Inny świadek epoki ks. Hugo Kołłątaj (Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III. Poznań 1841) pozostawił w swym dziele wiadomość, że ofiarą jezuickiej chytrości padła Ewa z Leszczyńskich Szembekowa, wojewodzianka kaliska, żona kanclerza wielkiego koronnego Jana Szembeka, zamieszkała w Babicach koło Warszawy: *„wyrachowano wszystkie kroki z Babic aż do Jeruzalem, rozdzielono je na dnie, wypadło, iż Szembekowa powinna była peregrynować lat 5. Oddała więc Szembekowa dobra swoje jezuitom na przeciąg lat rzeczonych, dodano jej do tej podróży 4 ojców duchownych, sprawiono pielgrzymskie suknie, porobiono ścieżki w olszynie babickiej, gdzie Szembekowa codziennie peregrynowała, odbywając przepisane nabożeństwa i biorąc codziennie błogosławieństwo na drogę".*

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Proces raz jeszcze

Nie ulega wątpliwości, że wymyślna inspirację powieści Mieczysława Kurpisza stanowi „Proces" Franza Kafki. Tytuł rozumieć można co najmniej dwojako: oznacza on dochodzenie przygotowawcze w domniemanym procesie bohatera powieści oraz stopniowe jego dochodzenie do prawdy wewnętrznej. Wydawca reklamuje utwór Kurpisza jako krytyczny głos trzydziestolatka rozliczający się z całą formacją umysłową tych, którzy mieli wpływ na kształtowanie rzeczywistości lat siedemdziesiątych. Odnoszę wszakże wrażenie, iż demonstracyjna pokoleniowość jest w „Dochodzeniu" tyleż faktyczna, co umowna.

Bohater powieści Kurpisza — identycznie jak Józef K. — został pewnego dnia zawezwany przed anonimowy sąd. W czasie niezwykłego procesu składa on zeznania, przesłuchanie tak jednak jest prowadzone, iż to właśnie podsądny formułuje zarzuty, iż to on oskarża, ulegając jednocześnie presji nieuchwytnego sądu. Z najrozmaitszych zlepków: cytatów, parafraz, aluzji, oderwanych kadrów etc., wyłania się poszarpana sklejka, która stanowić ma obraz sytuacji życiowej dzisiejszych trzydziestolatków. Bełkotliwy ton tej prozy, nawiązujący w znacznej mierze do skojarzeniowych chwytów poezji lingwistycznej, odzwierciedla chaos, kryzys wartości, kłopoty ze znalezieniem tożsamości. Jedynie samooskarżenie formułowane jest w sposób przejrzysty i zdecydowany. Zaświadcza to między innymi następujący fragment: *„Nie wiem, jak się nazywam, skąd pochodzę dokąd idę. Ale mam, tak, mam pewność, tragiczną, śmieszną pewność, że jestem jednym z pokolenia, które nieuchronnie traci swój związek z największymi osiągnięciami budownictwa mieszkaniowego i które pragnie przede wszystkim dorobić się nowych wartości ekonomicznych, trwałych przy zmiennej strukturze przez zasiedziałość. Z pokolenia, którego już nie ma. Które przeminęło, które się dokonało w strachu, i w salach konferencyjnych, konferencyjnej głupocie, w protekcjonalnym szepcie, w ułamkach ostrzegawczych rozmów, w szpalerach czerwonych od krwi dywanów".* Tak więc jedyną rzeczą, jaką udaje się w toku żmudnego dochodzenia ustalić, okazuje się negatywna tożsamość pokoleniowa, objawiająca się w poczuciu krzywdy, w dostrzeganiu rozdźwięku między naczelnym hasłem naszych czasów, głoszącym, że największą wartość stanowi człowiek, a realiami, w których hasło owo ma być realizowane.

Oskarżycielski ton zdaje się być skierowany przeciwko „samemu życiu", pojmowanemu jako nierozerwalne sprzężenie czynności biologicznych i mechanizmów społecznych. Podobnie, jak jego duchowy przodek z powieści Kafki tak i bohater utworu Kurpisza nie potrafi — mimo usilnych starań — pojąć sensu istnienia. Podejmuje starania o poznanie prawdy — zabiegi te zostają jednak zawieszone przez potężny i nie odgadniony sąd, który miast prawdę wyjaśnić jeszcze bardziej ją gmatwa. W tej sytuacji bohater „Dochodzenia" przyjmuje rolę intelektualnego bankruta, to wszystko zaś, co zdoła zanotować, określa jako „prozę wyczerpaną". Atmosfera wyczerpania, nerwowości, sztucznego podniecenia rzeczywiście dominuje w tej prozie.

Perfekcyjność wzorców, jakie stawiano przed bohaterem, nie ma nic wspólnego z normalnym zwykłym życiem. Zdaje się być wręcz jego zaprzeczeniem. Stąd wynika perwersyjny związek erotyczny z manekinem, symbolem bezdusznej trwałości raz na zawsze ustalonych wzorów „mody". Ale nawet manekiny ulegają destrukcyjnemu działaniu wszechogarniającego chaosu. Nawet one nie są w stanie uchronić swej wyrazistej, jaskrawej tożsamości. Perfekcyjność — przynajmniej zewnętrzną — zachowuje jedynie sąd, nienagannie reprezentujący skomplikowany aparat biurokratyczny.

W „Dochodzeniu" mamy do czynienia z podwójną perspektywą narracyjną. Prawdziwa świadomość narratora (w tym także świadomość warsztatowa) ujawnia się we wtrętach przypominających poniekąd didaskalia i zaznaczonych odmiennym typem druku. Znajdujemy w nich taką autorefleksję: *„cholerny, wkurwiający lingwizm wciska się między zęby, zamazuje całą treść, najpierw walka z nim, a dopiero potem coś tam. To jedno i to samo. Nie ma wkurwiającego lingwizmu bez wkurwiającej treści".* Treść ową stanowi w powieści Mieczysława Kurpisza niemożność identyfikacji indywidualnej. Wbrew permanentnym pytaniom Wysokiego Sądu o personalne dane, o wiek, pochodzenie, poglądy etc. Kłopot tkwi w niemożności udowodnienia własnego istnienia, w niemożności urzeczywistnienia podstawowego przykazania: bądź sobą! Po niezliczonych daremnych próbach bohater dochodzi do wniosku, iż tożsamość musi mieć w sobie wiele wspólnego z komedia dell'arte. Nie pozostaje mu więc nic innego, jak tylko zgrywać się przed wysokim audytorium i przed samym sobą. Nie jest mu z tym wygodnie. Ma jeszcze nadzieję, że dochodzenie nie zostało zakończone definitywnie.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Mieczysław Kurpisz: „Dochodzenie", „Czytelnik", Warszawa 1984, s. 157, nakład 10.320 egz., cena zł 80.—

ROBERT GLUTH

Geniusz i szaleństwo

Byliśmy świadkami emisji pięcioodcinkowego serialu pod tytułem „Ludwig". Jest to gniot straszliwy i żadna wina w tym Telewizji Polskiej — raczej chwała, że zapoznaie nas z efektem totalnego rozpadu zdolności twórczych i umysłowych jednego z największych geniuszy światowego ekranu.

Niech nikogo nie myli określenie „serial". To był w zamiarze i realizacji film kinowy, przeraźliwie długi i zawierający niejako testament życiowy Luchino Viscontiego. Jak się rzekło powstał gniot straszliwy trwający przeszło cztery godziny, z którego w dniu premiery publiczność rzymska wychodziła oburzona Cóż zostało z Viscontiego w tym dziele? Perfekcyjna oprawa i ceremoniał dworski, w czym niewątpliwie celował, o czym będzie mowa później — ponadto piękna buzia mało znanego aktora Bergera i uduchowiona twarz zmarłej tragicznie Romy Schneider. Poza tym liczne pałace, urokliwe widoki, denerwujące dialogi i pustka, pustka... pustka.

O Luchino Viscontim napisano wiele — może nawet więcej niż o innych twórcach kinematografii. Najbardziej kompetentna pracą jest przez wiele lat pisane dzieło Gai Servadio — kobiety zakochanej w dziele wielkiego reżysera włoskiego. Pisali o nim Anglicy, Włosi, Francuzi, Hiszpanie, Amerykanie oraz nasi filmoznawcy. Z zawodowego koleżeństwa wymienię kilka nazwisk dziennikarzy i pisarzy piszących o Viscontim oraz o przedziwnych bohaterach filmu „Ludwig". Są to Józef Dużyk, Waldemar Łysiak, Danuta Sochacka. Oczywiście najkompetentniejsza jest Wielka Encyklopedia PWN.

Film „Ludwig" został przez producentów podzielony na części i emitowany jako serial telewizyjny wbrew wszelkim regułom tego typu utworów (panorama, głębokie plany itp.).

Jest to utwór z wielorakim kluczem. W głównej mierze stanowi spowiedź reżysera homoseksualisty, którego problem dewiacji seksualnej męczył przez całe życie. Elżbieta cesarzowa Austrii, którą gra wielka Romy, to nikt inny tylko jedyna kobieta — nie spełniona miłość Viscontiego. Przepych filmu to tylko reminiscencje własnego życia twórcy, a on sam to jego kochanek Berger.

TOWARZYSZ KSIĄŻĘ

Luchino Visconti di Modrone — książę pochodzący z jednej z najsłynniejszych rodzin lombardzkich urodził się 2 września 1906 roku, a zmarł 17 marca 1976. Mógł praktycznie zostać wszystkim: arystokratycznym nierobem, wybitnym wirutozem pianistą, pisarzem, malarzem i wreszcie reżyserem filmowym. Natura obdarzyła go szczodrze. W dziewiętnastym wieku Franciszek Liszt pierwszą wizytę w Mediolanie złożył właśnie u książąt Visconti Całe życie młodego Luchino upływało w atmosferze artyzmu, słynna opera La Scala była właściwie jego drugim domem. Już Toscanini zwrócił uwagę na nieprzeciętny talent muzyczny młodego księcia. Wystarczy nadmienić, że pierwszy koncert publiczny Luchino miał w wieku 9 lat. Atmosfera domowa, przyjaźń z największymi tego świata artystami czyniły z młodzieńca wybrańca bogów. Pisał również — wiersze, opowiadania, dużo malował i szkicował. Bardzo wcześnie rozczarował się do oficjalnej wiary katolickiej i stworzył niejako własną wiarę w ponadczasowego, wszechmogącego Boga — wiarę, która towarzyszyła mu aż do śmierci. Duży liberalizm wysoko postawionych duchownych katolickich (miał w rodzinie i kardynałów) tolerował ów stan rzeczy. I tu właściwie kończy się jednoznaczność życiorysu Luchino Viscontiego di Modrone — księcia książąt Lombardii.

W 1922 roku Benito Mussolini zorganizował słynny Marsz na Rzym i przejął władzę legalnie, zachowując królestwo Włoch oraz uprawnienia papieskie w słynnych układach laterańskich. Oczywiście były to wszystko pozory, ponieważ faktyczną władzę stanowił Il Duce i wysoka rada faszystowska. Mussolini w pierwszych latach zaskoczył Włochów niebywale radykalnym programem politycznym. Zawsze był zwolennikiem odnowy Imperium Rzymskiego — i stąd gigantyczne przedsięwzięcia w rodzaju osuszenia błot pontyjskich, budowa ogromnych stadionów, wielkich szos, rozwinięcie do gigantycznych rozmiarów fabryki samochodów Fiata, budowa w Rzymie nowego Foro Italico itd. itd.

Wkrótce jednak hordy „czarnych koszul" wprowadziły totalny terror. Pierwszym, który zginął w skrytobójczym mordzie w roku 1924 był przywódca socjalistów Matteotti. Czarny terror z obozem koncentracyjnym na Wyspach Liparyjskich „uwieńczył" początek rządów dyktatora.

Chcąc konkurować z amerykańskimi wytwórniami filmowymi Benito Mussolini zbudował pod Rzymem gigantycznych rozmiarów miasteczko filmowe Cinecitta. Pozyskał wielu reżyserów i głośnych producentów. Wystarczy nadmienić, że tak sławny po wojnie jeden z twórców włoskiego neorealizmu Roberto Rosselini był jednym z filarów mocarstwowej propagandy czarnego dyktatora.

Co robił wówczas Luchino Visconti książę Modrone? Zrobił jeden film „Ossesione". Odbiegał ten obraz tak dalece od mocarstwowej propagandy faszystowskiej, że tylko cudem przebił się na ekrany — a w czasie premiery syn Mussoliniego w towarzystwie wysokiego funkcjonariusza admirała Balbo wyszedł, wrzeszcząc: *„Visconti! pan obraża Włochy. To nie jest Italia!"*. Nie należy dodawać, że film zdjęto, kopie zniszczono i tylko jedyna kopia w posiadaniu Viscontiego pozwoliła nam ten film oglądnąć po wojnie. Niektórzy sądzą, że właśnie ten film był całkiem nieświadomą pierwociną powstałego w latach czterdziestych i pięćdziesiątych neorealizmu włoskiego, który uczynił z Italii powojenną potęgę filmową.

No, a teraz konia z rzędem temu, kto zgadnie kto to taki był towarzysz Alfredo Guidi. Tak. To właśnie był z całej duszy i wychowania książę Luchino Visconti di Modrone. On właśnie jako jeden z organizatorów antyfaszystowskiego Komitetu Rzymskiego związał się na śmierć i życie z ruchem, w którym główną rolę grali komuniści. Jest to jedna z wielu nieprawdopodobnych sprzeczności tego człowieka. Tylko indolencji policji bezpieczeństwa Włoch faszystowskich należy zawdzięczać, że Visconti w czasie swojej długoletniej działalności nie zginął. W jego lokalu konspiracyjnym zbierała się przecież połowa członków Komitetu Centralnego Partida Communista Italiana. Dopiero w kwietniu 1944 Visconti został aresztowany, bity i katowany w więzieniu rzymskim — i jego niezwykłe szczęście spowodowało, że żywy opuścił kazamaty 8 czerwca 1944, gdy armia generała amerykańskiego Alexandra stała już pod bramami Wiecznego Miasta.

Żeby dokończyć niezwykłych przygód księcia komunisty — warto podkreślić, że to on właśnie w maju 1946 na łamach komunistycznej „Unity" opublikował słynny artykuł pt. *„Dlaczego będą głosować na partię komunistyczną"*. Oczywiście osobistym przyjacielem Viscontiego stał się lider partii komunistycznej Palmiro Togliatti. Tu trzeba wyjaśnić, z uwagi na zainteresowania seksualne naszego mistrza, że tych dwóch wielkich ludzi łączyła tylko ideologia i wzajemny szacunek.

No, a teraz o dalszych sprzecznościach Viscontiego, którego życie właściwie było kłębkiem przeciwieństw. Znał cały świat. Oczywiście nie wspominam o najwybitniejszych filmowcach — odkąd Visconti stał się absolutnym profesjonalistą w dziedzinie reżyserii filmowej. Ale oprócz tego znał doskonale Toscaniniego, Bertolda Brechta, Cocteau, amerykańskich prezydentów, włoskich i radzieckich komunistów — no krótko mówiąc miejsca by nie starczyło na wymienienie wszystkich jego znajomości i przyjaźni.

NIE SPEŁNIONA MIŁOŚĆ

No, to przejdźmy do następnej piekielnej sprzeczności tego człowieka. Raz jeden w życiu był zakochany w kobiecie, a była to księżna Irmina Windischgreatz, córka księcia Hugo Fuerstenberga. Była to miłość nigdy całkowicie nie spełniona. Potworny w swojej zaciętości konflikt z ojcem ukochanej przekreślił plany małżeńskie — ale co dziwne księżna do końca życia wspominała Viscontiego, a i on w starszych już pamiętnikach napisał: *„W jakimś sensie zmarnowałem życie Irmina była właśnie tą, z którą bym poznał szczęście"*. I tu zaczyna się niesamowita wolta: Visconti początkowo platonicznie zaczyna darzyć gorącymi uczuciami młodych pięknych chłopców — aż w końcu staje się zdeklarowanym, aktywnym homoseksualistą. Preferuje mężczyzn o urodzie nordyckiej. I tu zaczyna się kolejna, absurdalna sprzeczność w życiu tego wielkiego twórcy.

Rzecz polegała na tym, że Visconti na równi z motłochem faszystowskim gardził... swoimi rodakami z południa Włoch. Twierdził wielokrotnie i oficjalnie, że nienawistna mu jest „rasa śródziemnomorska", że prawdziwą jego ojczyzną jest Lombardia, jego zdaniem ojczyzna „nordyków". Jakże był szczęśliwy, gdy odkrył w jakimś almanachu, że książęta di Modrone byli spokrewnieni z domem bawarskich Wittelsbachów!

I pomyśleć, że ten człowiek — miotający się kłębek sprzeczności — stworzył największe swoje filmy poświęcone Sycylijczykom, a więc Włochom najbardziej śródziemnomorskim ze wszystkich. Tu trzeba wymienić pierwszy jego film powojenny, paradokumentalny obraz „Ziemia zadrży", rzecz o przybyszach z Sycylii do Mediolanu „Rocco i jego bracia", a przede wszystkim niezapomniany, genialny film „Lampart", o którym wypada tutaj kilka słów powiedzieć.

Otóż „Lampart" powstał według jednej jedynej książki napisanej przez sędziwego arystokratę Giuseppe Tomasi di Lampedusa. W roli głównej — a więc w roli księcia Di Salina — obsadził Visconti człowieka uroczego, amerykańskiego aktora znanego z bardzo postępowych przekonań, ale specjalizującego się właściwie w rolach cyrkowych i kowbojskich. Chodzi rzecz jasna o Burta Lancastera Visconti potrafił tego przeuroczego kowboja uszlachcić. Wydawałoby się, że poza wspólnymi przekonaniami politycznymi i niezłym warsztatem aktorskim nic Visconti nie mógł widzieć w Lancasterze. Tymczasem ten człowiek przeszedł samego siebie, okazał się genialnym odtwórcą roli i jeżeli kiedykolwiek wyobrażamy sobie księcia sycylijskiego, to właśnie widzimy twarz Burta Lancastera. Ba, żeby to tylko my — ale koronowane głowy również.

Zafascynowanie sztuką germańską, narodem niemieckim jest tak paradoksalne u Viscontiego, że domyślamy się dopiero tego wówczas, gdy słyszymy o jego słynnych mężczyznach kochankach, lub gdy oglądamy tak wspaniałe filmy jak „Zmierzch Bogów", czy „Śmierć w Wenecji" według Tomasza Manna. W „Zmierzchu Bogów" scena „nocy długich noży", jest tak wstrząsająca i tak pełna sympatii dla nomoseksualnej zgrai Roehma, że widz właściwie przestaje rozumieć, że bandyci z SS mordują bandytów z SA.

SZALEŃSTWO WITTELSBACHÓW

O czym traktuje pocięty na serial film — ostatni film starego Viscontiego — pt. „Ludwig"? Rzecz jest o absolutnym, zdecydowanym paranoiku Ludwiku II Ottonie Fryderyku Wilhelmie, królu bawarskim urodzonym w 1845 i zmarłym w 1886. Waldemar Łysiak uważa tego kompletnego wariata za swojego ulubieńca z tej prostej przyczyny, że absolutnie nic nie robił jako król, nie prowadził żadnej polityki i budował ze skarbu państwa co najmniej pięć zamków — bo w zamyśle miał chyba siedem. Wszystkie te zamki według Łysiaka charakteryzował surrealizm godny Salwadora Dali. Ponadto — co już wiadomo z historii — Ludwik bawarski kochał się obłędnie w Ryszardzie Wagnerze i również na koszt skarbu państwa wystawiał jego monstrualne opery Ponadto stwierdzał zawsze, że *„wojny nie przyjmuje do wiadomości"*, *„polityka go nie interesuje"*, *„bolą go zęby, więc nie ma czasu na nic innego"* i wreszcie został uznany za szaleńca po zarządaniu dymisji całego gabinetu ministrów. Ponadto bardzo lubił kochać się ze swoimi giermkami.

Tu należy wyjaśnić, że cały starożytny ród Wittelsbachów był lekko dotknięty szaleństwem. Brat Ludwika cierpiał na ostrą paranoję, a nieszczęśliwy papież musiał bez przerwy udzielać dyspensy, aby najbliżsi krewni tego rodu pobierali się i płodzili zwariowane potomstwo.

Oddzielne słowa należą się słynnej Sissi — czyli najpiękniejszej kobiecie ówczesnej Europy — Elżbiecie z domu Wittelsbach, córce Maksa Birkenfelda. Jako że jestem z urodzenia krakowianinem, z czułością wielką czczę pamięć cesarza Austro-Węgier, króla Jerozolimy, wielkiego księcia Siedmiogrodu, księcia Galicji — krótko mówiąc, niezapomnianego Franciszka Józefa, który tak szczerze kochał Polaków, że nawet krakusa Badeniego zrobił swoim premierem, a Wolne Miasto Kraków włączył do Monarchii dopiero po Rabacji Galicyjskiej. Dlatego żal mi wielkiego monarchy, iż opętała go słodka Sissi. Dała mu wprawdzie trójkę dzieci (dwie córki i syna Rudolfa).

Elżbieta nienawidziła zbliżeń z cesarzem — kochała tylko i wyłącznie konie, na których jazdę doprowadziła do perfekcji. Potem, gdy gwałtowne odchudzanie osłabiło jej serce, przerzuciła się na długie piesze wędrówki. Zajęty „swymi ukochanymi narodami" Franciszek Józef zostawiał jej kompletnie wolną rękę, gdy przenosiła się z zamku do zamku, pisała grafomańskie wiersze wielbiące prosty lud, którym gardziła niepomiernie i wyszydzające arystokrację, bez której nie widziała życia.

Nie można odmówić jednak pięknej Elżbiecie wielkiego żalu — ponieważ jej udziałem stała się absurdalna, bezsensowna śmierć. Gdy w roku 1898 przebywała w Genewie, została zasztyletowana przez obłąkanego anarchistę niejakiego Lucheniego.

Jej jedyny syn Rudolf, jak wiemy, popełnił samobójstwo w zamku Mayerling wspólnie z Marią Vetserą. Tak dopełniały się szalone losy skoligaconych wzajemnie Habsburgów i Wittelsbachów — dwóch rodów, z których drugi opętany był szaleństwem, pełnym niepoczytalnych władców i ludzi stojących na krawędzi zbrodni.

Łatwo znaleźć klucz do filmu „Ludwig". Przecież piękna Sissi, to nie kto inny, niż pierwsza i jedyna kobieta w życiu Viscontiego, a aktor Berger, to przecież on sam opętany wizją przemijania i śmierci, wiecznie gnębiony poczuciem winy za swoje dewiacje seksualne.

Jeszcze dwa słowa o Romy Schneider. Jakby się los sprzysiągł — ta aktorka, która dwa razy występowała jako Elżbieta austriacka (po raz pierwszy w serialu tv pt. „Sissi") również była osobą tragiczną Z natury chłodna, poszukująca rozpaczliwie miłości w ogromnych rzeszach kochanków, tragiczna matka, zginęła na skutek przedawkowania środków nasennych i alkoholu.

A arcyksiążę Franciszek Ferdynand — ten który zginął od kuli Gawrilo Principa w Sarajewie w 1914 roku wcale nie był synem Elżbiety; swoją śmiercią jak mawiają wywołał pierwszą wojnę światową. Ale to już zupełnie inna historia.

Uciekajmy w stare wiersze

Już 50 lat publikuje swoje wiersze Jan Huszcza. Ostatni jego tomik, wydany staraniem WŁ pt: „Pory czasu człowieczego", jest nowym wyborem poezji i zawiera utwory z lat 1945—1978. Przedwojenny okres twórczości autora, honorowany m.in. przez R. Matuszewskiego i S. Pollaka w antologii „Poezja polska 1914—1939", nie znalazł tutaj miejsca. Myślę, że redakcyjna decyzja wynika nie z efemerycznego wymiaru debiutanckich poczynań poety, ale z faktu, iż jego literacka droga nabrała charakteru swoistej antykadencji. Powojenne dokonania artystyczne przyćmiły i zepchnęły na plan dalszy jej pierwszy etap.

Konsekwencje takiego ograniczenia wyboru, które nie jest niczym nowym w redakcyjnej praktyce, w przypadku Huszczy rodzą nową, korzystną sytuację odbiorczą. Już od pierwszych stron mamy do czynienia z dojrzałym człowiekiem i poetą, o ugruntowanej strategii wobec życia i literatury. Postawa autora „Starej pijalni" przejawia się w walce z dwoma elementami, determinującymi byt ludzki — czasem i przestrzenią. Z prób okiełznania s.ale zmieniających się współrzędnych jednostek, przeciwstawienia się ich paradoksalnemu dynamizmowi, wychodzi najczęściej pokonany, ale jego porażki są głęboko humanistyczne. Nie on pierwszy dał się zwieść mitycznym igraszkom krajobrazów i odczuł nagle ich bolesną nieprzystawalność. Pięć wierszy z lat 1945/53 daje świadectwo zmagań z pamięcią — filtrem dla współczesnych obserwacji poety, każącym mu rozpoznawać rzeczywistość, zamiast przyglądać się jej bez mnemicznych obciążeń:

„Księżyce znów piękne, lecz boli ten stół bez rąk i łza w piosence" (Pamięci Ojca)

Gdzieś w połowie drogi, w czterdziestoletnim wówczas artyście zrodziła się świadomość, że łaska amnezji nigdy nie będzie mu dana, bo z pamięcią można się jedynie ugodzić, oswoić, poznając jej niewybredne obyczaje. Bezskuteczne próby wyrwania z siebie generowanych przez nią obrazów czynią poezję cierpką i gorzką, która jątrzy tylko rany, a co najważniejsze, deformuje wizję teraźniejszości przesłaniając ją raz po raz wyidealizowanym kształtem chwil minionych. Fragmenty „Miłości dnia powszedniego" pokazują nam jak potężna jest umiejętność kochania życia w jego prozaicznych i prowincjonalnych przejawach.

W kalendarzu Huszczy dominuje jesień i zima. Pozostałe pory roku pojawiają się raczej w kategoriach oczekiwania. Do niezwykle ostrych zmysłów dociera piękno północnego pejzażu, niuanse uroku surowej przyrody. Poetycka przestrzeń jest jednak nadal umeblowana rekwizytami przeszłości (pieyk, dzwoneczki). Stają się one niejednokrotnie pretekstem do nostalgicznych konstatacji:

„Oni z zim innych, ze wspomnienia" (Piecyk żelazny).

„Przeszłości łzą nie otworzę" (Dzwoneczki).

Przedmiotem literackiej deskrypcji są również bliskie autorowi postaci kuzyna („Odwiedziny"), stryja („Opowieść o stryju") oraz inne, dalsze, często prawdziwe, a nie imaginowane. Dwa ostatnie wiersze prezentowane w tym bloku, sygnalizują penetrację nowych obszarów tematycznych, egzemplifikują troskę o miejsce własnego dorobku i niepokój o los intelektualnej schedy:

„Chodzi o pewność, że biblioteke, w której mam książki, zbierane troskliwie oddam synowi..." (***)

Poetyka Huszczy mieści się w szeroko pojętym nurcie realizmu. Autor prezentuje zarazem emocjonalny, zsubiektywizowany stosunek do przedmiotów swych zainteresowań Emanuje to wyraźnie z takich obrazów, jak „Samobójczyni" oraz „W kwileniu czajek". Wyraźnie moralistyczny ton pierwszego z przykładów współgra, w jakimś sensie, z inspiracją, gospodarskim kultem św. Izydora, ledwie tylko zaznaczona w drugim przypadku.

Lektura utworów Huszczy z lat 1959—1962 nie przynosi jakichś wyjątkowych wrażeń, ale ukazuje nowe oblicze poety Pełen dystansu do opisywanych zdarzeń i literackiego tworzywa, broni się skutecznie przed niesprawiedliwością czasu, umiejętnie posługując się ironią, groteską, dowcipem.

Powyższe doświadczenia zaowocowały w znakomitym tomie „Stara pijalnia" dojrzałym i wyważonym spojrzeniem na problem przemijania. Huszcza rozważa to złożone zagadnienie w różnych aspektach. Przedstawia je z punktu widzenia odmiennych pozycji narracyjnych. Prezentuje własny sąd, uwierzytelniając go kategoria pierwszej osoby („Wiersz elegijny"). Innym razem stosuje dyskretny odautorski komentarz (retrospektywny obraz „Fest"). Wreszcie, upoważniony przez artystyczną kondycję, wyraża prawdy intersubiektywne („Miesiące") Wśród wierszy z tego tomiku olbrzymią rolę odgrywają: tytułowa „Stara pijalnia" oraz „Ogrody warzywne". Pierwszy, ze względu na swój paraboliczny wymiar, drugi przeciwnie, poprzez adekwatność surowej liryki do prozaicznego materiału i dystans, graniczący z „przymrużeniem oka".

Wiersze wybrane z „Rozmów i zaklęć" ilustrują proces doskonalenia warsztatu twórcy. Pojawia się tu bowiem nowa jakość w liryce Huszczy: niezwykle ruchliwy, współczesny przedmiotom deskrypcji narrator. Dzięki temu chwytowi literackiemu utwory są żywsze postaci i zdarzenia prawdziwsze, bardziej przejmujące. Warto zwrócić uwagę na świetny pełen dynamiki o ludowych korzeniach utwór „Córka rzeźnika", w którym żart i groteska miesza się z życiową prawdą:

„I wszyscy się kochamy
w córce rzeźnika
aczkolwiek paru z nas
to wykwalifikowani poeci"

Ostatni tomik, prezentowany na kartach niniejszego wyboru, jest chyba najbardziej osobisty. Dźwięczy w nim nuta zadumy nad sobą i własną poezją, przy czym ów autotematyzm ma bardzo często charakter rozliczeniowy, łagodzony nieco formą zaimka — „my". Wybór wierszy Huszczy kończy utwór „Od starorzecza". W tej pojemnej metaforze zawiera się właściwie wszystko: od źródeł człowieka po pamiątki po nim. Mieści się w niej również świadomość, jak głęboko ludzka jest chęć pozostawienia po sobie śladów, choćby to były tylko bibeloty.

Lektura „Pór czasu człowieczego" rodzi wiele pytań i nie daje odpowiedzi na żadne. Nawet na to, czy książka jest autorskim kalendarzem lirycznym, który rychło umknie pamięci czytelnika czy też przekazem powszechnej prawdy, jaką z czasem odnajdziemy w sobie? Niezależnie od wyniku warto uciekać w wiersze Huszczy te stare, ujmujące śpiewną, kresową liryką oraz nowe, ukształtowane w wyniku wzajemnej osmozy tradycji i awangardy.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

(Jan Huszcza —; Pory czasu człowieczego. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984).

Proces o „Wrzód"

JOLANTA WROŃSKA

16 kwietnia 1985 roku, przed Sądem Rejonowym w Łodzi odbyła się rozprawa pojednawcza w procesie, wytoczonym z oskarżenia prywatnego, przez **Wojewódzką Stację Pogotowia Ratunkowego w Łodzi**, przeciwko redaktorowi **Edwardowi Brylowi**.

Powodem oskarżenia stał się artykuł prasowy, zamieszczony w numerze 6 tygodnika „ODGŁOSY" z 85.02.09, zatytułowany „WRZÓD", a dotyczący sytuacji panującej w Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi tak, jak widział ją red. Bryl, na podstawie posiadanych danych i obserwacji.

Oskarżyciel prywatny, wraz ze swym pełnomocnikiem — mecenasem Grzegorzem Łobodą przedstawili akt oskarżenia, zarzucający red. Brylowi narażenie Pogotowia na utratę zaufania i autorytetu w oczach opinii publicznej, a niezbędnego przy wykonywaniu pracy oraz zniesławienie i pohańbienie pracowników stacji, to jest o czyn, objęty artykułem 178, par. 1 Kodeksu Karnego.

Rozprawie pojednawczej przewodniczył sędzia **Sylwester Olejniczak**, oskarżyciela reprezentował mecenas **Grzegorz Łoboda**, zaś oskarżonego — mecenas **Ryszard Łojewski**.

Pojednawczy charakter posiedzenia nakładał na sąd obowiązek podjęcia próby nakłonienia stron do odstąpienia od zamiaru kontynuowania procesu i wejścia na drogę pojednania. Zawarcie porozumienia — dowodził sąd — bliższe będzie interesowi dobra publicznego, w którego imieniu oskarżony napisał swój artykuł, a oskarżyciel zarzucił mu zniesławienie. Strony, po namyśle przystały na propozycję zawarcia ugody następującej treści: **Oskarżony red. Edward Bryl zobowiązuje się w terminie dwóch miesięcy opublikować na łamach tego samego pisma, gdzie zamieścił artykuł pt. „WRZÓD", będący przedmiotem oskarżenia, nowy tekst prasowy przedstawiający punkt widzenia Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi, na poruszone w artykule „Wrzód" problemy. W szczególności zaś, red. Bryl przedstawi kwestie, dające się pogrupować w następujące zespoły problemów:**

a) stan organizacji pracy stacji pogotowia,

b) dyscyplina pracy, wymagania w tej mierze stawiane pracownikom przez kierownictwo WSPR, ze szczególnym uwzględnieniem zagadnienia picia przez personel alkoholu w miejscu i godzinach pracy oraz reakcji na te fakty ze strony przełożonych,

c) jakość, szybkość i poziom usług świadczonych przez Pogotowie na rzecz społeczeństwa, w oparciu o dane statystyczne.

d) warunki pracy personelu w najszerszym ujęciu,

e) dobór, selekcja i kwalifikacje kadry pracowniczej — w oparciu o dane działu personalnego Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi.

Ze swej strony, natomiast, Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego w Łodzi zobowiązuje się do udostępnienia red. Edwardowi Brylowi całości dokumentacji pomocnej przy opracowywaniu tekstu publikacji, zwłaszcza zaś dokumentacji obrazującej sytuację w wymienionej grupie problemów.

Strony wnoszą o umorzenie postępowania w sprawie.

Podpisy pod treścią ugody złożyli: dyrektor Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi — lek. med. **Jerzy Okińczyc** oraz red. **Edward Bryl**.

Tyle suche fakty, zanotowane na sali sądowej. Sądzę jednak iż konieczny jest tutaj komentarz poszerzający nieco obraz sprawy, nie dotyczącej przecież tylko obu wysokich układających się stron, lecz mającej szeroki kontekst społeczny.

W tym celu trzeba się cofać do chwili, w której na łamach „ODGŁOSÓW" ukazał się tekst red. E. Bryla pt. **„Wrzód"**. W kolejnych numerach (7, 8, 9, 10) redakcja drukowała szereg listów od Czytelników, jakie nadeszły po publikacji artykułu red. Edwarda Bryla. Nie wszystkie listy wydrukowano, co zrozumiałe, zważywszy szczupłość miejsca na łamach, ale z całą pewnością starano się przedstawić pełną gamę opinii Czytelników — i tych potwierdzających spostrzeżenia red. Edwarda Bryla, także tych, zarzucających mu pogoń za tanią sensacją i wyrządzenie krzywdy Pogotowiu. Artykuł wywołał zrozumiały szeroki oddźwięk w opinii publicznej, dotyczył wszak spraw nieobojętnych każdemu obywatelowi, bo zdrowia i życia, nadto dotykających zjawisk mających miejsce w instytucji publicznej, a więc wystawionej na społeczną krytykę.

W dwa tygodnie, po publikacji, redakcja drukuje list Głównego Lekarza Wojewódzkiego, dyrektora Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi — **Ryszarda Machnikowskiego** (nr 8, 85.02.23). W liście swym, R. Machnikowski informuje opinię publiczną, iż w związku z artykułem pt **„Wrzód"** powołana została specjalna komisja dla zbadania zasadności zarzutów postawionych w artykule. W skład Komisji weszli: lek. **Henryk Janowski**, dyr. Wojewódzkiego Zespołu Metodycznego Opieki Zdrowotnej i Pomocy Społecznej — przewodniczący; prof. dr hab. n.med. **Jan Baszczyński**, specjalista wojewódzki w zakresie pediatrii, kierownik Katedry Pediatrii WAM; lek. **Janusz Kawiorski** — dyr. Specjalistycznego ZOZ Matki i Dziecka w Łodzi; doc. dr hab n.med. **Marian Szpakowski** — specjalista wojewódzki w dziedzinie położnictwa i ginekologii, kierownik Kliniki Ginekologii i Położnictwa WAM; doc. dr hab. n.med. **Janusz Wara-Wąsowski** — specjalista wojewódzki w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii, kierownik Zakładu Anestezjologii i Intensywnej Terapii AM.

W numerze 11 „ODGŁOSÓW", z dnia 16 marca 85, ukazuje się odpowiedź Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi, w sprawie artykułu Edwarda Bryla pt. „WRZÓD". List podpisany został przez **Barbarę Łokaj** — I sekretarza POP PZPR przy WSPR, w imieniu Związku Zawodowego Pracowników WSPR — przez **Krystynę Bednarek** oraz przez dyrektora Stacji — lek. med. **Jerzego Okińczyca**. Kopia listu, równoległe przesłana została na ręce ministra zdrowia i opieki społecznej **Tadeusza Szelachowskiego**. List, w głównej części, poświęcony jest historii konfliktu między WSPR a lekarzem **Anastazją Targaszewską**, zwolnioną z pracy w Pogotowiu, ponadto zawiera szczegółowe stanowisko załogi Stacji wobec poruszonych przez red. Edwarda Bryla kwestii, odrzucające zarzuty przezeń postawione. List na ogół utrzymany jest w tonie rzeczowej polemiki, wyławszy fragmenty naruszające tajemnicę lekarską (nie wydrukowane przez redakcję); kończy się zaś oświadczeniem, iż załoga Stacji ma świadomość niedomagań istniejących w pracy WSPR, będzie się starać w miarę możności je usuwać oraz chętnie widzi rzeczywistą i uzasadnioną krytykę i chętnie gości dziennikarzy, będących przedstawicielami socjalistycznej prasy (dziennikarz „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" nie zostałby mile przyjęty? — JW).

W numerze 13 „ODGŁOSÓW" z 30 marca 85 r., redakcja drukuje kolejny list z WSPR, Eskalacja oburzenia przybiera na sile wraz z upływem czasu i tym razem jest to protest Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR przy WSPR, w którym to proteście, członkowie Egzekutywy POP, po szerokiej dyskusji 85.03.11 zarzucają red. Edwardowi Brylowi nieobiektywizm, jednostronność i tendencyjność w opisie sytuacji panującej w Pogotowiu. Do listu dołączony jest referat Egzekutywy poświęcony wykazaniu nieuczciwości zawodowej red. Edwarda Bryla. Referat ów stanowi sam w sobie ciekawy objaw ostrzału celu zastępczego, oraz zjawiska coraz groźniej rozwijającego się w naszym życiu społecznym, które prof. Grzegorczyk nazywa „postawą nadgodnościową".

Jednocześnie z trwającą na łamach „ODGŁOSÓW" polemiką na temat Pogotowia, idą kroki bardziej stanowcze. Już 12 lutego 85 roku, a więc w trzy dni po publikacji, do Sądu Rejonowego w Łodzi wpływa pozew procesowy przeciwko red. Edwardowi Brylowi zarzucający mu czyn z art. 178, par. 1 Kodeksu Karnego, czyli mówiąc najkrócej — oskarżenie o zniesławienie.

Pośpiech nigdy nie był dobrym doradcą, toteż natychmiastowe obrażenie się Pogotowia i pozew do sądu, dały o sobie znać w sformułowaniu oskarżeń. Przeciwko pozwanemu wytoczono najgrubsze armaty. Że naraził Pogotowie na utratę społecznego zaufania niezbędnego dla wykonywania działalności, że poderwał autorytet, pohańbił i poniżył w opinii publicznej personel WSPR. Że u m y ś l n i e postawił nieprawdziwe zarzuty, bo zdawał sobie sprawę, że to pozbawi Pogotowie zaufania w społeczeństwie, a przynajmniej na to się godził. Zarzut zniesławienia dotyczy szczególnie kwestii (zawartych w artykule **„WRZÓD"**) dających się ułożyć w grupy problemów:

1) red. Edward Bryl zarzucił, że w WSPR panuje nieporządek, bałagan, brak ładu, pracownicy „obijają się", śpią na dyżurach, dyrekcja jest indolentna w kierowaniu ludźmi.

2) zarzuca Pogotowiu, że pracują tu ludzie gdzie indziej wyrzuceni, a więc przypadkowi, o niskich kwalifikacjach, nieudolni.

3) zarzuca, m.in., że do poważnych przypadków ginekologicznych lub położniczych jeździ sama położna, choć lekarze dyżurują, że są liczne reklamacje wizyt pogotowia wynikające z opieszałości w reagowaniu na wezwania.

4) że lekarze wykazują brak etyki, godności, sumienności zawodowej, a nawet, że zdarzają się przypadki odmowy udzielenia pomocy choremu,

5) że w Stacji panuje pijaństwo, a dyrekcja to toleruje.

Uznano, że red. E. Brylowi trudno będzie dowieść że Pogotowie jest „wrzodem", natomiast Pogotowie bez trudności dowiedzie, że tam nie ma pijaństwa i dyrekcja nie toleruje pojedynczych przypadków spożywania alkoholu.

Wśród zarzutów jest też takie zdanie:

„sformułowanie: »pijaństwo w czasie godzin pracy pogotowia« sugeruje, że wszyscy lub większość pracowników oddawało się nałogowi upijania się. Owszem, były sporadyczne przypadki, ale zdarzyć się to może w każdej instytucji i środowisku i podanie takiego faktu przez red. Bryla jest zniesławieniem".

Szczególna interpretacja. Zdanie **„pijaństwo w czasie godzin pracy pogotowia"** nie sugeruje bynajmniej, że wszyscy, czy większość, za to sugeruje zadziwiającą wrażliwość nożyc na uderzenie w stół. Po drugie — **nie sugeruje nałogu**, bo nałogowy alkoholik to człowiek ciężko chory, niezdolny do wykonywania żadnej pracy, nawet polegającej na ogoleniu się. Co się zaś tyczy argumentu, że w każdej instytucji i środowisku — czyż nie jest to prymitywne przerzucenie ciężaru odpowiedzialności na „warunki obiektywne". No, bo skoro wszędzie może się zdarzyć, to nie ma co podnosić larum, że zdarzyło się w Pogotowiu. Jakim prawem, ja się pytam, usprawiedliwieniem dla złodzieja ma być to, że inni też kradną?

Swoista logika i duża pewność siebie pozwalająca na niedbałe marnotrawstwo amunicji, pojawia się także w zdaniu, iż **„Ciężki zarzut, jakoby miały miejsce przypadki odmowy udzielenia pomocy, jest nieprawdziwy i absurdalny, bo... przecież całodobowa praca pogotowia polega tylko i wyłącznie na udzielaniu pomocy"**. Pozostawiam bez komentarza. Jeszcze tylko dwa aspekty. Po pierwsze — zarzucenie red. Edwardowi Brylowi wprost, iż nie tylko nie działał w interesie dobra społecznego, ale wręcz działał w zamiarze interwencji w sprawie dr A. Targaszewskiej, (to jest naganne? — JW) interwencji uzgodnionej z red. **Tomaszem Sienkiewiczem** z „PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO" mającej na celu rozpętanie kampanii przeciw WSPR, pogoń za niezdrową sensacją oraz osobistą wrogość wobec dyr. J. Okińczyca. Mocne to oskarżenie poparte zostało przygważdżającym argumentem, że **„red. Bryl nie posiada dostatecznej wiedzy i kwalifikacji, by móc autorytatywnie wypowiadać się na temat systemu organizacyjnego WSPR, podobnie, jak nie ma oskarżony żadnej legitymacji do oceny umiejętności lekarza i położnej, gdyż opinie taką mogą wydać tylko odpowiednie władze służby zdrowia"**. Otóż nieprawda! Jest taka legitymacja — legitymacja dziennikarska, a przede wszystkim fakt, iż to my obywatele jesteśmy nosem, któremu bez dyskusji, sprawnie i uprzejmie, ma służyć ta tabakiera. S ł u ż y ć! A to znaczy, że istnieje ogromny obszar kwalifikacji zawodowych personelu medycznego i pomocniczego, w którego krytykowaniu nie jest konieczny dyplom Akademii Medycznej. To się uczenie nazywa deontologia, a po naszemu — maniery, grzeczność, uprzejmość, takt, delikatność, słowem kwalifikacje moralne i etyczne. Nie mówiąc już o absurdalności pretensji primadonny, by jej występy opiniowali wyłącznie tancerze, nie zaś kulawi miłośnicy baletu z widowni. Wykonywanie usługowej funkcji publicznej ma w koszty zawodowe wliczoną publiczną ocenę pracy i pracownika.

Tu pragnę wrócić do owej „postawy nadgodnościowej" tak znamiennej dla coraz liczniejszych jednostek, grup i środowisk. Rzecz charakterystyczna, że krytyce zarzuca się, iż niekonstruktywna, że godzi w dobre imię i podważa autorytet. I jakoś żadnemu obrażonemu nie przemknie przez myśl, że jeśli autorytet rzetelny, oparty na solidnych przesłankach, to krytyka go tak łatwo nie zburzy i nie poderwie... prawdziwa cnota krytyk się nie boi, za to dziurawa cnota wrzeszczy wniebogłosy, że ją zdeflorowano. Dobre imię zaś — by je utracić — trzeba mieć. Na jakiejż to podstawie Pogotowie wnioskowało że cieszy się społecznym zaufaniem i szacunkiem? Bo tak się składa, że przygotowania do procesu pozwoliły red. Edwardowi Brylowi na otrzymanie całkiem niespodziewanego sondażu opinii publicznej na temat pracy Pogotowia Ratunkowego. Blisko stu Czytelników zgłosiło chęć świadczenia w sądzie na korzyść oskarżonego, podając konkretne daty, fakty, nazwiska. Pewnie, sto osób, to żadna reprezentacja dla aglomeracji łódzkiej, ale też uprawnia do pytania, na jakich to próbkach reprezentacyjnych badano solidność przeświadczenia o dobrym imieniu i posiadanym autorytecie? To niestety, nie są prezenty otrzymywane za darmo, trzeba się napocić nim się je dostanie, a co gorsza — można je stracić. Autorytet nie jest wielkością constans. Nie znaczy to bynajmniej, jakobym twierdziła iż w Pogotowiu, w ogóle w służbie zdrowia nie pracują ludzie uczciwi, sumienni i wykwalifikowani. Uważam jedynie, że jeśli pada krytyczna opinia o danej instytucji, że na przykład piją i się obijają — to po uczciwych ludziach spływa to jak po gęsi — ich to w ogóle nie dotyczy. Nieuczciwi za to podnoszą harmider. Jeśli natomiast prawdą są przypadki pijaństwa, czy innego lekceważenia pracy, to nie istnieje argument „sporadycznie", cóż to za tłumaczenie? Ma nie być wcale. A jeśli jednak jest? Jakże uczciwi mogą mieć prawo do obrażania się, jeśli nie reagowali, nie przeciwdziałali, nie złapali za rękę, nie naskarżyli pijanemu czy kradnącemu współpracownikowi po pysku za to, że naraża dobre imię firmy? Gdzie byli uczciwi? Czekali aż dyrekcja wydali męża społecznego z pracy?

Może zbyt emocjonalnie oceniam sprawę, ale bo też trudno się oprzeć refleksji, że mając poczucie głębokiej obrazy, poopartej tak żelaznymi dowodami, tak ciężkimi oskarżeniami przeciw dziennikarzowi — tak łatwo zrezygnowano z dochodzenia swych racji. Zawarta ugoda bowiem — choć nie jestem zwolenniczką spektakularnych procesów reklamujących gazetę — jest zastanawiającym przypadkiem nawzdęcia się obrazą i... cichego pęknięcia. To i dobrze, bo red. Edward Bryl z pewnością sumiennie dopełnił warunków zawartej ugody, a być może obrażeni pracownicy Pogotowia zrozumieją wreszcie, że prawo do obrażania się za krytykę mają wyłącznie nieskalani. Wszyscy inni zaś, my wszyscy niedoskonali, mamy prawo wyciągania wniosków, a nie ciągania krytykującego „za konsekwencje".

■

Polemiki • Listy • Opinie

„MYŚLIWCY NOCNI"

Proszę uprzejmie o zamieszczenie w następnym numerze tygodnika „Odgłosy" sprostowania błędu, jaki wkradł się w druku drugiej części mojego artykułu: „Myśliwcy nocni", publikowanego w nr 16(1412) „Odgłosów" z dnia 20 kwietnia 1985 r.

W szóstym akapicie tego artykułu, zaczynającym się od zdania: „16 maja trzy załogi dywizjonu..." trzydziesty piąty wiersz wydrukowano: „...przejmując służbę nad nieprzyjacielskim **samolotem** przez następne czterdzieści pięć minut." A powinno być, zgodnie z moim maszynopisem: „...przejmując służbę nad nieprzyjacielskim **lotniskiem** przez następne czterdzieści pięć minut." Błąd ten ma zasadnicze znaczenie w treści tego zdania.

kreślę się z szacunkiem

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

ZUS WYJAŚNIA

W związku z notatką „Felieton pesymistyczny", jaka ukazała się 9. 02. br. na łamach „Odgłosów" — Zakład Ubezpieczeń Społecznych, Biuro Rent Zagranicznych po dokładnym zbadaniu sprawy uprzejmie komunikuje, co następuje:

Jak wynika z poczynionych ustaleń notatka powyższa dotyczyła rencistki naszego biura — ob. Ireny P. zam. w Łodzi. Wymieniona pobierała emeryturę przyznaną jej przez Oddział ZUS w Łodzi z tytułu pracy w Polsce. Ze względu na fakt zatrudnienia również i na terenie Francji — w latach 1943—1945 — Biuro czyniło starania o przyznanie ob. P. renty francuskiej. Francuska instytucja rentowa przyznała jej rentę starczą od dnia 1.10. 1982 r.

Zgodnie z obowiązującymi w Polsce przepisami osoby uprawnione do polskich i zagranicznych świadczeń rentowych nie mogą pobierać polskich świadczeń w pełnej wysokości (vide rozporządzenie ministra pracy, płac i spraw socjalnych z dnia 22.02. 1984 roku Dz. U. nr 13 poz. 57). W myśl tych przepisów — jak również postanowień konwencji polsko-francuskiej o zabezpieczeniu społecznym z dnia 9.06. 1948 r. (Dz. U. nr 24 poz. 158 z 1949 r.) — polskie świadczenia emerytalne osób, które są uprawnione również do renty francuskiej oblicza się w wysokości proporcjonalnej do okresów zatrudnienia w Polsce (w przypadku wymienionej — 361 miesięcy) w stosunku do łącznego zatrudnienia w Polsce i we Francji (= 439 miesięcy). Obliczone w ten sposób świadczenia polskie ob. P. wyniosłyby 7.595 zł, a wraz ze świadczeniami francuskimi — 8.678 zł, a więc w sumie mniej niż poprzednio przyznane pełne świadczenia polskie. Z tego też powodu biuro wypłaca dopełnienie do świadczeń — z funduszy polskich (wynoszące zł 557). Aktualnie pobierane świadczenia francuskie + polskie + dopełnienie wynoszą łącznie zł 9235.

Biuro przekazało zainteresowanej należność z instytucji francuskiej za okres od 1.10. 1982 do 28.02. 1985 r. w kwocie zł 30.171. Ze względu na fakt, że w powyższym okresie pobierała ona pełną emeryturę polską zamiast częściowej — powstała nadpłata w kwocie zł 29.392.

Nadpłatę powyższą Biuro potrąca w ratach z bieżących świadczeń polskich.

Biuro pragnie podkreślić, że decyzje wydane w sprawie zainteresowanej są w pełni zgodne z obowiązującymi przepisami.

mgr ANDRZEJ KROŚNICKI
(Naczelnik Wydziału ZUS)

„PREZYDENCIE DAŁEŚ PRZYKŁAD NAM JAK ŻYĆ"

Przerażający ryk syren ogłaszający alarm przeciwlotniczy. Reflektory świateł. Dwie małe dziewczynki w szkolnych fartuszkach, z białymi kokardami na kitkach i z tornistrami na plecach padają na ziemię. Tak zaczął się wrzesień 1939 roku w Warszawie i tak właśnie rozpoczyna się montaż słowno-muzyczny przygotowany w całości przez samych nauczycieli i uczniów Szkoły Podstawowej nr 80 w Łodzi.

Pisałam kiedyś w „Odgłosach" o historii tej szkoły, sięgającej korzeniami roku 1920. I pisałem też o 20-letnich staraniach pedagogów, a przede wszystkim Bronisławy Forembskiej, zmierzających do uzyskania zgody władz oświatowych na postać Stefana Starzyńskiego, jako patrona szkoły. I w końcu nadszedł dzień 29 września 1984 roku, kiedy wśród zgromadzonych licznie gości, pedagogów i uczniów „80" rozlegają się tak długo oczekiwane słowa:

„Na podstawie p. 11 załącznika do zarządzenia ministra oświaty i wychowania z dn. 30 sierpnia 1980 roku w sprawie nadania szkołom i placówkom oświatowo-wychowawczym imienia patrona, sztandaru i godła szkolnego Kurator Oświaty i Wychowania w Łodzi nadaje z dniem 29 września 1984 roku Szkole Podstawowej nr 80 w Łodzi imię Stefana Starzyńskiego (sztandaru). Kurator Oświaty i Wychowania mgr inż. Zygmunt Mikołajewicz".

Wzruszenie ogarnęło wszystkich, przede wszystkim żyjącą rodzinę prezydenta: bratową Halinę Starzyńską i bratanka dr Wojciecha Starzyńskiego. Obecny był przewodniczący Dzielnicowej Rady Narodowej, I sekretarz KD PZPR Łódź-Górna — Witold Sidewicz, naczelnik dzielnicy Łódź-Górna — Józef Rudnicki. Akt nadania imienia i sztandaru wręczył dyrektorowi szkoły — Mieczysławowi Markiewiczowi wicekurator oświaty i wychowania — Roch Kopacki. Na honorowym miejscu siedziała oczywiście wieloletnia nauczycielka „80" pani Bronisława Forembska. Były też jej koleżanki, byłe nauczycielki tej szkoły. Przybyły też delegacje szkół i szczepu harcerskiego z Warszawy i Nasielska, noszących imię bohaterskiego prezydenta Warszawy. Nie zabrakło oczywiście przedstawicieli zakładów opiekuńczych, Komitetu Osiedlowego, LWP i ZBoWiD, dzięki którym szkoła otrzymała fundowany sztandar.

Wszyscy obecni mieli możliwość obejrzenia i wysłuchania montażu słowno-muzycznego, o którym wspomniałam na początku. Następnie odsłonięto uroczyście: tablicę pamiątkową i popiersie Stefana Starzyńskiego wykonane przez życzliwą załogę Zakładu Hydrauliki Siłowej w Łodzi.

Obecnie w holu szkoły każdego wchodzącego wita popiersie patrona, pod którym zawsze stoją świeże kwiaty. Życie toczy się normalnie. Uczniowie uczęszczają na lekcje. Pedagodzy je prowadzą. I tylko w Księdze Pamiątkowej Izby Pamięci Narodowej można znaleźć trwały ślad tamtych wydarzeń. Jest tam wpis dr W. Starzyńskiego:

„Cieszę się bardzo, że pamięć o Stefanie Starzyńskim jest ciągle żywa w Łodzi, w mieście, które zawsze, a szczególnie w ostatnich czasach dało przykład patriotyzmu i robotniczej solidarności".

Jest też wpis Mariana Marka Drozdowskiego autora monografii o Stefanie Starzyńskim:

„Jestem serdecznie wzruszony przyjęciem przez młodzież i nauczycieli informacji o prezydencie Stefanie Starzyńskim. Myślę, że ten patron będzie inspirował szkołę do nowych dokonań ku chwale naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej".

EWA ŁACHOWSKA

■

Co ludzie piszą na murach?

Treść i forma napisów są najczęściej prymitywne. Odnoszą się do dosadnego wyrażania opinii o drugim człowieku, komentarza o ukochanej drużynie piłkarskiej i znienawidzonym przeciwniku, wreszcie do wyznania uczucia. Forma językowa dorasta do treści i też nie wykracza poza określenia anatomiczne. Oprócz wandalizmu i potrzeby ekspresji, są świadectwem ograniczonej i zubożonej fantazji. Pojawiają się i inne, ale natychmiast straszą białym albo czerwonymi plamami grubo nałożonej farby. Wreszcie z uporem wytrawnego turysty, ryta, wydrapywana, namazana informacja — *„Tu był..."*. Występuje w ujednoliconej formie od Pacanowa po Kasprowy Wierch.

Edward Redliński pozbierał wpisy do książek życzeń i zażaleń, komentarze z ksiąg pamiątkowych wystawionych przy wejściach na wystawy sztuki i wydał je w formie książki. Okazja do zabawy, ale i refleksji nad stanem ducha i umysłu rodaków.

Jan Stanisław Bystroń w książce *„Tematy, które mi odradzano. Pisma etnograficzne rozproszone"* poświęcił jeden z rozdziałów napisom. Napisy na zewnątrz i wewnątrz domów, w karczmach, na pomnikach figurach, na cmentarzach, na książkach, łyżkach, drzewach. Od *„Pokój temu domowi"* poprzez *„Kto się na bicyklu kiwa, niech tu u mnie pije piwa"* po:

„zaświadczy pomnik światu
czego Polak życzył
Car zliczył swych wiernych i siedmiu naliczył".

pracowicie wyskrobane na pomniku dla wiernych carowi Polaków (1830 roku).

Przedstawiamy napisy zaczerpnięte z wydawanych w Anglii książeczek: *„Graffiti O'k"*, *„Graffiti 2"* i *„Graffiti 3"*. Zebrał je i poza wstępem bez komentarza przedstawił angielski językoznawca Nigel Rees.

Prawdę powiedziawszy „graffiti" są brzydactwem na i rodzajem wandalizmu. Celem Nigela Reesa jest pokazanie określonego rodzaju graffiti — takie które są nieszkodliwą rozrywką i to za darmo. W większości są to raczej humorystyczne uwagi niż polityczne wycieczki. Unika sloganów politycznych, obscenicznych wyrażeń z uporem maniaka koncentrujących się wokół seksu, a także zbyt płaskich czy zbyt osobistych dowcipów. Autor zastrzega się, że nie należy sądzić, że on sam tworzy graffiti. Twierdzi, że nigdy w życiu niczego nie pisał na murach.

Co to właściwie jest „graffiti". To słowo w liczbie mnogiej znaczące w języku włoskim gryzmoły, a w dosłownym tłumaczeniu *„wydrapywanie liter"*.

Oczywiście ludzie protestują przeciwko „graffiti", tak jak protestują przeciwko książkom Nigela Reesa, twierdząc, że popularyzują one wandalizm. Jeden z czytelników pisze:

„...graffiti to tylko jeden z rodzajów wandalizmu, które powinno być eliminowane i trzebione z naszego społeczeństwa. Proszę, aby pan nie cytował żadnego graffiti bez względu na to jak dowcipne i zabawne może się wydawać. Cytowanie tego będzie machetą dla idiotów do bazgrania po ścianach".

Nigel Rees uważa, że bez względu na karę ludzie będą mazali po ścianach. A kary są bardzo surowe. W Anglii, co pewien czas odzywają się głosy, aby położyć kres gryzmoleniu po ścianach. Jednakże próby, począwszy od debat parlamentarnych i propozycji aby sprzedaż farby w aerozolach była zabroniona dla młodzieży poniżej 18 lat, aż po akcje towarzystwa antyrasistowskiego, którego członkowie uganiali się po Anglii z gąbkami w rękach i ścierali wszystkie napisy godzące w ich przekonania, spełzły na niczym. W niektórych krajach pisanie na murze jest surowo zabronione. Szczególnie poważnym przestępstwem jest w Singapurze, gdzie na autora napisu może być nałożona grzywna do 2000 dolarów albo kara do trzech lat więzienia.

Najdłuższy napis na świecie wyszedł spod ręki Chińczyka. No i nie ma się czemu dziwić. Przecież mają najdłuższy na świecie mur. Przewodniczący Mao, będąc 22-letnim studentem, wyskrobał na ścianie męskiej toalety szkoły w Changsa napis, który składał się z 4 tysięcy znaków. Zaatakował w nim swojego nauczyciela niejakiego pana Chang-Kana za jego wywrotowe przekonania. Podobno nauczyciel wpadł w panikę, bowiem krytykę Mao podpisało jeszcze ponad 1000 postępowych studentów. Działo się to w 1915 roku.

Napisy do książek Reesa pochodzą z niemalże całego świata. Większość graffiti została zebrana w Wielkiej Brytanii. Spora część nadesłano mu z USA, Kanady i z Australii. Są napisy z Paryża, RFN, Nowej Zelandii, Rzymu, Aten i ze Związku Radzieckiego. Większość graffiti została zebrana w męskich i żeńskich toaletach uniwersytetów Wielkiej Brytanii oraz z odrapanych ścian Londynu i Brighton.

Graffiti tworzą specyficzny rodzaj subkultury. Próbując dociec, kto może być ich autorem, uważa że są to nieśmiali opowiadacze dowcipów, którym brakuje odwagi by dowcipy opowiadać w towarzystwie. Najlepsze graffiti zawierają rodzaj humoru, o jaki trudno w opowiadanych dowcipach. Są często formą protestu lub frustracji. Buntem na zadecie oficjalnych sloganów, zarozumialstwa ogłoszeń reklamowych, a także refleksjami nad małymi i wielkimi sprawami ludzkiej egzystencji. W graffiti często rozbrzmiewa nuta pogodzenia się ze zjawiskami niemożliwymi do zmiany.

Na koniec kilka słów o sposobie prezentacji graffiti. Często poniżej napisu znajduje się nazwa miejsca skąd pochodzi, czasami także data. Niektóre graffiti są komentarzami do plakatów reklamowych, sloganów. W takich przypadkach oddzielnie podajemy treść napisu na plakacie i dodajemy napis jako komentarz.

Napisy pogrupowaliśmy pod względem zbliżonej treści. Oddzieliliśmy je numerując poszczególne grupy.

1.

Chciałbym być tym kim byłem wtedy, gdy chciałem być tym kim jestem.
Nie byłbym paranoikiem, gdyby ludzie tak się mnie nie czepiali.
No dobra. Wyleczyłem się ze schizofrenii, ale w takim razie gdzie jestem teraz gdy siebie potrzebuję?
Kiedyś byłem zarozumiały, ale teraz jestem absolutnie doskonały.
Nigdy nie mogłem niczego dokończyć, ale teraz...
Samobójstwo jest najwyższą formą samokrytycyzmu.
Jestem wampirem. Proszę umyj szyję.
(W męskiej toalecie w Manchesterze)
Czy jesteś schizofrenikiem? Jeżeli tak, to jest nas czworo.
Skąd będę wiedział czy jestem oświecony?
Popieraj zdrowie psychiczne albo cię zabiję (Detroit).
Gdy urosnę zagryzmolę cały sufit. (Napis u dołu drzwi męskiej toalety na stacji metra Oxford Circus — Londyn).
Nie mam uprzedzeń. Nienawidzę wszystkich.

2.

Myszka Miki jest szczurem.
Czy Ryszard Lwie Serce był pierwszym człowiekiem z przeszczepionym sercem? (Poniżej ktoś dopisał: **Ryszard Lwie Serce żyje, ma się dobrze i prosi doktora Barnarda o zwrot pieniędzy).**
Edypie wróć do domu. Wszystko przebaczone — mama.
Po moim trupie — tata.
Wracam za minutę — Godot.
Beethoven był tak głuchy, że myślał, że jest malarzem. (W superekspresie Newcastle — Sheffield).
Świat jest płaski — klasa z 1491 roku.
Wszystkie dziewczyny na naszym świecie są płaskie — klasa z 1973 r. (Princeton)
Hrabio Drakula — twoja „Krwawa Mary" jest gotowa.
ELVIS ŻYJE! (na plakacie). **A oni biedaka pochowali.** (Stacja Metra Halborn — Londyn).
Einstein ma względną rację — przynajmniej w teorii.
Edyp był pierwszym człowiekiem, który położył kres wojnie pokoleń (New College — Oxford).

3.

Uwolnić Walię!
Kto? Po co?
Od Walijczyków?
Teksańczycy są żywym dowodem na to, że Indianie utrzymywali stosunki seksualne z bizonami.
Uwaga kierowca jest Indianinem. Porozumiewać się tylko znakami dymnymi. (Na tyle brudnej ciężarówki).
Irlandczycy są bękartami! (Ktoś dopisał): **Tak. Mają ojców Anglików.**
Eskimosi to mali ludzie z zamrażalnika. (Londyn)

„Święty Jerzy górą!"

4.

Bierz rzeczy takimi jakie są. Głosuj za partią sado-masochistyczną.
Północna Irlandia ma problem na każde rozwiązanie.
Algeria francuska!
Algeria algierska!
Algeria francuska!
Algeria algierska!
A komentarz: **Zdecydujcie się wreszcie na coś cholerne żaboje jady.** (Paryż 1960).
Głosuj na liberałów: Albo zastrzelimy twojego psa. (Londyn 1978)

5.

Napis na murze cmentarnym w małej wsi angielskiej: **Trawa jest zawsze bardziej zielona na grobie faceta obok.**
Bóg nie żyje. Nietsche.
Nietsche nie żyje. Bóg.
GDZIE BĘDZIESZ W DNIU SĄDU OSTATECZNEGO? (Na plakacie przed kościołem w południowym Londynie). Ktoś dopisał: **Ciągle tutaj, w tym samym miejscu czekając na ten cholerny autobus linii 95.**
Śmierć jest sposobem, jakim natura daje ci znać, abyś zmniejszył tempo życia.
Czy istnieją jakiekolwiek formy inteligentnego życia na ziemi? Ktoś dopisał: **Nie. Ja jestem tu tylko przelotem**
Inteligencja wojskowa? — to zaprzeczenie samo w sobie.
Reklama londyńskiego metra. Plakat przedstawia króla Henryka VIII kupującego bilet i mówiącego: Poproszę bilet do zamku Tower i z powrotnym. (Ktoś dopisał: **A dla żony tylko w jedną stronę).**
Nie ma ani dobra ani zła. Istnieje tylko prawda. Komentarz: **Czy ostatnio wyglądałeś przez okno?** (Nowy Jork).
Napis przed szkołą ostrzega kierowców: Jedź ostrożnie. Nie przejedź dziecka! Dopisano: **Poczekaj na nauczyciela.**
Coito ergo sum.
Plakat wzywający kierowców do ostrożnej jazdy: Zatrzymaj śmierć z dala od drogi! Dopisano: **Jedź po chodniku.**
Eunuchy łączcie się! — Nie macie nic do stracenia!
UNIKAJ GORĄCZKI SESJI EGZAMINACYJNEJ (Na plakacie). **Już teraz oblewaj egzaminy.**
CODZIENNIE 25 SUPEREKSPRESÓW OPUSZCZA SOUTHAMPTON. (Plakat Brytyjskich kolei) **ale wraca — tylko 7.**
Życie — to choroba przenoszona przez współżycie seksualne.
DBAJ O CZYSTOŚĆ LONDYNU (Na plakacie). — **Jedz gołębia dziennie.**
Małżeństwo to wspaniała instytucja, ale kto chciałby żyć w instytucji
ZAPROJEKTOWANY PRZEZ KOMPUTER.
WYCISZONY PRZEZ LASER.
BUDOWANY PRZEZ ROBOTA.
FIAT STRADA. (Na plakacie).
Prowadzony przez idiotę.

6.

Na tabliczce z napisem „Nieczynne" umieszczonej na automacie ze znaczkami pocztowymi ktoś napisał: **Czy ktoś lub coś tutaj w ogóle pracuje?** Odpowiedź: **Tak. Ja. Rozwieszam tabliczki „Nieczynne"**
Pamiętaj! Reinkarnacja gwarantuje powrót! Po moim trupie.
Mówili: uśmiechnij się, życie mogłoby być gorsze. Uśmiechnąłem się. I było.
NIE PALIĆ W ŁÓŻKU. (Baza Sił Powietrznych USA). Dopisano: **Nie spać w popielniczce.**
Znaleziono okulary. Dopisano: **Proszę pisać większymi literami. Zgubiłem okulary.**
Jak to jest, że jedyni ludzie, którzy wiedzą jak rządzić naszym krajem albo prowadzą taksówki, albo strzygą włosy. (Vancouver — Kanada).
Nie narzekaj na piwo w tym pubie. I ty będziesz kiedyś słaby i stary.
Zwalczaj inflację — jedz bogatych.
PRZECHODNIU STAŃ NA CHWILĘ
TYŚ TYM KIM BYŁEM JA
JA TYM KIM BĘDZIESZ TY
GOTÓJ SIĘ IŚĆ W ME ŚLADY
Napis (na nagrobku na cmentarzu Anworth — Anglia). Dopisek: **W twe ślady iść ja mogę**
lecz żebym tylko wiedział
którą wybrałeś drogę.

7.

CIAŁA KOBIET NALEŻĄ DO NICH. (Napis na plakatach Women Lib.). Dopisek: **Zgadzam się, ale czyż nie jest miło podzielić się z kimś.**
Napis na automacie sprzedającym prezerwatywy: **Mój ojciec twierdzi, że one nie działają.**
Instrukcja obsługi automatu sprzedającego prezerwatywy: Wrzuć 50 penny, poczekaj aż moneta wpadnie do automatu, pociągnij za rączkę i popchnij ją mocno tak aby znalazła się na swoim miejscu. Komentarz: **Jeżeli na tym ma polegać seks, to jest to potwornie nudne.**
JEŻELI TEN AUTOMAT NIE DZIAŁA — SKONTAKTUJ SIĘ Z WŁAŚCICIELEM PUBU. Dopisek: **A jeżeli działa — to z barmanką.**
Inny napis na automacie sprzedającym prezerwatywy: **W przypadku reklamacji załączyć dziecko.**

8.

Nudyści mają ubrania zapinane tylko na jeden guziczek. (Sheffield)
Dziewczyny! Nie doprowadzajcie mężczyzn do alienacji. Oddajcie się rewolucji. (Paryż 1968)
Seks zabija — więc umieraj szczęśliwy.
GDY NADEJDZIE CZAS REWOLUCJI WSZYSCY BĘDZIEMY JEŻDZILI ROLLS—ROYCESAMI. Dopiski:
A co będzie jak nie będziemy chcieli jeździć R.-R.?
Jak przyjdzie rewolucja nie będziesz miał wyboru. (Hamostead — Londyn)
Plakat reklamowy brytyjskich linii lotniczych:
Śniadanie w Londynie.
Obiad w Nowym Jorku.
Ktoś dopisał: **Bagaże na Bermudach.**
Na drzwiach wielkiej ciężarówki: **Uprawiajcie miłość — nie wojnę. Szczegóły u kierowcy.**
Oszczędzaj energię — miłość uprawiaj wolniej.
Ktoś napisał też: **„Dajcie nam nową ścianę" — ta już się skończyła".**

Opracował:
ANDRZEJ BETULSKI

(19)

„W imieniu Boga?" – tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Pięciu spośród siedmiu biskupów holenderskich wyraziło zamiar zajmowania umiarkowanego stanowiska w sprawach przerywania ciąży, homoseksualizmu i celibatu księży. Do tych pięciu należał kardynał Willebrands, człowiek, który podczas konklawe znalazł słowa zachęty dla Lucianiego. Naprzeciw tej piątki w jej własnym kraju stała dwójka niezwykle konserwatywnych biskupów, Gijsens z Roermond i Simonis z Rotterdamu. Na listopad zaplanowano w Holandii konferencję, podczas której według wszelkiego prawdopodobieństwa wybuchłyby sprzeczności wewnątrz Kościoła holenderskiego i stałyby się dostrzegalne dla opinii publicznej. Istniał jeszcze inny problem; zawarty był w szczegółowym raporcie, przekazanym przez Holendrów zmarłemu papieżowi.

Jezuici robili nagonkę na znanego w świecie teologa dominikańskiego, profesora Edwarda Schillebeeckxa, którego idee były w ich oczach radykalne. Konserwatyści chcieli, by je potępiono, podobnie jak idee teologa szwajcarskiego, Hansa Kuenga. Papież Paweł VI zniósł indeks książek obłożonych klątwą papieską i zakazanych. Jego śmierć pozostawiła oczywiście nierozwiązany problem, jak Kościół rzymsko-katolicki powinien trzymać na wodzy swoich własnych myślicieli, autorów nowych idei. W przeszłości papież, by posłużyć się określeniem Kuenga, krytykował „teologów strzelających z tyłu", ale tacy ludzie, jak Kueng i Schillebeeckx nie byli nimi; to, na co kładli nacisk, było głęboko odczuwaną tęsknotą za powrotem Kościoła do jego źródeł, a więc czymś, co Luciani mógł zaaprobować całym sercem. Tuż przed dziesiątą papież odłożył raport na bok i zajął się bardziej miłą stroną swego urzędu; oczekiwało go kilka audiencji.

Jako pierwszą przyjął grupę, w której znajdował się również człowiek powołany przez Lucianiego na przewodniczącego Cor Unum; kardynał Bernard Gantin. Papież z zadowoleniem lustrował silną, młodzieńczą sylwetkę Gantina, który w jego oczach reprezentował przyszłość Kościoła. W czasie rozmowy Luciani powiedział: „Światu możemy zaoferować tylko samego Jezusa Chrystusa. Bez niego nie mielibyśmy żadnej sprawy, żadnego celu. Nikt nie wysłuchiwałby nas".

Inną przyjętą tego ranka na audiencji osobistością był Henri de Riedmatten. Kiedy wkrótce po konklawe rozeszła się w Rzymie informacja, że przed ogłoszeniem Humanae Vitae Luciani napisał do papieża Pawła VI i pilnie poprosił go, by nie wprowadzał zakazu sztucznego zapobiegania ciąży, to Riedmatten właśnie odrzucił te pogłoski jako „zmyślone". Podczas obecnej rozmowy z papieżem chodziło wprawdzie o jego pracę, jako sekretarza Cor Unum, ale Luciani dał mu wyraźnie do zrozumienia, że w przyszłości nie życzy sobie tego rodzaju „dementi".

— Słyszałem, że mój raport na temat kontroli urodzeń uszedł waszej uwadze?

Riedmatten wymruczał coś o możliwej pomyłce.

— Ojcze Riedmatten, powinieneś mieć się na baczności i nie zabierać publicznie głosu, zanim nie zostaną usunięte wszystkie możliwości popełnienia błędu. Gdybyś potrzebował egzemplarza mojego raportu, to jestem pewien, że można go jeszcze dla ciebie znaleźć.

Riedmatten podziękował w sposób bardzo uniżony. Potem przezornie milcząc, przysłuchiwał się, jak Luciani rozważał z Gantinem problemy Libanu (...)

Po przedpołudniowych audiencjach Luciani przeprowadził rozmowę z kardynałem Baggio. Podjął wiele decyzji, z których jednak tylko dwie chciał przekazać kardynałowi.

Pierwsza dotyczyła sprawy Cody'ego w Chicago. Po rozważeniu wszystkich punktów widzenia Luciani doszedł do wniosku, że musi kardynała zmienić. Powinno to się odbyć zgodnie ze starym, wypróbowanym sposobem watykańskim, bez wywoływania publicznej sensacji — na co miał on przynajmniej nadzieję. Oświadczył kardynałowi Baggio, że Cody uzyska możliwość odejścia ze swego urzędu z przyczyn zdrowotnych. Krytycznych głosów prasy na ten temat nie należało się właściwie spodziewać, ponieważ ze zdrowiem kardynała Cody'ego rzeczywiście nie było najlepiej. Gdyby Cody odmawiał ustąpienia, papież dla uniknięcia sensacji z przymusowym zwolnieniem z urzędu chciał postawić u boku kardynała koadiutora, duchownego w randze biskupa, który przejąłby wszystkie praktyczne uprawnienia kierownicze w diecezji chicagowskiej. Luciani był pewien, że Cody postawiony przed takim wyborem zdecydowałby się na honorowe wycofanie się. Gdyby jednak uporczywie chciał pozostać, wówczas sprawa powinna przybrać swój bieg. Zwolniono by go z wszelkiej odpowiedzialności. Nie byłoby żadnych próśb i żadnego targowania się. Wyznaczono by koadiutora.

Baggio był bardzo zadowolony. Nareszcie sytuacja byłaby oczyszczona. Nie był jednak wcale zadowolony z drugiej decyzji podjętej przez Lucianiego. Wenecja była bez patriarchy; papież zaproponował ten urząd kardynałowi Baggio.

Wielu ludzi Kościoła czułoby się uhonorowanymi taką propozycją; inaczej było w przypadku Baggio, dla którego była ona nieprzyjemna. Miał inne plany krótko- i długofalowe. Krótkofalowe: odegranie dominującej roli na konferencji w Pueblo w Meksyku — był przecież przekonany o tym, że przyszłość Kościoła leży w Trzecim Świecie. Długofalowo Baggio widział swoje miejsce w Rzymie, w centrum władzy kościelnej. W Wenecji stałby na uboczu, nie miałby już przede wszystkim żadnego wpływu na formowanie przyszłej polityki Kościoła. Jego odmowa przyjęcia urzędu w Wenecji zdziwiła Lucianiego. Obowiązek posłuszeństwa wobec Ojca Świętego wszczepiono Lucianiemu od samego początku w seminarium duchownym w Feltre i posłuszeństwo, które w siebie wpoił, było zawsze bezwarunkowe. W miarę upływu lat i dziesięcioleci swojego życia nauczył się stawiania pewnych rzeczy pod znakiem zapytania, zwłaszcza tego, co dotyczyło Watykanu Sp. z o.o. i encykliki Humanae Vitae; otwarta opozycja jednak, nawet w tak ważnych sprawach, byłaby dla Lucianiego nie do pomyślenia. Ileż na prośbę papieża Pawła VI napisał artykułów, w których bronił polityki papieskiej? Jakże często działy się z nim podobne rzeczy jak wówczas, gdy napisał taki artykuł na temat rozwodów i przekazał go swojemu sekretarzowi, ojcu Mario Senigaglii z udręczonymi słowami: „Jestem pewien, że przyprawi mnie to o spory ból głowy, kiedy będzie opublikowane; ale prosił mnie o to papież". Odrzucenie osobistego polecenia papieża w taki szorstki sposób, jak uczynił to teraz Baggio, przekraczało prawie wyobraźnię Lucianiego. Najwyraźniej miary wartości obu tych ludzi w najmniejszym nawet stopniu nie pokrywały się. Luciani kierował się tym, co było najlepsze dla Kościoła rzymskokatolickiego. Baggio kierował się tym, co było najlepsze dla Baggio.

Papieska decyzja przeniesienia Baggio z Rzymu do Wenecji miała kilka przyczyn. Jedna z ważniejszych miała związek z listą otrzymaną przez Lucianiego: mason Baggio, imię w loży — Seba, numer w loży — 85/2640, przyjęty 14 sierpnia 1957 r.

W związku z ówczesną rozmową z kardynałem Felicim Luciani polecił przeprowadzić dodatkowe badania. Nie dawała mu spokoju uwaga Feliciego: „Niektórzy w liście są masonami, inni nie". Problem polegał na tym, jak można oddzielić tych prawdziwych od fałszywych? W kilku wypadkach dodatkowe badania przyczyniły się do stworzenia większej jasności.

Według relacji moich zaufanych ludzi rozmowa między Baggio a Lucianim była „gwałtownym sporem", przy czym gwałtowność i wściekłość wykazywała tylko Jego Eminencja. Ojciec święty zachował spokój.

Spokojny lub nie, Luciani zasiadł ze swoim nierozwiązanym problemem do obiadu. Wenecja ciągle jeszcze nie miała patriarchy; Baggio upierał się przy tym, że jego miejsce jest w Rzymie Luciani pogrążony w myślach zaczął jeść zupę.

Ciepłe babie lato, które przez cały wrzesień dało Rzymowi piękną, słoneczną pogodę, przyniosło w ten czwartek powiew chłodu. Po krótkim odpoczynku poobiednim Luciani postanowił w tym dniu zaaplikować sobie swoją porcję ruchu wewnątrz pałacu. Przez pewien czas wędrował korytarzami Pałacu Apostolskiego. O wpół do czwartej powrócił do swojego pokoju do pracy i przeprowadził kilka rozmów telefonicznych. Rozmawiał z kardynałem Felicim w Padwie i kardynałem Benellim we Florencji. Opowiedział im o wydarzeniach, jakie miały miejsce przed południem, łącznie ze swoją konfrontacją z Baggio, a potem zaczął mówić o zbliżającym się spotkaniu: na czwartą był umówiony kardynał Villot. Papież chciał ujawnić swojemu sekretarzowi stanu, jakie podjął decyzje i postanowienia.

Luciani i Villot rozmawiali przy filiżankach herbaty z rumianku. Dążąc do zbliżenia się do swojego sekretarza stanu Luciani posługiwał się czasem językiem francuskim. Był to gest, jaki kardynał z St.-Amande-Tallende potrafił docenić. Głębokie wrażenie wywarło na nim to, jak szybko Luciani nauczył się pełnić urząd papieża. Z sekretariatu stanu informacja o tym rozeszła się dalej i dotarła także do uszu kilku przyjaciół i byłych kolegów Lucianiego. Jednym z wielu, do których doszła informacja o dobrym „wejściu" nowego papieża, był monsignore Da Rif, który ciągle jeszcze działał w Vittorio Veneto. (...)

Późnym popołudniem 28 września Jean Villot przeżył imponującą demonstrację umiejętności Lucianiego, które w ciągu minionego miesiąca wywarły na nim takie wrażenie. Pierwszym poważnym problemem do rozwiązania był Instituto per le Opere Religiose, Bank Watykański.

Luciani uzyskał tymczasem wiele bardzo szczegółowych informacji. Villot sam przedłożył mu tymczasowy raport. Innymi źródłami, które umożliwiły mu zapoznanie się ze sprawą, byli zastępca Villota, arcybiskup Giuseppe Caprio i kardynałowie Benelli oraz Felici.

Wkrótce powinna wybić godzina biskupa Paula Marcinkusa, ponieważ sprzedaż Banca Cattolica, przy której tak energicznie ułatwiał robotę swojemu przyjacielowi, Calviemu, i wiele innych czynów spadłyby z powrotem na ich sprawcę. Villot zwrócił uwagę papieża na to, że — jak należało się spodziewać — pogłoski o dochodzeniach prowadzonych przeciw Bankowi Watykańskiemu przedostały się na zewnątrz. Prasa włoska jest coraz bardziej ciekawska, ukazał się już większy artykuł.

Amerykański magazyn informacyjny NEWSWEEK najwyraźniej miał wspaniałe kontakty w Watykanie. Dowiedział się, że przed rozpoczęciem konklawe większa liczba kardynałów zażądała od Villota wyczerpującego raportu o działalności Banku Watykańskiego. Przez swoje „poinformowane koła" dowiedział się także o tym, że coś toczyło się przeciw Marcinkusowi. Czasopismo zacytowało swojego zaufanego człowieka z Kurii następująco: „Podjęto próbę usunięcia go. Prawdopodobnie zostanie przeniesiony na jakąś funkcję biskupią bez znaczenia".

Luciani zaśmiał się: „Czy NEWSWEEK może mi też powiedzieć, kim zastąpię Marcinkusa?".

Villot potrząsnął głową. W dalszym ciągu rozmowy Luciani dał wyraźnie do zrozumienia, że nie myśli o pozostawieniu Marcinkusa w Watykanie, nie mówiąc już o Banku Watykańskim. Przed jakimś czasem podczas 45-minutowej, osobistej rozmowy papież wyrobił sobie opinię o Marcinkusie i doszedł do wniosku, że tego człowieka lepiej dałoby się przechować jako biskupa pomocniczego w Chicago. Nie powiedział wówczas Marcinkusowi nic o tych rozważaniach, ale chłodna uprzejmość, którą okazał człowiekowi z Cicero, nie pozostała nie zauważona.

Kiedy Marcinkus po spotkaniu z Lucianim powrócił do pomieszczeń urzędowych banku, powiedział w zaufaniu swojemu przyjacielowi: „Możliwe, że nie pozostanę tu już długo". Swoim kolegom w banku oświadczył: „Nastawcie się na to, że ten papież ma inne poglądy, niż ostatni. Dojdzie tu do zmian. Wielkich zmian".

Marcinkus miał rację. Luciani oświadczył Villotowi po południu, owego 28 września, że Marcinkusa należy natychmiast zmienić. Nie za miesiąc, czy tydzień, lecz następnego dnia. Udzieli się mu urlopu i znajdzie odpowiednie stanowisko, skoro tylko zostanie rozwiązany problem Cody'ego.

Papież powiedział Villotowi, że na miejsce Marcinkusa przyjdzie monsignore Giovanni Angelo Abbo, sekretarz prefektury ds. gospodarczych Stolicy Apostolskiej. Jako jeden z najważniejszych funkcjonariuszy watykańskiego aparatu finansowego monsignore Abbo wniósłby do swojego nowego urzędu, co jest logiczne, wiele fachowej wiedzy z zakresu spraw finansowych.

Z pewnością przykład pełnych rozmachu pierwszych 100 dni papieża Jana XXIII pobudził Albino Lucianiego. Jeżeli ci, którzy dobrze znali Lucianiego, czekali od jego wyboru na to, aż lew pokaże pazury, to nastąpiło to właśnie 28 września, a Villot był tym, który to odczuł. Nie rzucający się w oczy, skromny człowiek, jakim był Albino Luciani zanim został papieżem, wielu wydawał się mniejszym, niż był w rzeczywistości ze swoim 175-centymetrowym wzrostem. Obecności tego niepozornego i cichego człowieka nie dostrzegali niektórzy uczestnicy nawet wielogodzinnych posiedzeń. Dla Villota jednak obecność Albino Lucianiego tego wrześniowego wieczoru była nieodpartą rzeczywistością. Papież oświadczył mu:

„Są jeszcze inne zmiany w Instituto per le Opere Religiose, które chciałbym natychmiast przeprowadzić. Zmienić należy Menniniego, de Strobela i monsignore de Bonisa. Natychmiast. Miejsce de Bonisa powinien zająć monsignore Antonetti. Na temat następców obu pozostałych będę jeszcze rozmawiał z monsignore Abbo. Życzę sobie zerwania wszystkich kontaktów z grupą Banco Ambrosiano i ma to nastąpić w najbliższej przyszłości. Uważam, że uczynienie tego kroku będzie niemożliwe, dopóki cugle znajdują się w rękach obecnie piastujących swe urzędy".

Ojciec Magee powiedział mi na ten temat: „On wiedział, czego chciał. Wiedział nawet bardzo dokładnie, czego chciał. Sposób, w jaki zapowiedział swój cel, był bardzo delikatny".

Przymiotnik „delikatny" wynikał z uzasadnienia, jakie przytoczył Villotowi. Obaj wiedzieli, że Marcinkus, Mennini, de Strobel i de Bonis byli przypięci złotymi łańcuchami nie tylko do Calviego, lecz także do Sindony. Nie trzeba było tego wprost mówić, a tego, czego nie powiedziano, nie można było potem w sposób wypaczony cytować.

Kardynał Villot przyjął polecenia Lucianiego prawie bez komentarza. W ciągu lat sporo nauczył się. W Watykanie było wielu takich, którzy uważali Villota za mało uzdolnionego, ale nie było to tak całkowicie słuszne; często odwracanie spojrzenia uważał on właśnie za rzecz mądrzejszą. W watykańskiej wspólnocie wiejskiej była to znakomita technika przeżycia.

Luciani zaczął mówić o problemie Chicago i o swojej dyskusji Baggio na temat ultimatum, jakie ma być postawione kardynałowi Johnowi Cody'emu. Villot mrucząco wyraził swoją aprobatę. Podobnie jak Baggio również on uważał Cody'ego za wrzód na ciele Kościoła amerykańskiego. Zapowiedź wypalenia wreszcie tej rany sekretarz stanu przyjął z zadowoleniem. Luciani oświadczył, że życzy sobie, by sekretariat stanu podjął przez przedstawiciela papieskiego w Watykanie kontakt z Amerykanami i przeprowadził sondaż na temat możliwego następcy Cody'ego; dodał przy tym: „W Chicago utracono sporo zaufania. Musimy zatroszczyć się o to, by miejsce Jego Eminencji zajął ktoś, kto ma umiejętność pozyskania serc i dusz wszystkich wiernych w tej diecezji".

Luciani poinformował następnie, że Baggio odrzucił urząd patriarchy w Wenecji i oświadczył, iż nadal jest zdecydowany posłać tam kardynała. „Wenecja nie jest miękką poduszką. Potrzebuje silnego człowieka, takiego jak Baggio. Chciałbym, żebyście z nim porozmawiali. Powiedzcie mu, że wszyscy musimy ponosić teraz ofiary. Może przypomnielibyście mu o tym, że ja, na Boga, nie życzyłem sobie tego urzędu". Argument ten mógł wywrzeć tylko niewielkie wrażenie na człowieku, który sam miał poważne ambicje zostania następcą papieża Pawła VI, ale Villot zrezygnował dyplomatycznie z poczynienia tej uwagi.

Luciani zapoznał w końcu Villota jeszcze z innymi zmianami personalnymi, jakie zamierzał przeprowadzić. Kardynał Pericle Felici miał zostać jako następca kardynała Ugo Polettiego wikariuszem Rzymu; Poletti miał zastąpić Benellego jako arcybiskup Florencji. Benelli miał zostać sekretarzem stanu w Watykanie — jako następca Villota.

Villot milcząco przyjął do wiadomości zapowiedziane zmiany personalne, obejmujące również jego samego. Był starym, wyczerpanym człowiekiem. Ponadto był ciężko chory i dwie paczki papierosów, które wypalał dziennie, wcale nie przyczyniały się do złagodzenia jego cierpień. Już podczas konklawe Villot nie pozostawił żadnej wątpliwości, co do tego, że ma już dość swego urzędu i chce się wkrótce wycofać. Teraz moment ten przyszedł jednak trochę wcześniej, niż on sobie to wymyślił. Istniałby oczywiście jakiś okres przejściowy, ale nie zmieniło to w niczym faktu, że będzie teraz musiał pożegnać się z władzą. Z pewnością nie ucieszyło Villota to, że papież chciał powołać na jego następcę właśnie Benellego. Benelli był wcześniej podsekretarzem i Villot nie żył z nim w najlepszej zgodzie.

Luciani odłożył kartkę ze swoimi odręcznymi notatkami na temat planowanych zmian personalnych i dolał Villotowi herbaty.

— Myślałem, że jako mojego następcę weźmiecie pod uwagę Casarolego — powiedział Villot.

— Czyniłem to też przez dłuższy czas. Uważam, że częściowo pracuje on wspaniale. Jeżeli jednak chodzi o zapoczątkowane w ostatnich latach inicjatywy wobec Europy Wschodniej, to podzielam zastrzeżenia Giovanniego Benellego wobec niektórych z nich.

Luciani czekał na znak lub słowo aprobaty i zachęty. Nastąpiło milczenie, które przedłużało się. Nigdy, odkąd Luciani i Villot znali się, ten ostatni nie odszedł od sztywnego formalizmu. Zawsze zachowywał chłodny dystans. Luciani nie tylko w spotkaniach osobistych z Villotem, lecz także przez Feliciego i Benellego usiłował ożywić swój stosunek do sekretarza stanu odrobiną osobistego ciepła, ale mur formalizmu, jakim otaczał się Francuz, wydawał się nie do przebicia.

Wreszcie papież zdecydował się przerwać milczenie.

— Co teraz, Eminencjo?

— Wy jesteście papieżem. Macie swobodę decyzji.

— Tak, tak, ale co wy myślicie o tym?

Villot wzruszył ramionami.

— Dla niektórych decyzje te będą powodem do radości, dla innych powodem do zdenerwowania. Są w Kurii Rzymskiej kardynałowie, którzy uczynili wiele, byście zostali wybrani, i ci będą się czuli zdradzeni. Zapowiedziane zmiany będą traktowali jako wymierzone przeciw życzeniom zmarłego Ojca Świętego.

Luciani uśmiechnął się.

— Czy zmarły Ojciec Święty chciał podjąć decyzje personalne na całą wieczność? Jeśli chodzi o kardynałów, którzy mówią, że uczynili wiele by zrobić ze mnie papieża, to proszę dobrze posłuchać: mówiłem to już wiele razy, ale — jak widzę — muszę powtórzyć jeszcze raz. Nie dążyłem do tego, by być papieżem. Nie możecie wymienić żadnego kardynała, któremu robiłem jakieś obietnice. Żadnego, którego w jakiejkolwiek formie usiłowałbym namówić do oddania głosu na mnie. Nie było to moim zamiarem. Nie było to moją sprawą. W Watykanie znajdują się ludzie, którzy zapomnieli, po co tu w ogóle są. Uczynili z tego miejsca targowisko. Jest to powód, dla którego dokonuję tych zmian.

— Będą mówili, że zdradziliście Pawła VI.

— Będą także mówili, że zdradziłem Jana XXIII, a także Piusa XII. Każdy będzie wyszukiwał dla siebie świadków koronnych, stosownie do potrzeb.

Dyskusja trwała niecałe dwie godziny. Wieczorem o wpół do ósmej Villot pożegnał się. Wrócił do swego pokoju, do pracy i studiował listę zmian personalnych. Z szuflady swego biurka wyciągnął drugą listę, być może bez określonego zamiaru. Kiwał głową, kiedy porównywał nazwiska. Nazwiska wszystkich, których Luciani zamierzał zwolnić z pełnionych funkcji, znajdowały się na liście przypuszczalnych masonów, opublikowanej przez wiarołomnego członka P-2, Petrocellego. Marcinkus, Villot, Poletti, Baggio, de Bonis. Na liście masonów brakowało natomiast nazwisk tych, którzy zgodnie z wolą papieża mieli objąć zwolnione stanowiska: Benellego, Felliciego, Abbo, Antonettiego.

Kardynał Villot odłożył obie listy na bok i zajął się innym dokumentem na swoim biurku. Było to ostateczne potwierdzenie tego, że przewidziane spotkanie Lucianiego z amerykańską komisją ds. regulacji urodzeń odbędzie się 24 października. Grupa polityków opowiadających się za tym, by Kościół rzymskokatolicki zrewidował swoje stanowisko w sprawie sztucznego zapobiegania ciąży, spotkałaby się za kilka tygodni z papieżem, który sam życzył sobie takiej rewizji. Villot podniósł się od biurka, nie sprzątając z niego dokumentów. Lew rzeczywiście pokazał swoje pazury.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

OLGA ŁARIONOWA

(2)

Gdzie królewskie łowy

A jednak to był jaszczur. W prześwitach między czarnymi gładkimi pniami Heuryk dojrzał wreszcie jego dziwne, lekko zielone ciało. Przypominał ogromnego pangolina, tyle że jakiegoś takiego niezdarnego; duża gruba łuska dawała słaby odblask, gdy padał na nią rzadki, słoneczny zajączek. Do tego wszystkiego pangolin poruszał się bardzo niezgrabnie, jak człowiek imitujący na lądzie pływanie na boku. Henryk zaryzykował i zbliżył się do niego, ale pangolin obrócił w jego stronę zaostrzoną mordę i zasyczał; czarny wąski język zwisł aż do ziemi. Czort je wie, to bydlę, a nuż jadowite...

Stworzenie pełzło niezbyt szybko i Henryk postanowił wyprzedzić swego konkurenta. Przyśpieszył kroku i, trzymając się w przyzwoitej odległości, krótkimi skokami obszedł jaszczura i tak szybko jak to tylko było możliwe ruszył przed siebie, starając się znów wyjść na trop boduli. Jeśli wierzyć nigdy wcześniej nie zawodzącemu go zmysłowi orientacji w terenie, to postrzałek prowadził go po łuku, odbijając lekko w lewo. To znaczy, że ślad będzie za tymi drzewami. Henryk przyjrzał się ich pniom i zaklął. A niech to, ogórkowe palmy! Nie dość, że prawie w ogóle nie dają cienia, to jeszcze praktycznie nie można pod nimi chodzić ze względu na kupy liliowych ogórków, żeby postawić nogę, najpierw trzeba rozgnieść całą grudę tych płodów. A żeby odnaleźć ślad, trzeba się będzie poruszać na czworakach.

To przypuszczenie kazało mu raz jeszcze zakląć i sięgnąć ręką do kieszeni. Zupełnie zapomniał o „rinko". Też mi myśliwy!

Ale byłby widok — Kalwarski pełzający na czworakach i szukający węchem śladu zwierzyny pod liliowymi korniszonami!

Szczęknął blokadą i błyszcząca główka zabawki zakręciła się wokół osi odszukując punkt, z którego dolatywał poszukiwany zapach. Zaraz pokaże na sterty ametystowych płodów... Nic podobnego. Nosek przyrządu obrócił się w prawo, tam gdzie powinien był wędrować zielony pangolin. Henryk potrząsnął „rinko", znów zwolnił blokadę — nosek nieubłaganie obracał się w stronę jaszczura.

Tak... Przyrząd spontanicznie przeorientował się na inny zapach, w związku z czym trzeba będzie zacząć polegać na własnym indykatorze — węchu drapieżnika, który doprowadzi myśliwego do ofiary. Trzeba tylko trzymać się w dość dużej odległości, bo, a nuż, ten pełzający gad posiada zwrotność jawajskiego nosorożca, który również na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie takiego nieruchawego...

Ale pangolina na razie nie było widać i wyglądało na to, że nie śpieszy się on z wychodzeniem spod dających cień drzew na tę ogórkową polankę. Henryk przykucnął wycierając pot. Och, ależ to wstrętne! Uchybił swej zasadzie, by nigdy nie zajmować się nie swoimi sprawami, no i proszę... Wałęsaj się po tej tropikalnej łaźni, łeź po tropie jak foksterier. A tymczasem tam, z tyłu, w chłodnej ciszy ziemskiej przestrzeni i czasu ograniczonej ścianami ich domku już zbladły ułudne gwiazdy i krzyk nagranego koguta oznajmił nadejście świtu... Sielanka! A co? Owszem, sielanka i gdyby ktoś domyślił się, jak bardzo pragnie powrócić tam z powrotem, do wczorajszego ranka, kiedy nic jeszcze się nie wydarzyło i nic nie zapowiadało tego, że cokolwiek się wydarzy, zapragnąłby ze wstydu zwalić się do jednej ze śmierdzących jam na swej przeklętej Kapelli. Uśmiechnął się do własnych myśli: wczoraj kiedy jeszcze nic się nie wydarzyło...

Na samo wspomnienie ciszy i chłodu wczorajszego ranka strużki gorącego potu jeszcze żwawiej pociekły po jego plecach i trzeba było podrapać łopatkami o grafitową chropowaciznę pnia drzewa. A właściwie co takiego wydarzyło się wczoraj rano?

Nic szczególnego. W oczekiwaniu tradycyjnego kubka parującego mleka Henryk i Eristawi w lekkich, plecionych krzesełkach siedzieli na zacienionej polance.

Tak, wszystko odbywało się jak każdego innego dnia.

Z zarośli wychynęła Gerda wlekąca za sobą na białym pasku opierającego się niedużego jednorożca.

— Jednego jedynego udało mi się schwytać na sznur — skonstatowała i bez tego oczywisty fakt. — Więcej nie ma, wkoło same żaby. I wszystkie drapią się o drzewa jak sparszywiałe. Na co to?

— Na deszcz — odezwał się Henryk.

Powiedział to tak, bez namysłu, zajęty własnymi myślami, ale mimo wszystko mogła to być prawda. Dziesięć dni temu, przed pierwszym i jak dotąd jedynym deszczem, wszystkie zwierzęta ogarnęła powszechna świerzbiączka: i jednorożce, i gęsiołapy, i bodule wszystkich maści zostawiały kępki sierści na przybrzeżnych kamieniach, pniach gigantycznego grafitowca, a nawet węgłach ich domku. Żaby, nawiasem mówiąc, cierpiały mniej niż inne zwierzęta. To, że zaczęły schodzić ku jezioru bez wątpienia zapowiadało deszcz. I to nie tylko deszcz, ale tropikalną ulewę, podczas której strumienie wody, jeszcze przed dotarciem do ziemi, będą łączyć się w wodne bicze zdolne zwalić z nóg średniej wielkości mastodonta. W dziesięć minut po rozpoczęciu się deszczu, rozmytymi ścieżkami zwierząt popłyną rwące strumienie, a zlilowiałe z zimna żaby skakać będą z dolnych gałęzi do tej mętnej rwącej wody, która poniesie je prosto do jeziora...

— Idź po chlebek, Eri — poprosiła Gerda — bo to bydlę i minuty spokojnie nie ustoi.

Eri żwawo pobiegł do kuchni, wygarnął z piekarnika jeszcze ciepłe bochenki, ale z powrotem na łąkę przezornie nie poszedł pamiętając o pociągu niektórych rogatych zwierząt do gołych nóg. Wysunął się z kuchennego okna, wabiąc jednorożca tylko co obłamaną dymiącą pietką.

— Nie dawaj bydlęciu gorącego — poleciła mu Gerda.

— Sądzisz, że trawa w słońcu jest zimniejsza? — odparł i podmuchał na chleb, a potem na moment umieścił go w solniczce. — No chodź tu, niedobry!

Jednorożec poruszył nozdrzami i ruszył truchtem w stronę datku, żwawo przebierając miękkimi lwimi łapami. Gerda dogoniła go i kiedy starał się dosięgnąć chleba, zręcznie podsunęła podeń wiaderko. Zwierzę żuło, z przyjemności mrużąc oczy i do wiaderka zaczęły lecieć pierwsze rzadkie krople. Gerda przytrzymując wiaderko nogą zaczęła drapać pokryty plamami bok. Jednorożec parsknął, przysiadł i w wiaderko uderzyły dwa ciężkie, śnieżnobiałe strumienie. Tego stworzenia nie trzeba było nawet doić, ono oddawało nadmiar mleka zupełnie dobrowolnie i jest rzeczą wątpliwą, czy ludzie domyśliliby się, jak łatwo można otrzymać ów produkt miejscowej fauny, gdyby w zaroślach, to tu, to tam, nie trafiały się białawe, ścinające się kałuże.

Gerda wyciągnęła wiaderko, nim zwierzę przestąpiło z nogi na nogę, albowiem taka operacja zazwyczaj kończyła się utratą całego udoju. Nacedziła mleka do kubków, do małych koszyczków włożyła po ciepłym chlebku. Kiedy częstowała mężczyzn, poczuła wilgotne ciepło w pantoflu. Znów to bydlę napuściło jej doń mleka. Za każdym razem to samo. Biegiem przecięła zacienioną polankę, zrzuciła pantofle i postawiła je na słońcu. Potem wróciła na swój fotel na biegunach i zapakowała się nań z nogami.

— A ty pościsz? — zapytał ją Henryk.

— Przejadło mi się to. Poza tym gorąco.

Bez większej życzliwości obserwowała jak jedzą śniadanie. Kiedy kubki zostały opróżnione, odczekała jeszcze chwilę i zapytała krótko:

— No i jakie dziś? Smaczne?

— Jak zawsze — odezwał się Eri. — Wyśmienite.

Henryk pobłażliwie skinął głową, strząsając z brody okruszki.

— W takim razie bądź tak dobry, Eri — poprosiła Gerda jakimś takim pełnym cierpienia głosem — wyjmij mi z lodówki jedną parówkę. Na dolnej półce stoi otwarta puszka.

Eri, który ulokował się na kuchennym parapecie z zamiarem rysowania wciąż jeszcze pasącego się jednorożca, kiwnął głową i zniknął w chłodzie piwnicznej chłodni. Słychać było jak przestawia w niej puszki. Wreszcie ponownie pojawił się w otworze okiennym, odpędził jednorożca i podał Gerdzie widelec z nabitą na koniec parówką.

— Dziękuję — powiedziała Gerda z miną wielkiej męczennicy. Przez ostatnie dni ostentacyjnie żywiła się lodowato zimnymi parówkami, przy czym intensywność owej ostentacji, z dnia na dzień, nieubłaganie rosła. Na wszelki wypadek mężczyźni starali się nie patrzeć na nią w takich chwilach. Wszystkim było niezręcznie. Wszystkim było nieprzyjemnie.

— Nawiasem mówiąc, zapomniałam zapytać — kontynuowała podejrzanie niewinnym tonem — czy wczoraj wieczorem mleko naszej krówki nie było gorsze niż zwykle.

Mężczyźni ze zdziwieniem spojrzeli jeden na drugiego. — Chyba nie, nie było gorsze.

— A to było żabie mleko — oznajmiła Gerda, wymachując widelcem i rozkoszując się wywołanym efektem. — To za to, że karmicie mnie różnym konserwowanym obrzydlistwem.

Eristawi po prostu oniemiał. Zaskoczyło go nie to, co powiedziała, a to, że w ten sposób rozmawiała ze swym mężem. Do tej pory był on dla niej bezspornym panem i władcą — to zrozumiałe, to wszak Kalwarski, geniusz sejsmoarchitektury, największy intuicjonista w zamieszkanej Galaktyce, bez którego nie budowano ani jednego miasta w żadnej sejsmostrefie! Kalwarski i miła z wyglądu lektorka peryferyjnej kompanii telewizyjnej „Astrolife", obsługującej akwatorium Oceanu Indyjskiego. Sześć lat niezakłóconych patriarchalnych stosunków i nagle...

— Po prostu jesteś zmęczona bezludziem, dziecko — powiedział wtedy Henryk. — Wypierzemy się na Wielką Ziemię.

— Ani myślę — zaoponowało dziecko. — Jeszcze nie wzięłam od Pollioli wszystkiego tego, co może mi dać. Jeszcze nie zebrałam swojej kropli miodu...

Gdyby mógł domyślić się wtedy, że jej kropla miodu będzie koloru czerwonego!

Wtedy i teraz piłby swój kubek mleka, mleka żaby, czy też jednorożca, obojętne, skoro smak miały jednakowy. I nie siedziłby w tym liliowym ogórkowym łajnie patrząc tępo, klejącymi się wskutek braku snu oczyma na niezdarnie kuśtykającego pangolina, który tylko co wychynął spoza drzew. A więc jednak zjawił się poszukiwany gad. Tym razem trzeba będzie pozwolić ci wysforować się do przodu. Dogonisz bodulę — bo przecież nie może ona umykać bez odpoczynku! — a wtedy będzie można strzelić nad twoją głową. Nie bój, się dezintegrator nie strzela ładunkami rozrywającymi, nie zostaniesz bez obiadu. A uprzedzić cię trzeba przez wzgląd na humanitaryzm... i odrazę.

Henryk cofnął się za pień ogórkowca i zaczekał, aż jaszczur przepełzł obok. Wyszedłszy zza drzewa Henryk odnotował z zadowoleniem, że pangolin zrobił w stosach ogórków wyraźną bruzdę i nie trzeba będzie rozgrzebywać pryszczatych płodów, by odnaleźć ślad czteropalcej łapy z regularnymi różowymi plamami po prawej stronie.

Pościg za jaszczurem w tym owocowym zagajniku był tak monotonny, że Henryk stracił rachubę czasu i przebytej odległości. Jak długo szedł ostrożnie stąpając po śladzie pangolina, pół godziny czy pół dnia? Zabójcza monotonia kolumnady złożonej z roślinnych monstrów mogła uśpić podczas marszu. I usypiała.

Z tego stanu na pół drzemki wyrwał Henryka upadek. Pod nogą, ze złośliwą satysfakcją, trzasnął rozgnieciony ogórek, smaczne liliowe plujki pokryły nogawkę, a on poczuł, że już leży na boku, a w lewej dłoni narasta ból, narasta szybko, wyraźnie. Jaszczur odwrócił się, z zadowoleniem syknął coś na pożegnanie i zniknął jakoś niezwykle nieśpiesznie.

„Poczekaj, gadzie pełzający — mimo woli przemknęło przez głowę — i tak cię dogonię... Zwichnięcie ręki to nie trafienie z dezintegratora w bok. Ja cię wykończę...".

Nagle złapał się na tym, że goni już nie bodulę, a tego zielonego pełzacza, a irytacja, zniecierpliwienie i pragnienie gnania do przodu po śladzie, jak pies, składały się prawdopodobnie na ów atawistyczny instynkt myśliwski, w istnienie którego dotąd nie wierzył.

Położył dezintegrator na kolanach, wyjął z apteczki biały chłodny bandaż i raz dwa przewiązał dłoń. Podniósł się, poszukał oczyma — zielonej roślinności tu nie było, tak więc pobłyskującą seledynową łuskę pangolina powinien dojrzeć z daleka. A tak nie jest. Ta ogórkowa kasza, której nieustannie przybywało, przykryła ślad. Henryk zaklął, w oparciu o wskazania „rinko" ustalił kierunek i wolno ruszył przed siebie rozsuwając nogami na boki zdradliwe ogórki. Upadł jeszcze cztery razy, ostatnim razem na bolącą rękę i ból spotęgowany przez upał stał się jeszcze bardziej nie do wytrzymania. A może dać sobie z tym spokój i wezwać awaryjny śmigłowiec? — przemknęła przez głowę myśl. Jednakże nowo narodzony myśliwski instynkt nie dał myśli tej okrzepnąć i zawładnąć zmęczonym, zwiotczałym ciałem. Szedł i szedł, i kiedy w przodzie błysnęło wreszcie mętnie oślizłe ciało pangolina, w prześwicie pomiędzy drzewami zobaczył leżące w chaosie zdrowe, rdzawe rury. O jedną z nich zapamiętale czochrał się jaszczur. Henryk, starając się nie wywalić po raz szósty, ostrożnie zbliżył się. Jaszczur zwrócił w jego stronę opuchłą mordę, opuchłą zapewne w efekcie drapania, otrząsnął się tak, że opadło zeń jeszcze kilka łusek i z godną pozazdroszczenia lekkością dał nura w rurę. Po jakimś czasie wychynął z drugiego jej końca, przeciął czystą przestrzeń — ogórków jakby ubyło — depełzł do drugiej rury, poczochrał się i wlazł do jej wnętrza. Z trzecią było podobnie. Jaszczur był stosunkowo daleko, ale Henryk zwrócił uwagę na to, że po pobycie w każdej z owych rur jaszczur jakby różowiał. Podszedł bliżej i podniósł łuskę wielkości dłoni. To wcale nie była łuska, tylko zlepiony w kształt stożka pęk sierści. Nalot pokrywający szorstkie, w kierunku końca coraz cieńsze włoski, czynił je zielonkawymi. Ów lepki kosmyk sierści pachniał krwią.

Ale to przecież niemożliwe Henryk potrząsnął głową. Taka transformacja... W przeciągu zaledwie kilku godzin... Ale po co rozmyślać, wysuwać przypuszczenia? Trzeba po prostu dogonić zwierzę, przyjrzeć się mu, gdy będzie wychodzić z kolejnej rury i wszystko będzie jasne...

Plamiste, przypominające akselotla, zielonkawo-różowe ciało mignęło w przedzie i zniknęło w brązowej czeluści. Dalej rur było mnóstwo, po trzy, cztery warstwy. Rur? Pochylił się, dotknął. No oczywiście, to wcale nie żadne rury, tylko zwinięte palmowe liście, każdy wielkości dobrego żagla. Prawdopodobnie taki był życiowy cykl tych niezwykłych drzew, najpierw opadały wszystkie liście, a potem ze szczytu pnia zaczynały się wysypywać ziarenka, to znaczy ogórki. A dlaczegóż by nie? Wdrapał się na jedno z gigantycznych cygar. Wytrzymało. Ale gorzej było wtedy, kiedy „cygara" zaczęły się piętrzyć. Wahał się przez moment, a potem popełzł w otwór. Nie była to ta rura, przez którą przepełzło stworzenie (Henryk już nie odważał się nazywać tego stworzenia ani bodulą, ani pangolinem) Pokonawszy przeszkodę Henryk zgubił się — przed nim był zbity wał rur. Może utorować sobie drogę dezintegratorem? Nie, za późno na to, w tyle zostało zbyt wiele „cygar". Jeśli podczas takiego upału zapłoną wszystkie razem, nie wydostanie się z pierścienia ognia. Wzywać śmigłowiec również nie ma sensu, bo „rinko" nie złapie śladu z wysokości lotu ptaka.

Znów wkręcił ciało w potrzaskującą łykową rurę.

Po dwóch godzinach zupełnie opadł z sił. Podpełzł do wyjścia z kolejnej rury, ale miast wyleźć z niej, przewrócił się na plecy i z rozkoszą wyciągnął. Rura była szersza od poprzednich, chłodna i sprężysta, jednakże jeśli w takiej wstać, nie wytrzyma i spłaszczy się. I kolor nie rdzawy tylko szarosrebrzysty. Niczym u ziemskiego podbiału od spodniej strony. Dlaczego ziemskiego? Przecież nic tu nie jest ziemskie. Nawet czas. Na podstawie swego zmęczenia i narastającego wciąż pragnienia łomyślał się, że ich ludzki, umowny ranek już minął i prawdopodobnie nadeszła pora obiadu. Tylko że dla niego nie będzie ani umownego obiadu, ani umownej kolacji, ani żadnych innych umowności w rodzaju tego naiwnego bełkotu — „bodule", „krzywule", „kenguraty"... Tyle pokoleń swawolnych daczników zmieniło się w tym obozowisku, a przecież wszyscy powtarzali na pół bajkowe nazwy, których liczba dobrze przekroczyła setkę.

I nikomu nie przyszło do głowy zastanowić się nad tym czy nie jest to czasem JEDEN-JEDYNY gatunek, taki ssak kameleon, lądowa flądra, mimikrodont.

Olśnienie przyszło tak nagle, że ze strachem i jakimś pełnym zachwytu zdziwieniem pojął, iż tropił nie bodulę i nie jaszczura tylko polliota, najbardziej niezwykłe stworzenie, jakie spotkał człowiek w całym Wszechświecie.

Osłabły nie tyle za sprawą upału i bólu ręki, co tego wstrząsającego odkrycia leżał we wnętrzu „cygara" z na pół przymkniętymi oczyma i rozmyślał. Dogonić tego mimikrodonta powinien, to po prostu niezbędne, a co zrobi z nim, to się zobaczy już na miejscu.

„No dalej, wyłaź stąd niezdaro" — powiedział do siebie.

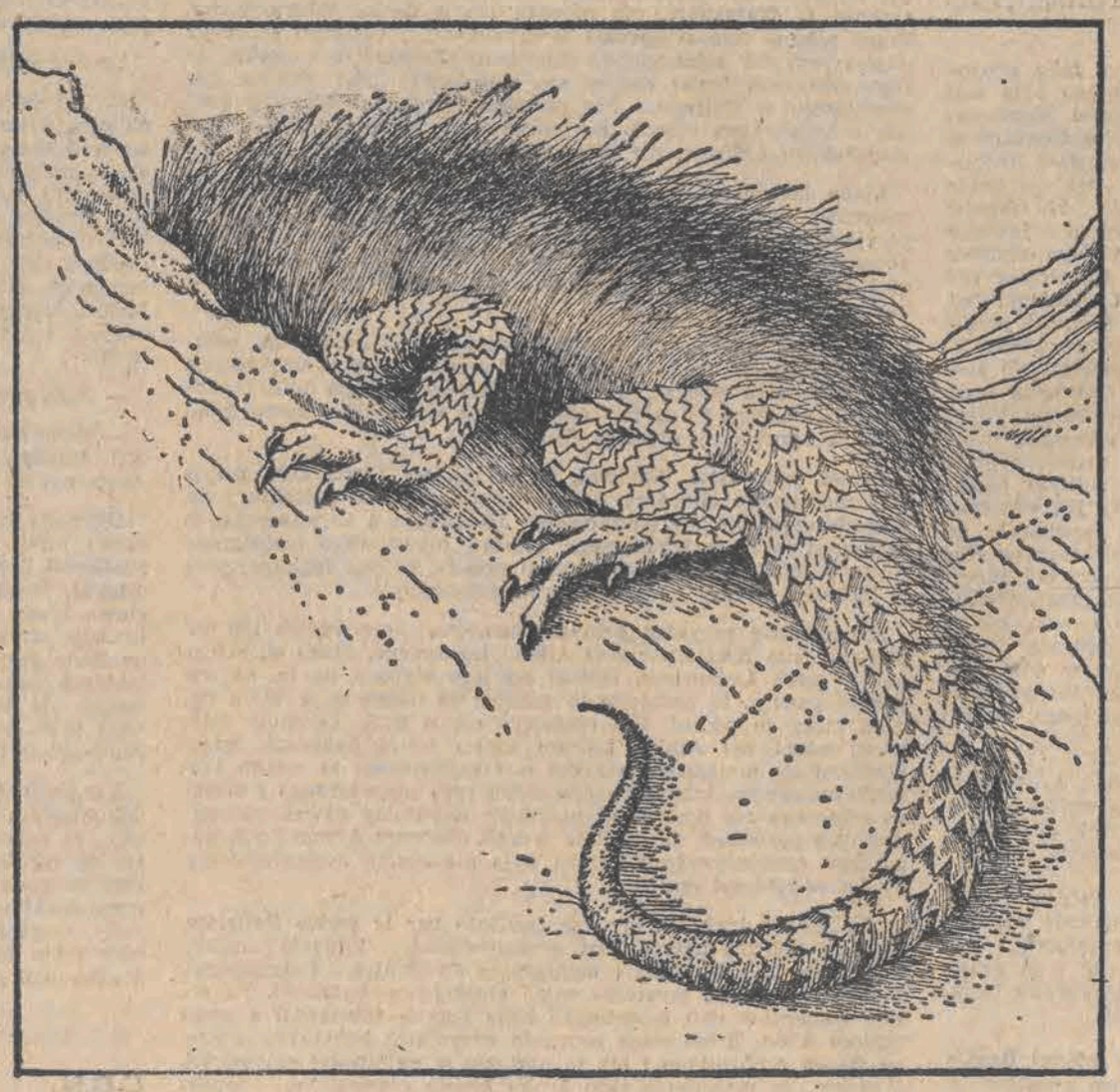

Rys. Janusz Szymański-Glanc

(C.D.N.)
Przekład:
MICHAŁ SIWIEC

1

Lewym okiem

Coś się dzieje...

Nie było chyba w kraju takiego pisma, które by przed trzema laty nie krytykowało zamierzonego wówczas powołania do życia przedsiębiorstwa hurtowego i detalicznego handlu alkoholem „Ponal". Nikomu się ten pomysł nie podobał, po prostu nie widziano żadnej racji dla takiego rozwiązania. Tej racji — o ile pamiętam — nikt nawet nie usiłował publicznie dowodzić i do dziś nie wiem, jakie argumenty miały decydować o potrzebie istnienia Ponalu. Ale karawana szła dalej. Czytaliśmy w prasie ogłoszenia o poszukiwaniu lokalu biurowego lub dającego się przebudować na biuro — oczywiście w centrum Warszawy, czytaliśmy także ogłoszenia o poszukiwaniu pomieszczeń magazynowych i o konkursach na stanowiska dyrektorów oraz oferty wolnych posad kierowników, planistów maszynistek.

Nikt chyba nigdy nie będzie liczył, ile to wszystko kosztowało. Sama adaptacja i urządzenie lokalu biurowego to już dziesiątki milionów złotych; dalekopisy, telefony z własną centralką, sanitariaty, gabinety dyrektorskie z nieodzownymi boazeriami, wyposażenie w maszyny liczące i piszące, powielacze, papiery firmowe z nadrukami, stemple, ekspresy do kawy, dywany i „zabezpieczenie akt", czyli przebudowa drzwi i okien nie wyłączając przestawiania ścian. Ogromne pieniądze, które uczciwie biorąc nie amortyzują się nigdy. No i oczywiście kilkadziesiąt — w skali kraju — dyrektorskich etatów z sekretarkami i gońcami, pięć razy tyle naczelników i kierowników, do tego trochę mniej zwyczajnych referentów i maszynistek. Armia ludzi, zmobilizowana nagle specjalnie i wyłącznie do handlu wódką. A jeszcze ogromne zamieszanie i potężne koszty przy organizowaniu sieci sprzedaży detalicznej: przebranżowienie setek sklepów, przebudowy, przenoszenia, zamykanie istniejących sklepów na całe miesiące celem ich adaptacji, wymiany personelu, angażowanie nowych kierowniczek i sprzedawczyń. A jeszcze organizacja własnego transportu, odrębnej księgowości i sprawozdawczości, może i własnego zaplecza socjalnego: ośrodków wczasowych dla pracowników Ponalu. O wódczanym deputacie dla tychże pracowników nie wspominam, to już drobiazg łatwy i pierwszy do zorganizowania.

Minęły marne trzy latka, ledwie dwa czy trzy razy zdołano przeprowadzić nieuniknione reorganizacje wewnętrzne całej lśniąco nowej maszyny, i oto we wszystkich pismach kraju przewija się nowa, tym razem malutka, ledwie że wyartykułowana informacja: Ponal ulega rozwiązaniu, a handel alkoholem wraca do hurtu i detalu spożywczego, tak było przedtem przez czterdzieści lat. Koszty tego powrotu będą trochę mniejsze, ale znów sięgną setek milionów złotych. Znów kontredans etatów, adaptacji, przebranżowień, znów miesiącami zamknięte sklepy. Tym razem nikt nie protestuje, boć przecież życie wraca niejako do normy, do rozsądnych form organizacyjnych. Może tylko spora grupa ludzi żałuje, że nie doczekała się nawet pięcioletniego „jubileuszu", a tak lubimy jubileusze! Jeszcze przez ileś tam miesięcy posiedzą za swymi biurkami dyrektorzy i naczelnicy w ramach „likwidacji" imprezy, jeszcze trzeba poupychać pracowników na częściowo sztucznych pozornych stanowiskach, dać im odprawy, pozorne renty inwalidzkie i naciągane ale oczywiście płatne urlopy okolicznościowe. Lawina kosztów leci w górę chociaż natura lawin jest raczej spadanie w dół.

Kto się tym wszystkim martwi? O czyjeś winie nie może być przecież mowy. Tam, gdzie o wszystkim decyduje nie wiadomo kto, wielka nierozpoznawalna mgławica: „Oni..." tam nie istnieje pojęcie odpowiedzialności ani w ogóle pragmatycznego działania. Miliony i miliardy fruwają jak chcą, nie liczone, nie cenione, ciskane niefrasobliwie na wiatr i wdeptywane w błoto. Damit man sieht, dass etwas geschieht — jak powiadają Niemcy. Czyli żeby było widać, że coś się dzieje. Powołuje się Ponal, likwiduje się Ponal. Kręć się, kręć, wrzeciono...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Wszyscy mi obiecują niebywałe szczęście

Wszyscy? Bez przesady. Są tacy, którzy chętnie zrobiliby ze mnie proszek radioaktywny, a moje miasto zamienili w rumowisko. Naszpikowano ziemię setkami rakiet i to wszystko wydaje mi się być wycelowane tylko i wyłącznie we mnie. Gdyby tak się wszystkim wydawało, to nie byłoby ludzi, którym marzy się zmiana obecnego układu sił politycznych na świecie poprzez wojnę. Bo oni po prostu mają nadzieję, że rakiety i bomby atomowe będą wybierały. Ich oszczędzą, a ich przeciwników, wrogów, ludzi im niesympatycznych zniszczą. Wielkie złudzenie.

Jako niepoprawny optymista mam natomiast nadzieję, że ludzie mądrzy skrępują ręce i wolę tym, którzy skorzy są do naciśnięcia guzika, po którym to geście życie na ziemi przestanie istnieć. Mogę więc spokojnie rozważać propozycje i prognozy tych, którzy mi obiecują niebywałe szczęście... za te 15 lat — jak wszystko dobrze pójdzie.

Gdy zbliżał się rok 1000, wtedy ludzie bali się końca świata. Chodzili po świecie różni dziadowie i trubadurzy, którzy zamiast śpiewać i opowiadać o nieszczęśliwej miłości, co zawsze ludzi interesuje najbardziej, jak choćby w superszlagierze o niewolnicy Isaurze, opowiadali o... końcu świata. Jest jakaś siła magiczna w wielkich liczbach. Ludziom brakowało wyobraźni na tyle, aby mogli spodziewać się, że świat wytrzyma więcej niż tysiąc lat. Wytrzymał już 1985, i to tylko licząc wedle jednego kalendarza. Wytrzymuje więc już parędziesiąt tysięcy lat. Ale teraz na nowo odżyły obawy. Tylko, że tym razem katastrofę mają spowodować nie tyle siły nadprzyrodzone, co mają ją sobie ludzie sami zgotować.

Ale człowiek ma twardą naturę. Rakiety w niego wycelowano, a on marzy o przyszłości. Cyfra 2000 znów ma magiczną moc. Ledwie się skończy nasz XX wiek, a już nastąpi epoka pełna szczęścia — wiek XXI. Czego to nie będzie. Nawet papieru na książki i gazety ma już wtedy nie brakować. Będzie też pod dostatkiem benzyny do samochodów, lodówek, telewizorów, a nawet będziemy korzystali z telewizji satelitarnej i systemów video.

„Przekrój" — z okazji 40-lecia — przeprowadził ankietę na temat: jak to będzie za następne 40 lat? Czyli w roku 2025. To już będzie ćwierć wieku od początku nowej ery, jaką ma przynieść z sobą XXI wiek. Jednym z odpowiadających w tej ankiecie, który nie wiedział, czy ma się *„posłużyć prześmiewczym żartem, czy prognozą serio"* był Mariusz Walter, ogniś twórca „Studia 2", dziś dyrektor ITI Video-Service. Otóż, jego zdaniem, do tej pory zapanuje powszechnie video-płyta, która zastąpi wszystko, jest bowiem niezniszczalna. Nie będzie potrzeba bibliotek, bo książki zostaną nagrane na takie płyty. Nie potrzeba będzie chodzić do szkoły, bo nauka będzie się odbywała przez „videokomp". Nakłady na kulturę będą wręcz niebotyczne i w ogóle będzie to okres niebywałego szczęścia.

Jerzy Wilmański w książce *„Antykwariat przy Piotrkowskiej"* przypomina, że 17 kwietnia 1928 roku, *„niejaki F. (niestety, nie udało się rozszyfrować kryptonimu) opisał na łamach „Ilustrowanej Republiki" swoją wizję Łodzi za sto lat"*. Czyli w roku 2028. W trzy lata zaledwie później niż pyta o to *„Przekrój"*. O ileż trudniej było wówczas wyobrazić sobie Łódź za 100 lat. Wielu rzeczy ów F. nie przewidział, bo nie mógł przewidzieć, ale rysując swoją wizję — jak to komentuje Jerzy Wilmański — *„myślał racjonalnie i jeśli popuszczał wodze fantazji, to w granicach zdrowego rozsądku"*. Wizję swoją budował on bowiem z istniejących przesłanek:

Oto przykład metody jego myślenia:

„Gdy wczoraj — pisał w 1928 roku F. — *przechodziłem ulicą Zachodnią, gdzie rozwieszano na drutach elektryczne lampy, pomyślałem sobie: Za 10 albo 20 lat cała Łódź będzie zelektryfikowana...*

Tak samo: Za 10 albo 20 lat będziemy mieli kanalizację, za 10-20 lat będą tramwaje na wszystkich ulicach, za 10 albo 20 lat ludność Łodzi wzrośnie do miliona...

Bo to wszystko dopiero się tworzy".

Myślenie o przyszłości jest rzeczą niebywale trudną. Modna jeszcze kilka lat temu futurologia wzięła totalnie w łeb, ale ludzie nadal muszą myśleć o przyszłości. Tam — w odległych czasach — lokują swoje marzenia do realizacji których dążą. Możemy się z tego śmiać, możemy wydziwiać, ale jest to niezaprzeczalne prawo człowieka. Bez tego byłoby mu bardzo źle. Do myślenia o przyszłości potrzeba jednak wyobraźni.

Mam w swojej bibliotece książkę Mircea Mality — rumuńskiego matematyka i publicysty — która ukazała się w 1969 roku, a jej polskie wydanie ukazało się w 1973 roku. Nosi ona tytuł: *„Kronika roku 2000"*. Jest tam opis przyszłościowego mieszkania, takiego, które już będzie można sobie wynająć w 2000 roku. Ma ono przesuwane ściany, chowane w ściany meble, światło zapalające się na dany sygnał, różne urządzenia mechaniczne, magnetyczne, radiowe i bóg jeden wie jakie. Czytam tę książkę i patrzę na moje ściany z betonu. Gwoździa w nie nie można wbić, cóż dopiero cokolwiek schować w ścianie. A nie daj znów boże je rozsunąć, bo cały blok runie. Do roku 2000 pozostało natomiast tylko 15 lat. Ludzie u nas czekają na mieszkania po 10 lat i więcej. Więc ci, co teraz czekają ostatni w kolejce mają szanse na otrzymanie mieszkania w tradycyjnym bloku właśnie w 2000 roku. O rozsuwaniu ścian i chowaniu w nie sprzętów nie będzie w ogóle mowy. Chyba że ktoś pójdzie po rozum do głowy i coś wynajdzie, o czym się nawet filozofom jeszcze nie śni.

Gdy 31 stycznia 1899 roku ludzie podnosili w górę kielichy w oczekiwaniu nowego wieku, nie sądzili, że przyniesie on dwie wojny światowe, wybuchy bomb atomowych, samoloty odrzutowe, telewizję oraz komputery, a już o minikomputerach nawet myśleć nie można było, bo nikt nie wyobrażał sobie komputera w ogóle. A od tamtego wieczoru sylwestrowego minęło tylko 85 lat.

A poza tym na świecie mamy obok siebie wiele jednoczesnych formacji społecznych. Gdzieś w buszu żyją plemiona, których rozwój zatrzymał się na poziomie pierwotnej cywilizacji są też przemieszane układy feudalne i kapitalistyczne. Kapitalizm ma kilka stadiów rozwoju, a socjalizm — wbrew pierwotnym założeniom — szuka w każdym kraju innych form realizacji podstawowych praw społecznego rozwoju. Nie ma więc i nie może być jednakowo niebywałego szczęścia wraz z nadejściem XXI wieku. Marzmy o tym, bo marzenia są nam potrzebne, zmuszają do działania ale nie przesadzajmy z tym. I nie obiecujmy sobie tego co jest niemożliwe — niebywałego szczęścia dla wszystkich.

No, i żeby nie było tak optymistycznie, to Leszek Szuman w tymże *„Przekroju"* powiada, iż *„kilkudziesięciu jasnowidzów z różnych epok, nieznanych sobie, przewiduje jakąś wielką katastrofę na rok 1997"*.

A ja się nie boję! Wolę już, kiedy mi obiecują niebywałe szczęście. Zresztą niejaki Georg Orwell obiecywał apokalipsę w 1984 roku, a dwóch angielskich astronomów przewidziało, że w 1982 roku, kiedy wszystkie planety ustawią się wraz ze Słońcem w karnym szeregu, to Los Angelos zapadnie się do morza. I co? Jakoś Los Angelos stoi. Z apokalipsą roku 1984 też klops. Więc ja się nie boję!

ZENON POROWATY

3

Sport

We wczesny popołudniowy wieczór

Tydzień temu, dokładnie w środę, we wczesny popołudniowy wieczór — jak to precyzyjnie ustalił sprawozdawca radiowy, odbył się mecz między reprezentacjami Polski i Finlandii. Miał to być sprawdzian przed decydującym spotkaniem z Belgami w meczu eliminacyjnym do mistrzostw świata w Meksyku. Nam — jak wiadomo — przegrać już nie wolno. Jeśli — oczywiście — chcemy występować w Meksyku. Kibice tego chcą, wręcz się domagają. Piłkarze? Kto to może wiedzieć czego chcą piłkarze?

Ale wróćmy najpierw do wczesnego, popołudniowego wieczoru. W radosnej twórczości językowej jest to zupełnie coś nowego. Do tej pory wiedziałam, że jest wczesne popołudnie, późne popołudnie, wczesny wieczór, późny wieczór. Teraz okazuje się, że mamy również wczesny popołudniowy wieczór. Ale błagam, nie twórzmy już dalej tego typu językowych połączeń, bo wszystko nam się dokładnie w głowach pokiełbasi, podobnie jak z piłkarskimi spotkaniami.

Szkoleniowcy wymyślili bowiem bardzo wygodną formułę: mecz towarzyski nie liczy się bo służy on szkoleniu, sprawdzaniu możliwości, zgrywaniu drużyny. Dziennikarze sportowi podjęli tę myśl i powtarzają ją bez zastanowienia. Nie liczy się? Dlaczego się nie liczy? Grają hymny narodowe obu drużyn? Grają. Są widzowie? Są. Wynik idzie w świat? Idzie. Zostaje zapisany w kronikach? Zostaje. No to o co chodzi? Po co tworzyć fikcję, że liczą się tylko mecze eliminacyjne, a cała reszta nie? Przecież tak nie jest i być nie powinno.

Zatem międzypaństwowe spotkanie reprezentacji Polski i Finlandii, odbyte w Opolu we wczesny popołudniowy wieczór, zostało zapisane w kronikach polskiego, fińskiego i międzynarodowego piłkarstwa. Dobrze, że Polacy to spotkanie wygrali. Ale cieszyć się nie ma z czego.

Po pierwsze — Finowie jeszcze nie zaczęli sezonu piłkarskiego, bo u nich — wiadomo — zimniej niż u nas, ale są już wcale dobrze przygotowani. Coś jakby lepiej niż my.

Po drugie — w reprezentacji Finlandii brakowało pięciu najlepszych zawodników.

Po trzecie...

To „po trzecie" trzeba dokładniej opisać, gdyż w tym punkcie są jeszcze podpunkty.

Przede wszystkim — to my nadal nie posiadamy reprezentacyjnej drużyny. Antoni Piechniczek może sobie mówić, co tam chce, ale kibic przecież widzi jaka ta drużyna jest i czy w ogóle ona jest. Otóż, jej nie ma. To że na boisku jednocześnie przebywa 11 zawodników w jednakowych strojach, to jeszcze nie drużyna. To, że oni zgodnie, ale nieskładnie kopią piłkę do jednej bramki, to również jeszcze nie drużyna. Zdarzało się już przecież naszym wspaniałym chłopcom kopać piłkę do własnej bramki. Można więc powiedzieć, że postęp już jest, bo teraz kopią do bramki przeciwnika. Ale w światowym futbolu to jeszcze mało. Trzeba bowiem w tej kopaninie wykazać jakąś myśl, taktykę i strategię, przez co kopanina może stać się grą koncertową. I tego właśnie jedenastu jednakowo ubranym chłopcom z białym orłem na piersi jeszcze brakuje. A boję się, czy Antoni Piechniczek potrafi ich tego nauczyć przez te kilkanaście dni, jakie pozostały do meczu z Belgami. Boję się, że Antoni Piechniczek sam nie bardzo wie, jaka to ma być myśl i jaką przyjąć taktykę w walce z Belgami, których — nie zapominajmy — nazywa się „czerwonymi diabłami". I którzy — co do tego nie mam wątpliwości — dobrze przygotują się do walki.

Czego naszym chłopcom brakuje? Oj, dużo! Brakuje organizacji gry na boisku. Nie ma drugiej linii — powiadają trenerzy. Nie ma takich zawodników jak Kazimierz Dejna czy Henryk Kasperczak — płaczą sprawozdawcy. Aż mną podrzuciło, gdy to usłyszałam. Od kiedy nie ma? Od wielu lat przecież już nie ma. Grzegorza Laty też nie ma. Andrzeja Szarmacha podobnie. Po co ten płacz? Nie ma i nie będzie. O nowych zawodnikach trzeba myśleć, nowych szukać, szkolić ich i uczyć, a nie płakać. Pora przestać biadolić, pora przestać „w uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę", jak wiele lat temu przestrzegał Adam Asnyk.

Nie jest dla mnie przypadkiem, że jedną z bramek zdobył obrońca Władysław Żmuda, który — jak wiadomo — gra w zagranicznych zespołach. Nie jest też przypadkiem, że oba gole padły ze stałych fragmentów gry, a nie z akcji. Potwierdza to po prostu wcześniejsze już spostrzeżenia, że mamy paru niezłych graczy, ale nie mamy drużyny. Ktoś zapytał, a jak będzie wyglądała ta drużyna, gdy w jej szeregach znajdzie się Zbigniew Boniek? Po prostu — tak samo. Zbigniew Boniek już niejeden raz próbował grać w tym zespole. Jedna gwiazda nie zastąpi jedenastu zgranych piłkarzy. Zbigniew Boniek po prostu nie ma z kim grać. Tylko męczy się na boisku. Ot, co będzie.

BOGDA MADEJ

4

Spojrzenie znad szachownicy

Nowy, wspaniały gmach

„Odgłosy" — jak wszem i wobec wiadomo — już dość dawno temu objęły we władanie swoje dwa piętra z widokiem na morze (dachów) w wieżowcu przy ul. Sienkiewicza.

„Karuzela" siedzi na walizkach, ma jednak pewne kłopoty z opuszczeniem orbity Klubu Dziennikarza. Każdy, kto kiedykolwiek bywał na orbicie, wie, że z opuszczeniem jej zawsze są kłopoty; niezbędna jest któraś tam prędkość kosmiczna wraz z aktem ostatecznej determinacji, jak byłby powiedział Lejzorek Rojtszwaniec.

Z kolei o wspaniałości wystroju wnętrz nowych pomieszczeń łódzkiego oddziału KAW — który też się przenosi, a jakże — cuda niewidy opowiadają na mieście. Podobno już wkrótce zabłąkany do Łodzi koneser sztuki będzie stał przed dramatycznym wyborem: zwiedzać Muzeum Historii Miasta czy KAW. I oczywiście co rozsądniejsi wybiorą to drugie, ponieważ bliżej tu z dworca, ponadto jest winda.

Ostatnio widziano również w wieżowcu ekipę „Expressu", która cała zniesmaczona włóczyła się z kąta w kąt i wybrzydzała na co się dało. Grymaszące powiedziano na pocieche, że głupie piętro niżej pod „Expressem" będzie w przyszłości kasa, zaś w kasie tak zwane pieniądze.

— A gdzie niby uda się nam je wydać — zapytali ci z „Expressu", na to jednak nie było już żadnej rozsądnej odpowiedzi.

2

No dobrze, to jest niedobrze, przenośmy się skoro już musimy, nie wmawiajmy jednak sobie i innym, że będzie lepiej. Będzie gorzej, przynajmniej z początku. Perspektywy co prawda są, ale ja akurat nie lubię tego pisma, nadto kiedy innym zacznie się poprawiać, mnie będzie się pogarszać a to z wieku, czyli ze starości.

Gdyby jednak czystym przypadkiem udało mi się dożyć emerytury, wytworzą się pewne nowe, interesujące możliwości. Zmasowanie różnorodnych redakcji w jednym gmachu pozwoli bowiem na rozgrywanie symultanki, to jest seansu gry jednoczesnej. Jako praktykujący, to jest, piszący emeryt będę miał czas na podobne figliki.

Przypuśćmy, że czystym trafem udało mi się zdobyć sensacyjną wiadomość o autentycznym papierze Napoleona odnalezionym w Skiroławkach. Wiedy, rzecz jasna, niosę ją w te pędy do „Expressu", który drukuje to-to na pierwszej stronie z dumnym napisem: INFORMACJA WŁASNA.

Zanim jednak „Express" zdążył wydrukować, wieżdżam windą do „Odgłosów" pytając niedbale, czy nie chcieliby reportażu o niezwykłym znalezisku: papierze Napoleona odnalezionym w Skiroławkach. „Odgłosy" oczywiście chcą, ponieważ daje do zrozumienia, że ktoś tym papierem wyczyniał rozmaite paskudztwa.

Odpoczywam krzynkę na tarasie, naciągając wiecznie młode koleżanki na trzy do czterech szklaneczki herbaty, szkicuję też w tym czasie humoreskę o papierze Napoleona odnalezionym w tych, no jak im tam, mniejsza o to, który to kawałek — rzecz zrozumiała — wirtyniam „Karuzeli". Po drodze zachodzę do redakcji Wawrzaka, komplementuję jego rzadki gust w doborze mebli, wspominam też niedbale, że zacząłem właśnie pisać krótką, poręczną, wręcz kieszonkową powieść o czymś szpiczastym odnalezionym w czymś — jak by tu rzec, żeby się nie wyrazić — powiedzmy kopiastym.

I w tym momencie, syt chwały oraz sukcesów, teoretycznie rzecz biorąc mogę już udać się do kasy. Teoretycznie, ponieważ nie ma tak dobrze, żeby za cokolwiek płacili zaraz, po wtóre kasa najczęściej bywa zamknięta, po trzecie — tak, siak, czy owak nie ma gdzie wydać więc po co chodzić, kiedy mogą przysłać?!

Tak będzie, jeżeli dożyję, rysuje się jednak — mówiąc wadliwie logicznie — druga, znacznie sympatyczniejsza alternatywa.

3.

Czekam na te emerytury i czekam, klnę na ten wieżowiec i klnę, klnąc zaś i czekając kopcę papierosa za papierosem, a jako człowiek nie przeszkolony przeciwpożarowo rzucam byle gdzie niedopałki.

I wówczas całkiem gratis oglądacie państwo „Płonący wieżowiec" z niżej podpisanym w roli głównej.

JERZY P.

Szczecin, grudzień 1970

WIESŁAW ROGOWSKI
Fragmenty powieści „Biały punkt”

3

Patrzał na swój telefon, pełen złych przeczuć. W tym momencie odezwał się terkotliwy dzwonek. Podniósł słuchawkę.

— To ja, Roman. Czy mnie słyszysz?

— Tak, słyszę — odparł.

— Przekazuję ci polecenia. Trzeba napisać komentarz, już ty wiesz jak. Z Warszawy nadadzą uchwałę Rady Ministrów. Od nas dostaniesz odezwę egzekutywy, prezydium wojewódzkiej rady mieszkańców i zarządzenie porządkowe. Zapamiętasz?

— Mów dalej, stary.

— To wszystko, na razie.

— Jest źle?

— Sam rozumiesz.

— No to daj swój telefon, żebym mógł...

— Później. Za dwie godziny znowu się odezwę. Cześć!

Bogusław nie zdążył odłożyć słuchawki, gdy tamten zrobił to pierwszy: membrana zaczęła jęczeć rytmicznie, podając sygnał.

— Co to było? — zapytał Zygmunt.

— Odezwali się nasi. Nie wiem gdzie są. Pełna konspiracja.

— Mniejsza o nich.

— No nic, trzeba pisać — powiedział. Wkręcił papier do maszyny i zaczął myśleć. Kiedy ojczyzna oczekuje pomocy — nie wolno zadawać jej ciosów — zaczął stukać w klawisze. — Wczorajsze wydarzenia w Szczecinie...

Pisał to, co myślał i czuł, ile wiedział. Stoczniowcy, jeśli nawet mieli rację, nie powinni byli wychodzić na ulicę. Bo to ośmieliło tych, którzy zawsze oczekują na okazję. I skorzystali z tego. Potem pisał o tym, że ćwierć wieku budowania w Szczecinie, to było coś ważniejszego, niż w każdym innym mieście Polski, znaczyło o wiele więcej, gdyż było dowodem, że jesteśmy tu u siebie, na zawsze. Słowa układały się w zdania, spływały do rąk, zamieniały się w litery wystukiwane na szarym papierze. Czy to jest to, o co dziś rzeczywiście idzie? — myślał. — Może tak. Ale przecież gdzieś tu jest jakaś linia odpowiedzialności, której jeszcze nie znam — mojej, tych co tam szli na komitet, tamtych, którzy strzelali, tych co palili gmachy i rabowali sklepy. Boże, jak to wszystko pogodzić, jak zrozumieć, żeby znów móc żyć? I jak będziemy żyli potem w naszym mieście?

Zygmunt stał za plecami, czytał ten tekst przez ramię Bogusława.

— Może być? — zapytał go dla formy.

— Twój komentarz, twoja głowa, stary — odparł pobladłymi wargami.

— Łatwo ci mówić — szepnął: rozumiał, że to nie to.

— Nie wiem, nie wiem...

— No to co mam napisać? — warknął. — Przecież to wszystko prawda. I to, że nie wszyscy tam poszli jak barany i że potrzebny jest spokój. I że trzeba jakoś powrócić do życia, no nie?

Zygmunt odwrócił się, odszedł o krok.

— Daj mi papierosa — poprosił. Nigdy nie palił. Bogusław podał mu paczkę. Zapalając niezręcznie, poparzył sobie palec, potem zaciągnął się głęboko i zaczął kaszleć, ostro, gwałtownie, niemal do łez.

Milczeli potem; nie był to bowiem czas na żarty czy dowcipy. A komentarz trzeba skończyć, musi być jutro w gazecie. Pochylił się nad maszyną: Jakiekolwiek zdanie miała część stoczniowców o problemach, przed którymi przedtem stanęła, nie było wczoraj i nie jest obojętne dziś, w jaki sposób je okazała...

Kiedy znowu zadzwonił telefon, pomyślał, że to znów Romek, a odezwała się Danka.

— Heniu, musisz o tym wiedzieć. Jutro stanie całe miasto wszystkie zakłady.

— Wiem.

— Tramwaje będą kursować. Ale na każdym już dzisiaj wisi albo transparent, albo plakat, na znak solidarności ze stocznią.

— Tak, rozumiem.

— Będą pracować wodociągi, ogrzewanie, piekarnie i sklepy spożywcze. Wszędzie mają być sztandary, plakaty czy jakieś tam napisy, żeby ludzie rozumieli, kapujesz?

— Słyszę.

— To tyle na dzisiaj.

— Dziękuję, Danusiu. I więcej już nie chodź po mieście. Ani dzisiaj, ani jutro, rozumiesz?

— Dlaczego?

— Bo to jest niepotrzebne. Nie ma sensu. Wszystko, co konieczne, będę już odtąd wiedział.

— Ale stary, dlaczego? Przecież ja...

— Proszę cię, proszę, rozumiesz? Chcę żebyś była zdrowa.

— Dziwny jesteś facet — powiedziała i rąbnęła słuchawką.

A on rzeczywiście bał się o dziewczynę. Po prostu, bał się i tyle.

Jurek wpadł z taśmą dalekopisu.

— Stary, nadają mowę Cyrana, popatrz!

Wziął papier do ręki: Zwracam się do Was w chwili, której powagę odczuwacie chyba wszyscy... czytał. — Interes państwa, interes narodu i każdej polskiej rodziny... Podniósł oczy na Jurka.

— Daj to składać, przeczytam potem, ze szpaltą.

— Jak chcesz...

— Zrób to, proszę — powiedział cicho. Poczuł się nieswojego, palił dotąd papierosa za papierosem, był głodny, od rana nic nie jadł, a teraz te nerwy, to pogmatwane i zawiłe życie, którego węzłów nie umiał, nie potrafił rozplątać...

— Dobra, stary — Jerzy dotknął dłonią jego ramienia. — Posiedź sobie, pooddychaj. Przed nami jeszcze noc...

Kiwnął mu głową, odwrócił się do ściany i patrzył bezmyślnie na porowatą powierzchnię, na linię pęknięć, plamy kurzu i zacieki wilgoci. Jeszcze nie koniec — powtórzył — jeszcze przed nami cała noc.

Biała ściana jakby pulsowała, wydawała się to zbliżać to oddalać; przymknął oczy, wszystko zniknęło. Ale w skroniach czuł to samo pulsowanie, ten sam rytm, który po prostu był echem jego bijącego szybko serca.

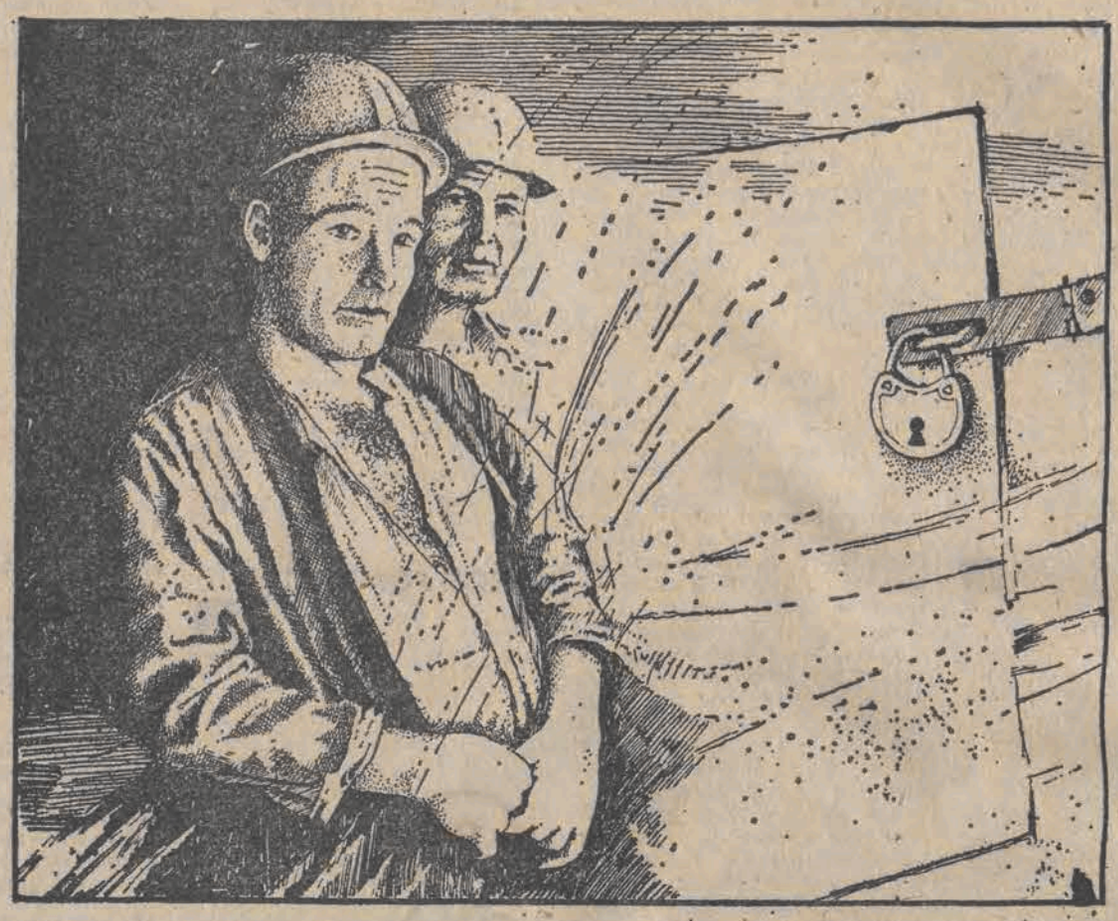

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Gryń siedział w kącie rurowni

Gryń siedział w kącie rurowni, wsparty plecami o ścianę. Był brudny, cuchnął dymem. Nie mógł zapomnieć gorejących płomieni, krzyku tłumów widoku białego kasku, toczącego się po asfalcie. Słyszał wciąż echo strzałów, brzęk szyb spadających na bruk. Wargi miał wyschnięte na wiór, język obolały od przepalenia. Nawet papierosów już nie miał: nic, tylko lęk pod czaszką, kotłowaninę pytań bez odpowiedzi i nieustanne zdziwienie, że jest tu i że był tam wtedy i że żyje. Nie czuł głodu, mimo to iż nie jadł od tylu godzin; nie chciało mu się pójść do kranu, chociaż paliło go pragnienie. Boże, za co to wszystko? — myślał. — I komu to potrzebne? Tym, których już nie ma? Tym, co jak ja, przeżyli? Albo tym gówniarzom z butelkami w rękach, kobietom krzyczącym coś prosto w niebo? Nie, tym tu, co leżą obok na betonie? — popatrzył na sąsiadów oddychających ciężko przez sen.

Rozumiał: to był błąd, że tam w ogóle poszli. Na zabłoconej ulicy każdy gnój może przylepić się do obcasów — westchnął, lecz mimo wszystko, wiedział, że łatwo to pojąć teraz, trudniej zaś było wtedy, gdy głośno biły serca, a gniew tętnił w skroniach.

Ktoś przebiegł na palcach przez halę, starając się ich nie obudzić. Z boku któryś westchnął ciężko, niemal jęknął, widać nikt tu nie ma spokojnego snu. Przez moment słyszał czyjeś głosy, bo ludzie rozmawiający ze sobą przechodzili pod drzwiami. Potem znów cisza, chrapanie, westchnienia, szelest przewracających się z boku na bok ludzkich tobołów. Twardo — pomyślał i także zmienił pozycję.

Ale przecież to my mamy słuszność — zagryzł wargi potem zwilżył je końcem języka, choć niewielką przyniosło to ulgę. — Przecież to nas chcieli uderzyć w dupę. No i co, trudno, może i gospodarka na tym ucierpi, że stoimy, odrobi się to jakoś. Ale innym też przez to zależeje.

Przypomniał sobie popularny, antyrządowy kawał o trzyosobowej rodzinie, żyjącej tylko mlekiem i bułkami, której nawet na to nie wystarczało półtora tysiąca złociszów. Nie ma się z czego śmiać. Byli tu w stoczni tacy, co zgarniali przy wypłacie i po pięć kawałków, ale razem z nadgodzinami, za pracę pod gołym niebem, słotą nie słotą, wiatr nie wiatr, słońce czy mróz. Jak długo człowiek może to wytrzymać? A ci tam, utonęli w miliardach cyferek jak w ruchomym piasku, liczyli, aż przeliczyli się do cna. Władza robotnicza w białych mankietach, psiakrew! Przypomniał sobie ów moment, gdy z gazetą w ręku poszedł sprawdzić, co znaczą rzeczywiście te wszystkie procenty, w konkretnych cenach, w sklepie. Niechaj ich wszystkich diabli porwą, cwaniaków! — zazgrzytał zębami. — Ciekaw jestem, ile oni zarabiają w Warszawie, gdzie i co kupują, jak żyją. Przeliczył swoje pieniądze, dodał zarobek żony, podzielił na czwórkę, wypadło mało. A kiedy Janka rozwścieczona do żywego, zapytała go, po cholerę jest chłopem, jeśli pozwala aby rodzinę mu zagłodzili, o mało nie zdzielił jej przez łeb, w takich był nerwach. A jednak nie do końca był przekonany o tym, że trzeba coś zdziałać, żeby ziemia zadrżała. Może to wina jego chłopskiej natury, godzącej się na ciosy, jeśli nie bardzo bolą, albo spokoju, który lubił, w domu, w pracy, w sobie. Kto wie, czy nie tylko on sam, ale i inni z rurowni zdobyliby się na odwagę, żeby nie Gdańsk i przykład kolegów, i to że tam padły strzały. Cywil czy żołnierz, szary czy zielony mundur, przecież to wszyscy są ludzie — rozważał wedle rozumu. — My i oni, każdy, bez wyjątku. Lecz mimo to, wzdrygał się na myśl, że gdyby miał syna w służbie a ten dostał rozkaz by zarepetować broń, czy zrozumiałby go, jeśli posłusznie nacisnął spust, strzelił do cywilów? Można pałą, proszę bardzo, można granatem gazowym, można wodą z hydrantu. Ale kule? Wstrząsnął nim dreszcz. Nie poradzi sobie z tym wszystkim. Był tu razem z innymi — bo nie mógł inaczej. Widział wiele, może zbyt dużo, jak na jeden dzień. Czuł wciąż w sercu bolesne ukłucia, gdy wspomniał ulice miasta, zatłoczone ludźmi, którzy byli jak kra płynąca nurtem wąskiej rzeki o przedwiośniu, jak zatory piętrzące się przed rozbitymi sklepami, jak fale uderzające o schody siedzib władzy. I płomienie, które drgały mu pod powiekami.

Co teraz będzie? — myślał z rozpaczą. — Nie mamy przecież żadnej broni. A tamci, jeśli zechcą, mogą stocznię wziąć szturmem. Więc zostaliśmy sami ludzie w fabrykach, czy tu w stoczni, a władza tam gdzieś daleko, w Warszawie czy gdzie indziej. Jest wojsko, jest milicja, tyle sił, tyle broni, mój Boże! A potem, gdy stąd wyjdziemy, wyłowią nas jak szczupaki z saka, nie ma co, będzie po nas. Nawet gdy stanie całe miasto, całe Wybrzeże i jeszcze połowa kraju, nie damy rady. Będzie po nas — rozumiał to jasno.

I żeby chociaż inni coś z tego mieli. Może i tak, kto to dziś wie, może i skapnie im coś jutro, pojutrze... Ale my — kiwał głową z wolna, do wtóru swym zaległym myślom i zwolnionego rytmu serca — ale my i ja, odcierpimy swoje.

Poczuł palący gniew, że tak to być może i że jest zupełnie bezsilny. Musi być przecież w Polsce jakieś prawo — zacisnął zęby. — Musi być jakaś sprawiedliwość. Coś wreszcie musi się przecież zmienić na lepsze. Inaczej, po co to wszystko? Polecimy jak kłaki pierza porwane przez wiatr? I tak na wpół drzemiąc, na wpół myśląc, pełen lęku przemieszanego z gniewem, rozpaczy z nadzieją, zasnął wreszcie przed świtem, na godzinę lub dwie. Zbudziło go zimno, przejmujące aż do szpiku kości. I nie on jeden zerwał się na równe nogi. Wielu nie mogło spać, inni też zdrętwieli z chłodu i niewygody, a teraz starali się rozgrzać, wymachując rękoma. Mrużyli oczy, chroniąc źrenice przed światłem, aż przywykły do niego, tak jak i oni przywykli do myśli, że to wszedł nowy dzień. Kto wie jaki, może przyniesie ulgę i jakieś rozwiązanie, a może będzie równie straszny, jak ten wczorajszy, o którym lepiej zapomnieć.

Rano Gryń poszedł do Komitetu

Rano Gryń poszedł do komitetu zakładowego. Jest partia, czy jej nie ma? — myślał. Coś trzeba robić. Przecież to wszystko się rozpieprzy, jacyś ludzie tu radzą, diabli wiedzą kto! A nas jakby nie było. Myślał twardo, jakby chciał przygłuszyć wspomnienia z wczorajszego dnia, tłące się jak ból zęba.

Pokoik był zatłoczony, pełen dymu, zaduch jak cholera!

— Otwórzcie okno — zawołał na progu. — Nawet myśli się wam uwędzą w tym dymie!

Sekretarz Wójcik odwrócił się i spojrzał na niego ze zdziwieniem, potem podszedł do okna, otworzył. Gryń widział jak czyste powietrze wypycha niebieskawe kłęby, wirujące w świetle. Wszyscy zapatrzyli się w milczeniu na zewnętrzny świat jakiego kawałek było widać w tym niewielkim prostokącie — szarą ścianę hali, wątłe drzewko bez liści, oddychali głębiej i dziwili się, że nikt wcześniej na to nie wpadł, ale i nie czuli dotąd zaduchu oraz gorąca.

— Sami widzicie, że trzeba słuchać klasy robotniczej — Gryniowi wyrwał się ten żart, bo chciał rozruszać ich i sam nie wiedział co czynić jak odnaleźć się wśród nich. Ktoś się zaśmiał, ktoś inny machnął ręką, jakby słowa te były bez sensu, a on wziął je na poważnie. Wójcik odwrócił się.

— Ty bracie, masz rację, ale tylko w połowie. Słuchać, lecz i kierować we właściwą stronę.

— A czemuś ty tego nie zrobił? — odciął się Gryniowi.

— Nie lubię samowoli — odparł mu wzbudzając znowu czyjś śmiech.

Zrobiło się jakby nieco lżej w tym pokoju. Siedzieli na krzesłach wokół biurka, albo na stole przykrytym zielonym suknem, niektórzy stali pod ścianą.

— No dosyć tego — powiedział Wójcik. — Podsumujemy.

— To wy tu jednak coś robicie? A ja myślałem...

— Zamknij gębę, Gryń — warknął Surecki, chudy facet z kadłubowni. — Albo słuchaj, albo zmywaj się stąd, nie czas na żarty!

Łypnął ku niemu złym okiem, więc Edek już nie odparował tych słów. Rozejrzał się, gdzieby tu przykucnąć, dostrzegł jakąś pustą skrzynkę w kącie, przysunął ją do ściany.

— Jesteśmy jak ryby w saku — mówił Wójcik. — Ani wyjść, ani zostać. Trzeba tu być, bo to przecież nasza sprawa. A powinniśmy ich właściwie zostawić tu, żeby nie myśleli, że partia ich popiera. Do tegośmy doszli podczas dyskusji. Na to trzeba było tyle godzin... machnął dłonią z rezygnacją.

— Masz rację, ale tylko pół na pół — nie zgodził się Surecki. — Mówiliśmy też i co innego. Najpierw, żeby zebrać jakoś partyjnych, powiedzieć coś, poderwać. Jest nas kilka tysięcy, co jest, do jasnej cholery, i nic nie znaczymy?

Atmosfera była nerwowa. Znów wyjmowali papierosy, palili aż dym znów zgęstniał niebieskawo.

— Po drugie — mówił dalej Surecki — Komitet Wojewódzki wie, że zostaliśmy tutaj i poparł tę decyzję, sam nam to powiedziałeś. Trzeba tu być. To jasne.

— Daj spokój — Wójcik doszedł do pewnych konkluzji. — Tu jest potrzebny program, taktyka działania. Musimy wiedzieć, czego konkretnie chcemy. To jest najważniejsze.

— Strajk musi się skończyć — poparł Sureckiego, odzywając się śpiewnie wilniuk starszy mistrz z brygady remontowej Górski. — Co trzeba, już pokazali, czego chcą, już powiedzieli. I dosyć. Trzeba pracować bo inaczej diabli nas wezmą, a bieda wszystkich zrówna.

— Przyjdzie walec i wyrówna — powiedział ktoś z boku.

— A żebyś wiedział! — żachnął się stary. Przejechał szeroką dłonią po twarzy, jakby chciał z niej zgarnąć zmęczenie.

— I znowu to samo — wściekł się jakiś milczący dotąd wąsacz. Gryń przypomniał sobie jego nazwisko dopiero po chwili, gdy ten rozgadał się i zaczął się jąkać ze zdenerwowania. Jąkała — przebiegło wspomnienie, Staś — jąkała, Drabik ma na nazwisko!

— Ty mówisz — wskazał na Sureckiego — że to oni. Oni, oni, psiakrew! Jacy oni? To my, rozumiesz? My! A oni są tam! — pokazał palcem na sufit i trzymał go przez moment czekając czy ktoś mu przerwie. A więc to my, wszystko jedno, kto w partii a kto nie. Gdzie byliście, jak zebrała się załoga przed dyrekcją? Bo ja tam stałem jak wszyscy. I tak samo szlag mnie trafiał, że tam w Gdańsku krew się leje i że nikt tu z władz do nas nie przyszedł! A więc nie oni, a my stoczniowcy! Jasne?

Popatrzyli na niego w milczeniu. Gryń, jakby widział urywki błyskawicznie zmieniającego się filmu: twarz dyrektora w oknie, to kamienie bijące w szyby redakcji, dym i ogień, to ludzi na Małopolskiej... Przebiegł mu dreszcz po plecach.

— I ty też mówiłeś, oni — Drabik spojrzał na sekretarza. — Tak do niczego nie dojdziemy, niczego nie zwojujemy. Każdy z nas jest jedną nogą tam, a drugą tu, przestępuje, bo stać tak trudno. Ale ja przynajmniej wiem, która noga bardziej mi drętwieje.

Siadł. Nikt nie odezwał się, nie wyrwał do głosu. Było trudno nie uznać tych racji.

— On ma słuszność — odezwał się wreszcie, niezbyt głośno sekretarz Wójcik. Przetarł oczy, przejechał ręką po policzkach, po brodzie, niełatwo było mu mówić.

— Nasz komitet nie wyszedł ze stoczni — wymawiał słowa z wolna ostrożnie, jakby nie tylko on sam, ale i one także były zmęczone i nie chciały nieść jego myśli ku innym.

— Jesteśmy tutaj a więc razem. Nie powinienem mówić oni. Znowu zwolnił rytm zdań. — Ale i ty powiedziałeś, że stoimy w rozkroku. Tak długo stać nie można. I tu masz też słuszność.

Czekali w napięciu, gotowi wesprzeć lub zaprzeczyć myślom sekretarza, jeśliby były inne niż ich odczucia, ale też nikt tu nie był pewny swego: jedynie ów Drabik, który im zaimponował.

— I Surecki, i Drabik też trafili w sedno sprawy. Musimy strajk zakończyć. Teraz już całe miasto przyłączyło się do Warskiego, cały Szczecin popiera stocznię. Wszyscy są radzi, że ktoś za nich to zrobił. Teraz tym gorliwiej chcą słuchać tego, co powie nasza stocznia. Trzeba coś zrobić, żeby powiedziała — dosyć. O to idzie, towarzysze, myślę, że zgodzicie się ze mną.

Przeżuwali te słowa z namysłem. Była w nich jakaś ważna racja, ale przecież łatwiej jest mówić, że trzeba, trudniej doprowadzić to do skutku.

— Popieram — powiedział Surecki. — Czas już, żeby rozum kierował sercem, a nie serce rozumem.